

De II. 1
OGÓLNEGO ZBIORU TOM 180.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO POSWIĘCONE
NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1885.

SERYA VI.

Październik.

TOM IV. — ZESZYT X.

WARSZAWA.
W Drukarni Józefa Bergera.

Ulica Elektoralna, Nr. 14.

Ukończono druk dnia 3 października 1885 roku.

T R E Ś Ć.

	stron.
I. Rzut oka na pieśni gminne łotewskie. Przez Gustawa br. Manteuffla	1
II. Towarzystwo Ixów. (Ustęp z dziejów krytyki w literaturze polskiej).	22
III. Marya Mantuańska, królowa polska. 1644—1648. Studium biograficzne na podstawie źródeł rękopiśmiennych. Przez K. Waliszewskiego. (Dok.).	48
IV. Z ekonomiki VII.—Gorzelnictwo w Królestwie Polskiem.—Komisyja ekspertów. — Normy i superata.—Gorzelnictwo na Litwie i Rusi, i jego charakterystyka. — Superaty w prowincyach nadbałtyckich.—Przemysł gorzelniany w Niemczech.—Porównanie wytwórczości w prowincyach polskich Niemiec, w Królestwie Polskiem i Cesarstwie.—Gorzelnictwo we Francyi, Włoszech i Stanach Zjednoczonych.—Różnica przemysłu gorzelnianego u nas i w Ameryce. — Chów bydła opasowego i nierogacizny. — Przemysłnictwo w Królestwie Polskiem, jego przyczyny i zyski.—Wpływ przemysłnictwa na demoralizacyą ludności i upadek przemysłu. — Środki zaradcze.—Straż karczemna i graniczna. — Nowa ustawa trunkowa. — Zniesienie szynku i karczmy. — Co powoduje łatwość upicia się?—Angielski i rosyjski system spożycia wódki.—Szynk i karczma, jako kluby ludowe.—Jadłodajnie. — Urzędy do spraw trunkowych. — Wystawa wynalazków w Londynie.—Tkactwo angielskie.—Przemysł bawełniany, koronkarski, wełniany i jedwabny w Anglii. — Potęga angielskiego przemysłu tkackiego. — Rólnictwo angielskie.—Chów inwentarza w Anglii i konsumpcya mięsa.—Bibliografia.	74
V. Pojęcie przyczynowości w „Systemie Logiki dedukcyjnej i indukcyjnej“ J. St. Milla. Przez Aleksandra d-ra Raciborskiego (C. d.).	98
VI. Kronika paryzka, literacka, naukowa i artystyczna. — Dzieło p. Fustel de Coulanges, profesora Sorbony; „Recherches sur quelques problêmes d'histoire.—Delegacya francuzka w Pezscie. — Autorka portugalska panna Guiomar Torrezae. — „Penseroso,“ przez panią Edgar Quinet.—Wspomnienia Aresina Houssaye.—Korespondencya poufna Ludwika Veuillot.—Biesiada Celtycka w Quimper, pod prezydencyą Renana. — Dzieło Lucyana Biard o Aztekach. — Życie w Chinach, przez p. Daryl. — Henryk Milne Edwards. — Helenista Egger.	108

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 180.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE
NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1885.

— 5222 —

Tom czwarty.

WARSZAWA.
W Drukarni Józefa Bergera,
ulica Elektoralna, Nr. 14.

—
1885.



De. II. 1

Дозволено Цензурою.

Варшава, 21 Августа 1885 г.

RZUT OKA

NA PIEŚNI GMINNE LOTEWSKIE.

PRZEZ

Gustawa br. Manteuffla.

„Das Volkslied ist die Naturmelodie,
welche wie liebliches Geläute durch das
Gemüth der ganzen Menschheit zieht.“

K. Ulmann.

Gdy w jasny letni poranek wstępujemy do lasu, wzrok nasz uderza niezliczona ilość przejrzystych kropel rosy, utkwionych uroczu na szpilkach i listkach drzew, na krzewach i kwiatach, na murawie i zielsku. Tam, gdzie odblask porannego słońca kropelki te oświeci, jaśnieją one wszystkimi barwami tęczy, rzekłbyś, że rozwieziono tysiące rubinów, szmaragdów, szafirów, a murawę pokryto srebrno-perłową siatką.

Wpatrując się w tę leśną rosę o jasnych migotliwych barwach, tu i owdzie purpurowém światłem oblaną, zawołał pewien zbieracz piosnek gminnych, że ona mu pieśni Łotyszów najżywiej przypomina.

Podobieństwo to, zauważone przez Buettnera, nie jest tak niefortunne i naciągnięte jak się zrazu zdawać może.

Jakkolwiek, szukając porównania do różnorodnych utworów poetycznych, chociażby tylko ludowych, prędzej niżeli na krople rosy wpaść można na szumiący wodospad, na mruczący strumyk, na rzekę majestatycznie płynącą, na urocze jezioro a wreszcie i na źródło przejrzyste: tutaj wszakże porównanie z rosą poranną tak się samo nasuwa, że mu się oprzeć niepodobna.

Podobieństwo to nie leży ani w ilości piosnek łotewskich, których obecnie zebrano już do dwudziestu kilku tysięcy, ani w ich liliputowych rozmiarach, — zajmują one bowiem zwykle zaledwie dwa do sześciu wierszy, — ale podobieństwo to leży raczej w tém, że one utkwily nakształt owych kropelek rosy na wszystkich przedmiotach, jakie się tylko oczom naszym mogą przedstawić.

Już to pieśń gminna łotewska w każdej rzeczy poetyczną stronę umie upatrzeć i w jasnym świetle ją ukazać.

I dla czegożby tego nie miała?

Niepodlega najmniejszej wątpliwości, że każda rzecz może mieć swoją stronę poetyczną, lubo nie każde oko umie ją odnaleźć. Owóż, jak rosa poranna przystraja lasy w szatę świąteczną, a nawet niejedną suchą gałązkę wspaniale okrasza, tak i pieśń gminna podnosi, zdobi i uświęca życie ludu łotewskiego, a to w stopniu tak wysokim, jakiego gdzie indziej daremniebyśmy szukali. To też zupełną słuszność należy przyznać poecie Łotyszów, który temi słowy śpiew swój rozpoczyna:

„Jam piosneczkę mą wyśpiewał
Z tego, co prąd rzeczki znosi,
Gdy się wiosną wody wzbrały“ i t. d. ¹⁾.

Zaprawdę, te jasne krople zawieszają się na każdym z wypadków życia Łotysza. Opromieniają i uświęcają nie tylko miłość, jój pierwsze obudzenie się, jój siłę i stałość, jój moc i trwałość, jój rozkosze i bóle, jój dumę i jój wierność; ale znajdujemy w nich także żywy wyraz żalu na stan sierocy, na nieszczęśliwe pożycie małżeńskie, na straty bolesne, na ciosy zadawane sercu ludzkiemu już to przez nielitościwą śmierć, już też przez rozstawanie się z tymi, których kochamy nad życie. Zwłaszcza ostatni rodzaj liczne znajduje zastosowanie w pieśniach weselnych i wojennych.

W tych mało znaczących utworach ludowych wyśpiewała i wyplakała pieśń gminna łotewska wszystkie bóle, smutki, wszystkie cierpienia i nadzieje, albowiem:

Kędy życie cierpień się nie zmieści,
Cierpienie w pieśń się przelewa.
Wieszczce natchnienia rodzą boleści,
I co ma płakać, to śpiewa.

(Wincenty Pol).

¹⁾ A więc z suchych gałązek, listków, trzasek, trawek, słomek, ułamków kory, trzciny i t. p. „Porównaj: „Zbiór piosnek ludowych łotewskich z okolic Cyrau i Dzerwen (dóbr kurlandzkiej gałęzi Mantouffilów),“ ogłoszony w „Magazin der lettisch literarischen Gesellschaft,“ a mianowicie tom VIII, str. 99.

I.

Właściwych pieśni bojowych nie zna lud łotewski, gdyż w kraju jego tylko płeć żeńska zwykła wyśpiewywać piosnki lub przewodniczyć śpiewom chóralnym ludowym; okoliczność powyższa dostatecznie objaśnia dla czego pieśni wojenne łotewskie opiewają bardziej smutek rozstania się z bojownikami niż waleczne ich czyny.

Przytaczam jedną z najstarszych i najciekawszych, której słowa i nuta wykwitły bezpośrednio z łona ludu łotewskiego; nosi na sobie niezaprzeczone piętno jego plemiennych wyobrażeń, uczuć i pojęć, a nieznając swego twórcy, ani się o niego troszcząc, popychana jedynie siłą tradycji u potomków jednego i tego samego szczepu, przeszła dziedzicznie z pokolenia w pokolenie aż do naszych czasów, w których spisana została:

Dokąd jedziesz braciszeńku
W czapce nie przybranęj w kwiaty?

Spiesz siostrzyczko do ogródka
Przystroj bratu czapkę w róże.

Przystroiłam nućąc piosnkę
A oddałam lejąc łezki.

Płacz lub niepłacz siostró luba
Już mię więcej nie zobaczysz,

Koń mój jeno wróci z boju
Niosąc wieści o twym bracie.

I zapytasz się rumaka
Gdzie pozostał jego jeźdźco?

Tam pozostał pan mój w boju
Gdzie jak dębem mężni padli,

Gdzie broń w polu rozrzucona
I gdzie Dźwina krwią się broczy.

Wiatr ich włosy porozwiewał,
Słońce kości ich zbieleiło! ¹⁾.

¹⁾ Porównaj oryginał łotewski, ogłoszony w „Magazin der lettisch-litterarischen Gesellschaft,” Band XIV, zweites Stück, gdzie się mieści zbiór piosnek ludowych z okolic Krasławia i Kombula (dóbr polsko-inflanckiej gałęzi Platerów), a także z okolic Drycan i Taunag (dóbr polsko-inflanckiej gałęzi Manteuffłów). Tekst piosnki powyższej podaliśmy wraz

Podśluchawszy przed wielu już laty poraz pierwszy wszystkie dwuwierszowe zwrotki téj charakterystycznej pieśni ludowej łotewskiej, (jeszcze przed zniesieniem poddaństwa w Inflantach polskich, najdosłowniej przezemie spolszczonej), którą oczywiście wiele wieków śpiewano, zanim jedna z młodych panien inflanckich ¹⁾ baczność moję na nią zwróciła, — zebrałem ich wkrótce około dwustu, treści najrozmaitszój. Przejrzawszy je bliżej, zrozumiałem trafność uwagi badacza pieśni ludowych niemieckich, który tak pięknie się wyraził, mówiąc: „Was in Leid und Lust der Mensch oft nicht aussprechen darf, das singt der Vogel des Volkslieds, verblümt und doch klar; der fliegt frei und weit durch die Gesindestube, durch die Gemächer der Ritterburg, der sitzt als Falke auf der Hand des Ritterfräuleins und zwitschert, der schleicht sich als Mäuschen ein und piept dem geknechteten Bauer im Hundelloch was vor“ ²⁾.

Niemniej słusznie zauważył znany nasz etnograf dr. Oskar Kolberg, że „najstarsze tradycje brzmią w okół Baltyku, rozpościerając się ztąd ku Karpatom, Dnieprowi i Dunajowi“ i że „północ, kolebka dzisiejszych ludów Europy, posiada dotąd jój archiwa poetyczne“ ³⁾.

Pieśń wyżej przytoczona należy bezwarunkowo do najstarszych. Dowodzi tego nietylko zupełny brak rymów i monotonne metrum, ale i opiewana w niej miłość, która jest miłością braterską. Tę zaś, jako najgłówniejsze uczucie przebrzmiewające do nas z dawnych wieków, przedstawia już Sofokles w powszechnie znanój „Antygonie“, gdy tłumacząc poniekąd hazardowne przedsięwzięcie nieszczęsnej Antygony, wkłada jój w usta słowa następujące:

Drugiego męża mogę mieć, gdy pierwszy umrze;
Toż z drugim dziecię, gdybym z pierwszym go nie miała.
Lecz kiedy grób rodzica i matkę już kryje,
Niepodobieństwem, żeby brat mi się narodził ⁴⁾.

A jakże się miało z pieśnią ludową łotewską? Brzmiała ona na polach i w lasach, przy kądzieli i zatrudnieniach domowych, wkraçała do uroczystości pogańskich ołtarzy, a w czasie nieznośnego jarzma poddaństwa, złożyła niezaprzeczone dowody owj wiecznie trwa-

z jego polskim przekładem także w książce „Inflanty“ (Poznań, 1879), na str. 53, w przypisku.

¹⁾ Panna Celina Platerówna z Krasławia.

²⁾ Obacz H. C. Andersen „Nachgelassene Märchen.“

³⁾ O. Kolberg „Pieśń ludowa“, artykuł ogłoszony przed wielu laty w encyklopedyi Orgelbranda.

⁴⁾ Porównaj: Sofokles „Antygona“, tragedia przedstawiona w r. 441 przed narodz. Chr. (Przekład Z. Węclowskiego, Poznań 1875 roku, nakładem biblioteki Kórnickiej, str. 44).

jącej słodczy, która i najbardziej udęczone serca ludzkie pocieszać umie, przypominając im wciąż odradzającą się bezustannie piękność przyrody, jak to rozdział następny ma wykazać.

II.

Różnorodność nieznaną dotąd w kołach polskich poezji ludowej łotewskiej, najbardziej nas winna zastanowić przez swoją wielostronność, z jaką piękności przyrody ziemi rodzimój opiewa, zwłaszcza, że kraje przez szczep łotewski zamieszkałe, zgoła nie obfitują w piękność, której też uczeni krajoznawcy niemal nigdy na Łotwie nie mogli dopatrzeć.

Tymczasem niema znaczniejszej góry, rzeki, jeziora; niema zwierzęcia, niema ptaka, drzewa, krzewu, kwiatu; niema w ogóle żadnego stworzenia, którego poeta łotewski ze stosunkami lub okolicznościami żywota człowieka w jakibądź sposób nie sprzęgał. Pszczoły, mrówki, żuki, płazy, a nawet ryby ukrywające się przed wzrokiem ludzkim w głębiach strumieni, jezior i morza—nie uszły bacności łotewskich pieśniarzy, którzy, śledząc za ich właściwościami, umieli je dziwnie zręcznie zużytkować.

Ilekoć w zwierzęciu lub ptaku jakąś właściwość dostrzegli, co im człowieka w czémkolwiek bądź może przypominać, tworzą z niej zawsze obraz trafny.

Ma się rozumieć, że i ciała niebieskie już wcześniej bacność Łotyszów na siebie zwróciły, a ubrane w formy przeważnie mityczne, wchodzą z człowiekiem w najrozmaitsze styczności.

Oto słońko przyśpiesza swój zachód, ażeby strudzony pracownik wcześniej mógł się udać na spoczynek, niż to jego srogiemu panu się podoba. Innym razem pozostaje słońce dłużej za górą, bo ziębną tam małe sieroty. W czasie weselnego pochodu bożka Perkuna, przystrajają słońko brzegi lasów już to w złote, już srebrne pierścienie, korony i wieńce.

W inną znów pieśni przyświeca sierocie miesiąc do pilnej roboty, bo niebodze lampy brakuje. Zdobi także ję ubożehny orszak weselny, co jedynie dlatego wyrusza nocą, że nie mogąc jaśnieć srebrem, nikogo swym widokiem zadziwić nie zdoła. Pociesza więc nowożeńców szlachetny miesiąc, zlewając strumienie srebrzystego światła na pola i niwy, któremi weselny orszak ma postępować.

W jednej z pieśni wojennych dobroczynny miesiąc dostarcza broni strudzonym wojownikom na placu ich ciężkiego boju. On także ustępuje pocię gwiazdzistego płaszcza, dając mu swą szatą niezrównane natchnienie i zapalając go równocześnie gorliwością do tworenia maluczkich, a świecących jak gwiazdy piosnek ludowych.

W samych zaś gwiazdach, tych córach słońca a synach bożka wszechświata odzwierciedla się, wedle wieszczów łotewskich, cały żywot człowieczy. Obchodzą i gwiazdy swoje wesela, a Die ws (bożek

wszechświata), Łajmie (bogini szczęścia), słońce, miesiąc i Perkun (piorun), biorą udział w owych niebiańskich uroczystościach, nadając im nierównie więcej blasku, niż zdoła go nadać ziemskim obchodom weselnym, chociażby i najmożliwszy śmiertelnik.

Atoli zmysł do pojmwania piękna zawartego w przyrodzie bardzo jeszcze winien nas zastanowić w pieśniach łotewskich.

Już to w większej części Łotwy, lud wiejski nawet przy wyborze swych sadyb, przedewszystkiem zwraca uwagę na piękność położenia. Dlatego znajdujemy je nierównie częściej w pięknych dolinach u podgórza, przerzniętego malowniczym parowem, nad brzegami uroczych jezior lub bystrych strumieni¹⁾, otoczone czeremchą, jarzębiną i kwiecistemi krzewy, w których rozbrzmiewa śpiew słowika — niź na glebie żyznej, zwłaszcza, jeśli ta ostatnia w samotnej płaszczyźnie jest położoną²⁾.

Łotysz, samotnik, najchętniej za towarzyszków sobie wybiera wiekowe dęby, wiązy, jesiony i klony. Wszystkie zresztą drzewa leśne czują z nim razem, cieszą się i smucą. Ptactwo służy mu jakoby żywi ludzie. Kuropatwa uprawia pole sieroty, bo tego pola już nikt nie przyjdzie wyorać; pliszka buduje most, prowadzący do sieroczej obory; jarząbek staje się w lesie uprzejmym przewodnikiem młodej męzatkki, podczas gdy pierwszy raz odwiedza miejsce rodzinne; dzika kaczka zbiera rosę z murawy, by gość tak pożądany nóżek sobie nie zamoczył.

A jakże liczne zajęcia przypadają w udziale powszechnie opiewanemu słowikowi! On to jest wybranym przyjacielem i powiernikiem sieroty, on poufnym pomocnikiem kochającej pasterki, on nauczycielem śpiewu. Natomiast sikorka, owa ulubiona wróżka Łotyszów, sprawia miłe poselstwa, kruk zaś, jako ptak nieczuły i niemiłosierny, chętnie złe wieści przynosi. Matka lasów (słowo „matka“ wielką odgrywa rolę w mitologii łotewskiej) obdarza ptaszęta odpowiednimi imionami ludzkimi: słomkę nazywa ona Małgosią, jarząbka Marylką, przepiórkę Magdusią.

Matka morza często opuszcza starych rybaków, a przystąpiwszy do młodych, wywiaduje się troskliwie co też oni porabiają, czém się przeważnie trudnią? Matka pszczół (patronka bartnictwa) śledzi pilnie za bartnikami. Matka wiatru wraz z wierną jodłą zajmuje się szczerze kołysaniem do snu młodych wiewióreczek, które jeszcze gniazdeczka rodzicielskiego nie miały siły opuścić. Ponurą „matkę grobów“ hojnie darami obsypują Łotysze, aby nad ich zmarłymi współbraćmi opiekę rozciągnąć raczyła.

Nietylko zwierzęta i ptaki, ale i przedmioty martwe mówią obdarza pieśń ludowa łotewska. Zgon pocziwój starój gosposi opiekun-

1) Porównaj Manteuffel „Inflanty“, str. 56.

2) Obacz „Słownik geograficzny ziem polskich“, tom V, artykuł „Łotysz“.

ją równie wymownie jak rzewnie płoty i ogrodzenia zabudowań wiejskich, plecione na Łotwie z chrustu, pomiędzy kółkami wbitemi w ziemię.

Gdy późno w wieczór mgły się ponad strumykiem unoszą, pieśń ludowa łotewska głosi, że to dzika kaczka wypala łąznią, by kąpać swe dzieci.

Jeślibyśmy chcieli wyliczyć wszystkie stosunki i okoliczności, w jakie poeta łotewski umie siebie postawić względem otaczającej go przyrody, musielibyśmy zaiste tysiące pieśni przytaczać. Ograniczymy się przeto jedynie na kilku z tych, jakie w duszy pieśniarza tego szczepu wywołuje widok skały naddźwińskiej, noszącej u miejscowej ludności miano „Słupiego Rogu“ (Stabbu-Rags).

Skałę tę istotnie nader ciekawą, składają porowate wapienie pokryte zwierzchu licznymi kępami mchu, miejscami już skamieniałego, miejscami zaś uroczo zieleniejącego. W górnych warstwach skały, mech ten kamienieje przesiąknięty wodą, sączącą się w tysiącznych prądach ze źródeł wału ziemnego, który do tej części opoki przylega. Dzieje się to stopniowo skutkiem działania chemicznego głównego źródłiska, zawierającego wiele cząstek wapnistych. Ztąd też oczywiście pochodzi, przypominająca poniekąd koronki, muszlowato-łuszczasta formacja masy skalistej, na której utworzenie całe wieki składać się musiały. Masa ta bowiem powiększa się ciągle od góry przez przrastające do niej stopniowo coraz to nowe skamieniałości dziurkowato-rurkowate, w niższych zaś warstwach zmniejsza się od czasu do czasu skutkiem silnych prądów strumienia, a zwłaszcza kry wiosennej, która często odrywa większe lub mniejsze bryły tej pod wieloma względami nader ciekawej porowatej opoki. Tym sposobem, w dolnych jej warstwach wytwarzają się najrozmaitsze jaskinie i groty; rosną w nich i rozwijają się bujnie różnorodne rośliny, wyglądające ciekawie z obfitych szczerb i wyżłobień olbrzymiej skały, którą owa urocza zieleń w sposób czarodziejski zewsząd opina i przysztraja. Ogromna masa wody źródlanej wytryska ze wszystkich wydrążeń i dziurkowatości opoki, następnie spływa po jej ścianach skalistych, a nakoniec spada w milionach przezroczystych kropel i cienkich strug w kierunku prostopadłym, z omszałej głowy czy też brody „Słupiego Rogu;“ płynie ona dalej po płytach wapiennych i urwiskach skalnych ku wielkiemu zwierciadłu wód Dźwiny, oddalonej ztąd zaledwie o kroków kilkanaście. Szarą, tu i owdzie czerwonawą, a w części niemal czarną ścianę skalistą „Słupiego Rogu,“ otula zewsząd przejrzysta kryształowa zasłona wodna, a w niej wschodzące słońce odbija się wspaniale wszystkimi barwami tęczy.

Do tej to czarującej skały przywiązane są liczne legendy i sagi, żyjące od wieków nie tylko w podaniach, ale i w wielu pieśniach ludu łotewskiego. Z tych ostatnich podajemy kilka w udatnym a niemal

dostównym polskim przekładzie, jaki uprzejmości i talentowi jednéj z dam naszych polsko-inflanckich ¹⁾ zawdzięczamy:

1.

W poranne mgły otulony
„Róg słupi“ jęczy żałośnic,
Słonko wyjrze z niebios łona
A „Słup“ ożyje radośnie.

2.

„Róg“ zdobny w koronki słyzy
Jak o nim mówią księżęta:
Przędka tam przędzie w téj ciszy
Jedwab' na chusty od święta.

3.

Czemuż—wy dziewczęta skały
Jasných barw nie macie w stroju?
Nasze stroje mgły utkały
A opięły wody zdroju.

4.

Powiedz, dziewczę, zkąd tak cienkie
Są koronki te skaliste?
„Słupi Róg“ przadł jedwab' mięki,
Skręcał nici zdroj przejrzysty.

5.

Mateczka Rogu słupiego
Tęczowe nici zwijała,
Nićmi jedwabiu lśniącego
Chustkę sobie haftowała.

¹⁾ W wychodzącym w Krakowie „Przeglądzie powszechnym“ ogłoszono obecnie artykuł wyłącznie téj skale poświęcony, w którym znajdzie czytelnik i baladę polską pani E. B. poczynającą się od słów:

„Nad brzegiem Dżwiny widać skałę zdala“

oraz kilkanaście miejscowych piosenek ludowych przez tęż autorkę pięknie spolszczonych, z których widzimy wyraźnie, że skała naddźwińska nazwę „Słupiego Rogu“ u Łotyszów nosząca, niegdyś własną posiadać musiała mitologią. Matka téj skały ma synów i córki, ma własnych oraczy i robotników, posiada srebrne kółka i złote narzędzia rolnicze. Patrz: „Przegląd powszechny“ (Kraków, 1884, tom VI, 200—211) artykuł „Słupi Róg i jego stosunek do poezyi ludowej Łotyszów naddźwińskich“, gdzie ta kwestya w sposób bardziej wyczerpujący mogła być traktowana.

6.

Daj mi jedwabną chusteczkę
 Matulu Rogu Słupiego;
 Gdy dajesz piękną córeczkę
 Daj pokrycie łoża mego.

7.

Matko! oddasz mię mężowi,
 Oddaj komu twoja wola,
 Byle nie „Rogu“ synowi
 Bo nad nim ciąży zła dola.

Zwrotki powyższe czyż nie malują dosadnie stosunku, w jakim Łotysz zostaje do otaczającej go przyrody, której piękności głęboko odczuwa.

Przechodzimy z kolei do innego rodzaju poezji tegoż ludu.

III.

Że w pieśni gminnej łotewskiej i o świecie dzieciennym wcale nie przepomniano, o tém się czytelnik snadnie domyśli. Wszelako nie-tylko pamiętano w niej o dziatwie, ale umiano się zastosować najści-ślej i do jój pojęcia, a zawsze w sposób pełen powabu i wdzięku.

Ulubionym tematem w piosnkach tego rodzaju, jest przeważnie tęsknota za ciepłym latem. Jedzie dziatwa w wózczyku, — ale dokąd? — do krainy, w której panuje ciepłe latko.

Pierwszy śpiew skowronka nieodrównanym swym urokiem wywa-bia te maleństwa z chaty na wolne powietrze. Działwa wywiaduje się troskliwie u ptactwa o jego piskletach, zapytuje: kto téż je kołysze do snu, kto je piastuje?

W innéj nader rzewnej pieśni dzieciennéj łotewskiej, dzik kopie grób dla zmarłego pastuszka, ptactwo sprawia mu pogrzeb: na suchéj ogołoconéj z liści osinie dzwoni kukawka, usadowiwszy się smutnie na martwéj gałęzi tego najsmutniejszego z drzew krajowych, nieopodal dzieciół trudni się wyciosowyaniem drzewianego krzyża, szerszeń wy-stępuje z mową pogrzebową, drobne ptactwo odmawia pacierze, sikor-ka przyjmuje na siebie bolesny obowiązek zanieśienia rodzicom pastu-szka wieści o jego skonie przedwczesnym, a bekas wzbija się wysoko w powietrze i tam dopiero zawodzi gorzkie żale nad stratą malutkiego pasterza. Żale te i lamenta z tak znacznej wysokości, oczywiście już łatwiej zdołają przebić niebiosą.

Któż nie przyzna, że trudno żywiéj przemówić do wyobraźni dziecięcój.

IV.

Pieśni Łotyszów przy szklanicy, dowodzą natomiast że lud ten, przez nas częstokroć zapoznawany, nie tylko rozumie, na czém polega właściwy humor, ale wie dobrze o tém, co przystoi a co nie przystoi.

Na to w jego piosnkach liczne mamy przykłady.

Ulubionym i poniekąd narodowym napojem Łotysza, zarówno jak i Litwina, jest piwo, a raczej rodzaj piwa, wyrabianego przez nich samych z chmielu i jęczmienia. Napój ten zwany „oś“ lub w formie zdrobniejszej „ołutieńsz“, jak dawniej tak i dziś jeszcze obok wódki i wina, co się do Łotwy z obczyzny wkradły, ważne zajmuje miejsce; zwłaszcza, że u ludu łotewskiego żaden interes, żaden kontrakt, żadne kupno nie załatwia się bez poczęstunku. Więc piwo albo „braciszek piwko“, bo i napój zdołał Łotysz uosobić, obok wina i wódki przy każdym weselu, przy zrękowinach, przy chrzcinach i pogrzebach, słowem przy wszystkich uroczystościach niepoślednią odgrywa rolę.

Owóż, w jednej z piosnek czytamy, iż „braciszek piwko“ ma stale podtrzymywać honor domu i dopiero gdy już z obowiązku grzeczności przeprowadził uprzejmie wszystkich gości daleko aż za chatę, wtedy ma niezaprzeczone prawo zwalenia z nóg samego pana gospodarza.

W innej pieśni tegoż rodzaju, znajdujemy słowa następujące:

Próżny gąsior, stara panna
Nawijają mi się często;
Młode dziewożę, gąsior pełny
Ci mię stale wymijają! ¹⁾.

Czyż nie nosi ta piosnka cechy prawdziwie humorystycznej, której od spokojnych i flegmatycznych Łotyszów najmniej możnaby oczekiwać.

A tu znowu podaje próbkę pieśni szyderczej. Ta, przy całej złośliwości, zdradza i dar obserwacyi.

Prosię zlobka nie wypróżni,
Nie wkroczywszy doń nogami;
Bogacz kubka nie wychyli
By biédnego nie wyszydził ²⁾.

¹⁾ Porównaj oryginał łotewski ogłoszony w „Magazin der letisch-litorarischen Gesellschaft.“ Band VIII, pag. 199, w zbiorze pieśni gminnych z okolic Kabillen, posiadłości książąt Liwonów w Kurlandyi, w powiecie talzeńskim.

²⁾ Porównaj oryginał łotewski w zbiorze piosnek ludowych z okolic

A czyż może wyobraźnia najżywsza przedstawić sobie coś bardziej drastycznego nad ów opis złośnicy, która „urwawszy w gniewie róg żubrowi, siada konno na wilka i trąbiąc na świeżo urwanym rogu, goni zapamiętałe przez puszcę i pola nieurodzajne,“ albo ów drugi niemniej ciekawy obrazek, jaki w innej pieśni gminnej łotewskiej odnajdujemy:

„Leniwa gospodyni niechno sypia spokojnie, bo u niej robota zawsze załatwiona: świnię wykopały niezbędne do obiadu kartofle, koza poszatkowała kapustę, kura naszczypała cebuli, kogut dostarczył trzasek do ogniska, pies zapalił w piecu, a masło zrobił kot.“

V.

Atoli w nieprzebraném mnóstwie pieśni łotewskich, niepoślednią mają wartość i te, z których się daje utworzyć osobna grupa, w jakiej każda pojedyncza piosneczka zawiera pewien morał ludowy.

Pieśni tej grupy tak są naturalne, tak czysto łotewskie, a tak starożytne, że trudno w nich nawet dopatrzeć błogosławionego wpływu chrześcijaństwa, tkwiącego zresztą bardzo głęboko w szczepie Łotyszów, który z tego względu przez niektórych etnografów bywa porównanym do słynnych z pobożności Żmujdzinów. Zniewoleni raczej jesteśmy przypisać zalety tych piosnek wrodzonemu poczuciu moralności, które jeszcze z czasów pogaństwa w plemienu łotewskiém istnieć musiało, lubo przez dawnych kronikarzy nie dostrzeżone.

Trudno zaprzeczyć że niepodobna lepiej uzasadnić obowiązku dobrego sąsiedzkiego pożycia, niż go określa pieśń gminna z okolic Kabillen temi kilku słowy:

Nigdy się nie poróżniła z sąsiadem;
Po drożdże do sąsiada biegam,
Do sąsiada i po ogień ¹⁾.

Jakie to trafne. Wszak drożdże i ogień — chleb i ogrzanie mieszkania — stanowią pierwsze i najbardziej nieodzowne warunki życia ludzkiego. Na chętném wyręczaniu wzajemném w potrzebach, opiera więc pieśń ludowa łotewska prawdziwą a niczém niezamąconą zgodę sąsiedzką.

Niemniej trafnym i głębokim jest morał zawarty w innej piosnce tejże grupy, który poniekąd stanowi pewien rodzaj komentarza do czwartego przykazania Boskiego, jakie u Łotyszów, nawet za czasów pogańskich, dosyć ściśle musiało być zachowywaném. Piosnkę tę podaję w dosłownym przekładzie:

Kabillen „Magazin der lettisch-literarischen Gesellschaft.“ Tom VIII, stron. 159.

¹⁾ Porównaj oryginał łotewski w „Magazin der lettisch-literarischen Gesellschaft.“ Tom VIII, str. 159.

Dopiórom w drodze żal srogi uczuła
 Żem matce czulej rąk nie uściśnieła!
 Niegdyś, gdym jeszcze leżała w kolebce,
 Do niej to jedną wyciągałam rękę ¹⁾.

Są to oczywiście słowa panny młodej, dążącej do domu nowozaślubionej małżonka, a bolejącej nad tём, że, śpiesząc zbyt pochopnie za swym lubym, niedość tkliwie z własną pożegnała się matką.

Już to tego rodzaju delikatności uczuć rodzinnych tysiączne w pieśniach ludowych łotewskich napotykaemy przykłady. Oto: do wozu, w którym się wywożą zwłoki syna, niema się w żadnym razie zaprzęgać konia białego; oko bowiem matczyne — są słowa pieśni gminnej — goniąc pomimowolnie za żalobnym orszakiem, dłużejby białego konia dostrzegało. Braciom rodzonym, odjeżdżającym konno z domu nowozaślubionych — tak głosi pieśń inna — nie godzi się dąć w „taury“ (rodzaj rogu w kształcie trąby), by pozostającej tam siostrze nie przedłużać bolesnej chwili rozstawania się z własną rodziną.

Lubo powyższe rysy poniekąd graniczą już z czułościowością, przemawiają one wszakże bezwarunkowo i za wrodzoną delikatnością uczuć szczepu łotewskiego, a tój nie wszyscy etnografowie Łotyszów dopatrzeć u nich zdołali, co wszakże tylko temu przypisać należy, że lud ten w ciągu wielu wieków uciskany, wolał oczywiście uchodzić za tępy i nieczuły, niż być zrozumianym przez obcych.

Obyczajność i skromność kobieca niekiedy bywa posuwaną do najwyższego stopnia, gdy naprzykład dziewczę łotewskie nie dozwala zaznajomić ze swoim imieniem starających się o jój rękę, jakkolwiek konkurencji już za samo wyjawienie imienia dziewczyny, znaczne jój braciom ofiarowują dary, albo znowu gdy śliczna piwowarka, poleciwszy zaprosić nadobnych młodzieńców na piwo, wcale się gościom niepokazuje a po ich odjeździe wyśpiewuje sobie wesoło:

Ci wypili słodkie piwko
 Lecz mię samój nie zoczyli,
 Czy tóż młodą, czy tóż piękną
 Jest uprzejma piwowarka? ²⁾.

Małżeństwo pomiędzy bliskimi krewnymi razi poetyckie uczucia

¹⁾ Porównaj oryginał łotewski w zbiorze pieśni gminnych z okolic Palcmaru (w Inflantach szwedzkich, czyli gub. ryskiéj) „Magazin der lettisch-literarischen Gesellschaft.“ Band VIII, pag. 226.

²⁾ Porównaj wiersz oryginalny łotewski w zbiorze pieśni gminnych z okolic Mesothern, dóbr kurlandzkiéj gałęzi książąt Liwenów w powiecie bowskim, ogłoszony w „Magazin der lettisch-literarischen Gesellschaft.“ Tom VIII, str. 124.

szczepu łotewskiego. Widząc siebie samą wyłącznym celem zalotów młodego krewniaka, woła urażone dziewczę z prawdziwą zgrozą:

Rzucam mój pierścień w gąszcz płaczącej łozy,
 Wianek na trzcinie zielonej zawieszam,
 A sama nurząc się w głębiach strumienia
 Przyłączyć się pragnę do dzikich kaczek.
 Stokroć mi lepiej być dziką
 Kaczką, niżli lubą brata ¹⁾.

W języku łotewskim dzika kaczka nazywa się „rauduwie,“ a płacze „raudy,“ wynika więc ztąd gra słów niełatwa do oddania w innym języku. Bratem zaś zwykł mianować Łotysz w poezjach swoich brata stryjecznego, lub ciotecznego, ilekroć przytém nie dodaje przymiotników „rodzony“ lub „właściwy,“ a raczej „własny.“

Charakterystyczny rzut oka na pożycie rodzinne Łotyszów daje nam krótka pieśń gminna, w której młodziutka wdowa wyznaje przed swą matką, że jój tak wcześniej opłakiwany towarzysz życia, ilekroć po całodziennym znoju wracał strudzony do chaty, zawsze się tylko po ciemku rozbierał, by krzesaniem ognia nie przerywać snu żony ²⁾.

Liczne przykłady i tego rodzaju delikatności dałyby się z pieśni gminnych łotewskich wielokrotnie przytoczyć. Tu zaś jeszcze tylko o piosnkach pastuszków cośkolwiek wspomnąć musimy.

Podnoszą one i usłiewającą zmuindy zawód pasterski i to w sposób, któremu niepodobna odmówić ani wzniosłości ani też poczucia poetycznego.

Oto naprzykład w jednej z nich woła ktoś z przechodniów do pastuszka:

I któż to się mój srokaczu
 Tak uroczu dziś przystroił?

Na to odpowiada pastuszek:

Święta Marya ukraśnia
 Paszą tu w niedzielę rano ³⁾.

¹⁾ Porównaj oryginał łotewski (z okolic wspomnianego powyżej Kabillen), ogłoszony w wydany przez wieloletniego prezesa Towarzystwa łotewsko-literackiego, dr. Augusta Bielensteina w Lipsku, w latach 1874 i 1875 w „Zbiorze pieśni łotyszów“ (Latweeschu tautas dseemas) na uczczenie 50-letniej rocznicy założenia Towarzystwa, II, 269.

²⁾ Porównaj zbiór pieśni gminnych z okolic Goldyngi w Kurlandyi, „Magazin der lettisch-literarischen Gesellschaft.“ Tom VIII, str. 80.

³⁾ Oryginał łotewski używa tu słowa opisala, to znaczy: umalowała, ukraśnia. Tak śpiewają pastuszkowie łotewscy w Inflantach polskich.

VI.

Większa część przytoczonych powyżej piosnek łotewskich, należy do liczby tak zwanych „upities sanaszas,” czyli utworzonych z drobnych przedmiotów, jakie znosi wiosną woda strumyka, a o których jużemy powyżej coś napomknęli. Tu zaś dla uzupełnienia porównania ich do kropel rosy, niech nam będzie wolno dodać jeden rys jeszcze.

Jak owe krople purpurą oblane, tylko wtedy migotliwe barwy roztaczają do koła, gdy punkt, na którym stoimy, jest odpowiednim do światła wschodzącego słońca, tak i pieśń ludowa łotewska tylko wtenczas nabiera znaczenia i tylko wtenczas należy być ocenioną, gdy względem niej odpowiednie zajmiemy stanowisko, gdy się na nią z właściwego punktu widzenia zapatrujemy. To też przedewszystkiem winniśmy sobie uprzytomnić jej właściwe przeznaczenie, oraz sposób w jaki powstała.

Są to przeważnie piosnki okolicznościowe a tak skromne i tak krótkie, że bez pewnego natężenia uwagi nic osobliwego w nich dopatrzyć nie zdołamy. Ucho nasze powinno czuć ów nastrój, w jakim pierwotnie zabrzmiały, a w jakim i dotąd głos ich rozlega się wdzięcznie do koła.

Pewne zjawisko, okoliczność, lub jakaś wybitniejsza osobistość, ściągają na siebie uwagę łotewskiego pieśniarza i wpływają na wybór wykonywanych przezeń piosenek. Skorzysta on zawsze z okoliczności i pragnąć będzie takie tylko w słuchaczach obudzać uczucia, takie tylko na nich wywierać wrażenia, jakie śpiewając, za odpowiednie uznaje. A więc, w obec łagodnej i troskliwej macochy, nie przejdzie mu nigdy przez myśl wyśpiewywać o złych macochach, jakkolwiek ten temat i w poezyi ludowej Łotyszów nadzwyczaj często się zdarza.

Nie traktowalibyśmy rzeczy z właściwego jej stanowiska, zarzucając piosnkom łotewskim ubóstwo myśli, z tego tylko powodu, że są niezwyklej krótkości. Najprzód, pomimo uderzającego lakonizmu, treść ich nierównie jest bogatszą niż to się zrazu wydaje. Myśl w nich częstokroć tylko z lekka bywa natrąconą, a słuchacz już sam winien

Natomiast w Kurlandyi — są słowa dr. A. Bielensteina — napotykamy mniej poetyczną wariantę. Pastuszek zapytuje krowkę:

Kto cię krowko ty srokata
Tak uroczu dziś przystroił?

i sam następnie odpowiada:

Święta Marya ukraśnia
Pasząc tu w niedzielę rano

Powrótnaj: A. Bielenstein l. l. II, 345.

ją dopełnić, jak to naprzykład, pomiędzy wielu innymi wykazuje i następująca piosneczka:

Ach! pastuszka przeprowadzać
 Nie dozwala mi macezka!
 A za górą psy szczekają,
 Rżą bułane tam rumaki ¹⁾.

Malują się w niej dosadnie uczucia dziewczęcia wychodzącego dopiero z lat dziecięcych. Z chaty rodzicielskiej, której niewolno jęj jeszcze opuszczać, słyszy dziewczeczka wyraźnie jak za górą psy szczekają, jak rżą tam konie. To w dorastającym dziewczęciu obudza pierwsze, niemal bezwiedne pragnienia wzięcia choć trochę udziału w owym wesołym życiu, jakie się w tej chwili młodziutkięj, prawie dziecinnęj wyobraźni, już dosyć żywo przedstawia. „Słuchając uważnie tej piosnki—są słowa Buettnera — zdawałoby się, że w niej poeta maluje ową granicę co lata dziecięce od dziewiczych przedziela.” Treść więc króciuchnej piosneczki, przy uważnem jęj słuchaniu, nie zdaje się wcale grzeszyć ubóstwem myśli.

A potem, należy także przyznać, że niezmierna obfitość piosnek gminnych łotewskich, wynagradza niejako ich krótkość; dla tego nie-można tych piosneczek rozpatrywać pojedynczo. W życiu bowiem Łotysza, występują one tylko w śpiewie i to, z wyjątkiem piosnek pastuszków, kotysanek i prądek (pastorales, berceuses et chants des fileuses), tylko w śpiewie ludowym chóralnym, w którym wiele ich z rzędu wykonywa się jednym ciągiem.

Godzinami całemi trwa ta rozrywka ludowa; jedna piosnka bezustannie łączy się z drugą, aż nakoniec znużona „Tejceja,” czyli główna pieśniarka, intonująca śpiew i prowadząca chór cały, czuje się zniewoloną ustąpić jego kierownictwa którejś ze swych licznych towarzyszek. O tym rodzaju śpiewów ludowych tak niejasne dotąd mamy wyobrażenie, że zwykle niepojmujemy ani jego uroku, ani doniosłości, ani znaczenia.

Wiele takich piosnek wykonywanych z kolei, tworzy dopiero jakąś całość; ta wszakże za każdym wystąpieniem śpiewaków odmienny przyjmuje wyraz, a często i odmienny charakter.

Przedstawia się nam ona poniekąd jak łańcuch, którego wszystkie pojedyncze ogniwa za każdym razem inaczejby się dały ze sobą powiązać, stosownie do okoliczności i usposobienia tak śpiewaków jako i słuchaczy, którzy, pociągnięci urokiem wspólnęj pieśni ludowęj, stopniowo niemal wszyscy do chóru się przyłączają ²⁾

¹⁾ Oryginał łotewski porównaj w „Magazin der lettisch-liter. Gesellschaft.“ VIII, 93, (zbiór pieśni gminnych z okolic Cyrau i Dzerwon, dóbr kurlandzkieję gałęzi Manteufflów).

²⁾ Patrz „Słownik geograficzny ziem polskich“ Warszawa (1884 r.) tom V, artykuł „Łotyszc.“

W taki to sposób śpiewy gminne łotewskie nie tylko rozweselają i pocieszają lud cały, ale wywierają nań wpływ nader korzystny, rzekłbyś, rozlewają się po całej Łotwie jak deszczyk pogodny lub ożywcza rosa, nadająca siły żywotne wszystkim ziemiom przez szczep łotewski zamieszkałym.

Pieśń gminna tego szczepu jest pieśnią ludową, w całym znaczeniu tego wyrazu. Wyrosła ona z serca samego ludu, a lud ten cały tak dalece zdawał się zupełnie jednakowo do jęj wzrostu przyczyniać, że nawet ani jedno podanie nie przekazało nam imienia jakiegobądź łotewskiego poety. Więc słusznie o Łotwie powiedziećby można: dusza ludu jest tu pieśniarzem.

Pieśń Łotyszów jest prawdziwą pieśnią ludową, gdyż w jęj wykonaniu lud cały przyjmuje udział i przyswoił ją sobie całkowicie. Na całej przestrzeni nie znajdziesz i jednej wsi, w którejby się nie rozlegała wesoło, w którejby nie brzmiała już to przy kądzieli, już przy innych zatrudnieniach domowych. Jedną z takich piosnek podajemy w udatnym polskim przekładzie, który, na naszą prośbę, uskuteczniła temi czasy wspomniana już wyżej szanowna rodaczka nasza pani E. B. z Inflant polskich, z ziemi od wieków przez szczep łotewski zamieszkałej. Jest to prządka śpiewana przez młode Łotewki na przestrzeni całej Kurlandyi, zwłaszcza zaś w okolicach tak zwanego „Słupiego Rogu,“ o którym jużesmy w swoim miejscu napomknęli.

Z wrzecion płyną nici liczne
 Jak płyną potoku wody:
 Jak wód krople tak są liczne
 W pracy kwitną wsie i grody.

Luby wróci; dziewczę swoje
 Znajdzie strojne i nadobne;
 A wszak to jęj rączek dwoje
 Przędło szaty te ozdobne ¹⁾.

VII.

Lecz nie tylko w chacie rozlega się wesoło głos pieśni ludowej łotewskiej. Brzmi on na łądzie i na wodzie, na polach i po lasach; co więcej, rzeczby można z pewnością, że w krajach przez Łotyszów zamieszkałych niema lasu, łąki strumienia, jeziora, wybrzeża morskiego, gdzieby śpiew gminny słyszeć się nie dawał, jakkolwiek przy wrażliwej kulturze, pieśń ludowa częstokroć zamienianą bywa innemi niewiedzieć jak i przez kogo na tenże język łotewski tłómaczonemi.

¹⁾ Patrz „Przegląd powszechny“ (Kraków 1884) tom VI, 208 artykuł „Słupi Róg“ i jego stosunek do poezyi ludowej łotyszów naddziwińskich.

Głos ten jest pieśnią ludową, bo przy każdej okoliczności zespala się i zlewa z życiem ludu, przenika najzupełniej jego położenie, jego byt: jest najwierniejszym zwierciadłem życia ludowego na Łotwie. To też niema tam osoby, jakiegoby stanu i charakteru ona nie była, któraby nie mogła zawołać z najzupełniejszą słusnością: pieśń ta jest dla mnie stworzoną, jest moją.

Treść pieśni gminnej łotewskiej, równie bogata jak rozmaita, dla łatwiejszego zorientowania się czytelnika, dałaby się ująć w ramy następujące:

P I E Ś N I				
treści ogólnej	okolicznościowe i przygodne	zastosowane do pewnego czasu	zastosowane do pewnego zawodu	zastosowane do pewnego położenia
1. mitologiczne 2. opiewające przyrodę 3. opiewające miłość 4. opiewające walec śpieniu 5. zawierające ja-kiś moral-ldowy	1. weselne 2. przy chrzci-nach 3. pogrzebowe 4. przy szklaniccy 5. szydercze	1. świętojurskie 2. świąteczne 3. kolędowe 4. zapustne	1. pieśni pastuszkowe 2. — rybaków 3. — bartników 4. — żniwiarzy 5. — rolników a) pieśni oraczy b) przy siano-kosie c) przy wianiu i czyszczeniu zboża d) przy zbiorze inn	1. piosenki dzieciadne 2. pieśni świąt 3. pieśni wdów 4. pieśni przygnie-clonych ubóstwem 5. pieśni zastoso-wane do najroz-nomniejszych in-nych położzeń.
	6. żołnierskie, a raczej pože-gnane z idę-cymi do boja		6. pieśni piastunek	

Tablica powyższa wykazuje dokładnie jak dalece pieśń złąta się z życiem ludu łotewskiego, jak wszelkie jego położenia całkowicie objąć zdołała? Dla lepszego rzutu oka na całość, wyróżniliśmy kursywą pieśni w poezyi gminnej Łotyszów najliczniej przedstawione, co zaświadczy dosadnie o rodzaju poetycznego ustroju tego plemienia. Praca twarda, wielowiekowa, wpływała na degeneracyą rasy; ów nadmierny fizyczny trud i zależność ludowa stepił nawet uczucia. Ztąd téż uczucia melancholijne przeważają w pieśni łotewskiej. Weselna pieśń nawet częściej zawiera uczucie żalu za przeszłością, tęsknoty, obawy nieznanego jutra, niż prawdziwego wesela. Wszystko to najdokładniej dowodzi, że pieśń na Łotwie z serca samego ludu wyrosła.

Już to pieśń gminną łotewską i dlatego za prawdziwą pieśń ludową uważać należy, że nigdzie nie przekracza granic ludowego życia. Polotem myśli nie sięga nigdy do świata abstrakcyjnego, a porusza się wyłącznie w zakresie przedmiotów, dających się ująć, lub przynajmniej widzieć wyraźnie. Niema w niej ani śladu idealnego pojmowania żywota ludzkiego. Lubo natrafiamy w niej często na poglądy prawdziwie moralne, świadczą one tylko o skłonności Łotyszów do wszystkiego, co jest szlachetnym i obyczajnym; nie znajdziemy wszelako ani jednego przykładu, ażeby poeta łotewski choć na chwilę się podniósł ponad poziom ludowego uczucia.

W zapatrywaniu się na życie nie odróżnia się on nigdy od ogólnej masy swego ludu. Niema na Łotwie ani osobnej szkoły, ani wyłącznej kasty, któraby uprawę poezyi w swą dłoń umiejętną ujęła. Dlatego téż żadnego postępu w pieśniarstwie dostrzedz nie można. We wszystkich piosnkach łotewskich tchnie jeden i ten sam duch, o sztuce rymotwórczej tego plemienia nie może być wcale mowy, a chyba tylko o jego poetycznym nastroju, o niepohamowanym pociągu do wynurzania w pieśni wszystkiego co czuje, który to pociąg wrodzony, prędzejby już można przyrównać do tego, jaki zwykł ożywiać ptaszków śpiewających, niż do rozwiniętej sztuki.

Niema więc tu najmniejszego postępu, a na piosnkach nieznac nawet ich starożytności. Z wyłączeniem kilku zupełnie przypadkowo w nich przytoczonych faktów dziejowych, żadnego znamienia o czasie ich utworzenia znaleźć nie można. W niektórych jest mowa o bawole a raczej o żubrze, którego wspaniałe rogi służą równocześnie za naczynia do picia i za trąby weselne i pasterskie, czyli tak zwane „taury.“ W innych znowu wspomnianym jest dzik, którego prosięta do szczętu powymarzały. Ponieważ zaś oba te rodzaje zwierząt już przed wieki w krajach łotewskich wyginęły, wzmianka przeto o nich oczywistym jest dowodem dawności piosenek.

Jest w nich także mowa o wojnach z Krywiczami, z Litwą, z „Krewami“ (Rosyanami) i Polską, a nawet o zaciętych walkach na morzu. Są to wszystko oznaki zewnętrzne.

Za starożytnością niektórych, przemawia także ich niezmiernie

rozpowszechnienie. Nie jedna z nich niemal temż samemi słowy i tąż nutą śpiewaną bywa zarówno na zachodnich wybrzeżach kurlandzkiego półwyspu, jak i na najdalej na wschód wysuniętych krańcach Inflant już to polskich, już szwedzkich.

Wszelako z samego ducha tych pieśni ludowych niepodobna dojść czasu, w którym utworzone zostały. „Jeśliby jakiś tekst starodawny treść ich dosłowną na piśmie był przechował—powiada prezes uczonego towarzystwa łotewsko-literackiego—możebyśmy w zmianach językowych pewne wskazówki zdołali odnaleźć.“

Atoli pieśń ludowa łotewska przechodziła tylko z ust do ust, z pokolenia w pokolenie i dla tego jest pewnem, że, jeżeli język pierwotny ulegał niegdyś jakim bądź zmianom, ślad tego zagaął dla nas bezpowrotnie.

Niepodlega wątpliwości, iż piosnki te nie w jednym czasie zostały utworzone. Bardzo być może, że całe stulecia na nie się składały. Są one jednym ciągiem z dawien dawna płynącym produktem twórczej duszy narodu łotewskiego. Lubo niektóre noszą na sobie piętno dalekiej starożytności, niezbywa i na takich, które nowszych sięgają czasów. I dziś jeszcze, przy różnych okolicznościach, nowe tworzą się pieśni, mniej naprawdę wykończone, świadczące jednak wymownie o poetycznym nastroju Łotyszów.

Bądź co bądź, pieśni łotewskie puściły od wieków korzenie do głębi samego ludu i żaden wpływ zewnętrzny, żadna siła obca, wyróżniająca się od masy ludu, w ich tworzeniu najmniejszego udziału nie miała. Jaśnieją w nich najdosadniej: czyn ludowy, myśl ludowa i słowa czy-sto ludowe.

Na tém zamykając nasz krótki zarys poezji ludowej łotewskiej, wracamy raz jeszcze do wspomnianego już parę razy obrazu o kropkach rosy.

Jeśli z jednej strony wyznajemy, że często te kropelki dla tego nie zdają się nam być oblanemi uroczym światłem wschodzącego słońca, żeśmy nie stanęli na odpowiednim widokowi stanowisku, wyznać też musimy z drugiej, że wiele i bardzo wiele piosnek łotewskich najzupełniej są pozbawione owych pięknych migotliwych barw, jakie na kropkach rosy o porze porannej zwykliśmy podziwiać, że na wielu z tych piosneczek barwy owe uroczy i wtedy nawet nie będą mogły zajaśnieć, jeśli względem nich i najbardziej korzystne stanowisko wybierzemy. Nic nieznaczące porównania, naciągane obrazy, nie zasługują na najmniejszą uwagę, nawet we własnej ojczyźnie tych pieśni, a tém bardziej u szerszego koła czytelników.

Atoli ta okoliczność, zdaniem naszym, w niczem nie zmniejsza wartości tylu innych piosnek udatnych; sąd nasz ogólny o poezji ludowej Łotyszów skrzywiłby ona mogła chyba w tym razie, gdybyśmy jakimś nieszczęśliwym trafem wiedzeni, w licznych zbiorach pieśni gmin-

nych łotewskich zawsze tylko na same jałowe piosenki natrafiali, a udatnych wcale nie szukali.

Znaczną część tych pieśni zebrał i wydał w Rujen w dwóch tomach w latach 1807 i 1808 G. Bergmann; następnie Buettner w r. 1844 ogłosił w wychodzącym w Mitawie „Magazin der lettisch-litterarischen Gesellschaft,“ a mianowicie w tomie VIII tego zbiorowego dzieła (na stronicach 1—240) parę tysięcy tychże pieśni gminnych. W roku 1868 ogłosił w Wilnie Sprogis kilka tysięcy piosenek gminnych łotewskich, wraz z komentarzami rosyjskimi, w dziele: „Pamiętniki łatyszskaho narodnaho tworczestwa.“ Rok 1869 przyniósł zbiór piosenek łotewskich polsko-inflanckich, ogłoszonych przez nas w „Magazin der lettisch-litterarischen Gesellschaft“ XIV Bandes, 2-es Stück. W roku 1873 wyszedł w Moskwie kosztem W. A. Daszkowa obszerny zbiór pieśni łotewskich, który układał Łotysz rodowity Briwziemnieks. Wkrótce potem ogłasza uczony prezes łotewsko-literackiego Towarzystwa dr. August Bielenstein, na uczczenie 50-letniej rocznicy założenia tego Towarzystwa, najobszerniejszy nowy zbiór pieśni gminnych Łotyszów, wydanych w Lipsku w latach 1874 i 1875 w kilku częściach, z których dwie mamy przed sobą. Ze zbiorów Bielensteina, mieszczących w sobie aż 9000 pieśni, wyciągnął wiele udatnych piosenek K. Ulmann i wydał je w Rydze w r. 1874 w niemieckim przekładzie pod tytułem: „Lettische Volkslieder übertragen im Versmasse der Originale.“ Zbiorek ten miłośnikom pieśni ludowej polecamy, gdyż z wielu względów jest ciekawym i pouczającym a z niezwykłą oględnością ułożonym.

Przy tworzeniu piosenek gminnych łotewskich panowała, jak się zdaje, najbardziej wolna konkurencya.

Atoli tam, gdzie wszystko, co żyje układa wiersze, niepodobna oczekiwać, ażeby wszystkie utwory były wybornymi; wymagać tego niepodobna nawet i od takiego narodu, któryby do poezyi najbardziej był uzdolnionym.

Ileż to ladajakich poetyckich utworów niewidzimy my i w innych narodach, a do tego jeszcze w szacie wspaniałej drukiem ogłaszanych, przy których przewertowaniu doznajemy coś z zawodu, jaki przynosi z sobą bliższe poznanie świetnie wystrojonej damy, której dowcip nie odpowiadałby wykwintności ubrania.

Jakżebyśmy więc mogli wymagać od ciemnych Łotyszów, ażeby oni tegoż rodzaju nędzot sobie tam gdzieś cichaczem już nigdy a nigdy nie wyspiewywali?

Jużeśmy wspomnieli wyżej, że śpiew na Łotwie jest obyczajem ogólnym i rozlega się wszędy. Tu zaś jeszcze winniśmy dodać, że tak śpiewacy, a raczej śpiewaczki, jako i słuchacze, są tam w ogóle nadzwyczaj oględni a nawet skrupulatni. Skrupulatność ta i oględność uwydatnia się zarówno w wyborze, jako też w sądach o mających się

wykonywać pieśniach. Dowodzą tego najdobitniej piosnki następujące:

Gdy mi brakło pięknej pieśni
Jam niepięknej nie śpiewała.

albo:

Gdybym ja była wiedziała,
Że podsłuchują me piosnki,
Tylko bym takie śpiewała
Com je już z mnóstwa wybrała ¹⁾.

albo:

Jam w czasie późnego wieczora
Śliczniutkie piosenki śpiewała;
Bodaj ich słuchała Mora ²⁾
Co mię dziewczę wychowała.

Jeśli dziś zbieramy te pieśni dzieje się to zwykle w ten sposób, że pierwsza lepsza z mniej dyskretnych Łotewek, posiadająca ich dużo w głowie, dyktuje je z pamięci zbieraczowi, który je skwapliwie spisuje.

Jeśli wszakże taka dyktująca Łotewka nie ma poczucia ducha ludowego, łatwo przewidzieć, jak smutnie wypaść musi ostateczny rezultat takiego zbioru.

Inaczej się dzieje gdy doświadczona rodaczka przewodzi improwizowanemu chórowi ludowemu Łotyszów. Jest to u nich honor nie lada uchodzić za prawdziwie dobrą „Tejceją,” t. j. intonatorkę i kierowniczkę śpiewów ogólnych; pochlebia to miłości własnej zastąpić u swoich z tego, że się umie oględnie wybierać tylko same powabne piosenki. To też w gronie czysto łotewskiem najbezwzględniej odrzucają wszelkie jałowe piosneczki a tylko udatne śpiewają. Tam więc jedynie znajduje się żniwo dla fachowych zbieraczy, z którego też bardziej inteligentni już po części korzystali i z niego długo korzystać jeszcze będą. Liczne wprawdzie posiadamy zbiory pieśni różnych ludowych, wszelako to nie przebrane źródło poezyi długie jeszcze lata zasilać będzie teki zbieraczy i zawsze coś nowego dorzuci do skarbnicy literackiej świata.

¹⁾ Por. oryginał łotewski w „Magazin der lettisch-litārarischen Gesellschaft“ Tom VIII, str. 93 w zbiorze piosnek gminnych z okolic Cyrau i Dzerwen.

²⁾ Mora w języku łotewskim jest to imię chrzestne i znaczy Marya.

TOWARZYSTWO IXÓW.

(Ustęp z dziejów krytyki w literaturze polskiej).

Rok 1814, który w dziejach Europy tak ważną odegrał rolę, zwiastował na niwie cywilizacji i oświaty polskiej szczęśliwą zmianę w rozwoju sceny ojczystej. 10-go lipca t. r. objął Ludwik Osiński, słynny klasyk, dyrekcją i „antreprzyzę“ teatru warszawskiego z rąk swego teścia W. Bogusławskiego, steranego już wiekiem i dolegliwościami. W tym czasie zmienił się skład dyrekcji rządowej, rozciągającej większą opiekę nad teatrem i szkołą dramatyczną ¹⁾. Niebawem z wskrzeszeniem Królestwa Polskiego, skupiła stolica rozproszonych w kraju i zagranicą rodaków, których ciekawość lub potrzeba rozrywki wiodła tłumnie do teatru. Z ruchem dziennikarskim obudziło się życie umysłowe, a zamiłowanie oświaty i rzeczy ojczystych stało się powszechném. W tym właśnie czasie zawiązało się pierwsze u nas towarzystwo krytyków teatralnych, ukrywające się pod literą X, w celu podniesienia sceny i rozszerzenia lepszego smaku. Oddawna już dawała się czuć potrzeba krytyki teatralnej. „Jak rosy niebieskiej spiekła upałem niwa, tak scena polska wygląda krytyki“ powiada w „Pamiętniku warszaw.“ (z maja 1815, II, 109) S. O. (kraszewski), wyczekujący zjawienia się polskiego Geoffroi a podobnie uczonej i dowcipnej krytyki, któraby nadała opinii publicznej kierunek, a dyrekcji artystycznej wskazała drogę, jaką statecznie kroczyć powinna. W Gazecie warszawskiej, redagowanej przez A. Lesznowskiego i w Gazecie Korespondenta warszawskiego i zagranicznego pod redakcją W. Pękalskiego, okazywały się już przed wystąpieniem Towarzystwa IXów sporadyczne sprawozdania, przeważnie z uroczystych nadzwyczajnych przedstawień teatralnych; ale dopiero zabiegom kilku gorliwych o podniesienie sceny narodowej osób, z „wyższego towarzystwa,“ zawdzięczamy systematyczne „aktualne“ kryty-

¹⁾ Por. Bibl. Warsz. zeszyt za maj 1885 r.

ki ¹⁾. Ówczesne „Towarzystwo warszawskie“ składało się z kilku hierarchicznie odróżniających się domów, nadających ton całej Warszawie. Jeszcze żyją osoby, które pamiętają zabawy i zebrania literackie w salonach Zamoyskich, Potockich, Krasińskich, Lanckorońskich i i. W Pamiętnikach Koźmianów (ojca i syna) i Niemcewicza, tudzież w „Obrazach“ Falkowskiego, znajdziesz liczne dowody wpływów i znaczenia tych zebrań. Nas tu zajmie tylko jeden odłam tego towarzystwa znany pod imieniem „koteryi puławskiej“, trzymającej prym w Towarzystwie Ixów. Rodzina Czartoryskich, odznaczająca się, jak wiadomo, gorliwem zamiłowaniem wszystkiego, co było polskiém i przyczyniająca się oddawna najwięcej do utrzymania ducha i języka narodowego, do podniesienia nauk, literatury i sztuki ojczystej, zasłużyła się względem cywilizacji polskiej także i przez czynną opiekę sceny. Grono osób bliżej lub dalej téj rodziny stojące, zajęło się i teraz sceną narodową. W przekonaniu, że teatr bez krytyki rozwijać się nie może, że równie autorowie jak artyści potrzebują zachęty a razem przestróg i nauki, zawiązało się Towarzystwo krytyki teatralnej. (Pamiętniki A. E. Koźmiana, t. I, str. 146).

Osoby w skład tego Towarzystwa wchodzące, kwiat społeczeństwa i literatury za Księstwa Warszawskiego, założyły równocześnie Towarzystwo Dobroczyńności dla ulżenia ciężaru i nędzy w kraju. (Pierwsze ogłoszenie Towarzystwa w Gazecie warszawskiej z 24 grudnia 1814 r. nr. 103), a jako członkowie (czynni, przybrani albo korespondenci) Towarzystwa przyjaciół nauk, tudzież ministeryum oświecenia, przyczynili się wiele do podniesienia oświaty, języka i nauk w Polsce. (Patrz Roczniki Tow. przyj. nauk 1812 i 1830, t. XXI, str. 250).

Wszyscy uczestnicy tego Towarzystwa piastowali obok tego ważne urzędy publiczne, wszyscy klasycy bowiem poszli w służbę publiczną i tam ich zasług szukać należy, a nie na polu sztuki.

Przypatrzmy się bliżej członkom tego „wieczornego“ Towarzystwa. Zawiązało się ono 1814 r. pod przewodnictwem Mostowskiego i w jego domu, dlatego należy mu się tutaj pierwsza wzmianka.

Tadeusz Antoni hr. Mostowski (ur. 19/X 1766, † 6/XII 1842) za czasów Księstwa i Królestwa minister spraw wewnętrznych, później senator-wojewoda, niegdyś przypominający nieco Don Żuana, był w owym czasie już prawie starcem zmęczonym polipem w nosie i hemoroidalnym cierpieniem, obojętnym w życiu familijném, choć czynnym mężem stanu. Działalność jego na polu publiczném ocenił a może i trochę przecenił przyjaciel jego Kajetan Koźmian (w Pamię-

¹⁾ O potrzebie i zadaniu prawdziwej krytyki czytał na posiedzeniu Towarzystwa przyjaciół nauk już 21 stycznia 1811 r. obszerną rozprawę St. Potocki, później minister oświecenia i głośny autor „Podróży do Ciemnogrodu.“ (Rozprawa ta drukowana w Rocznikach Tow. przyj. nauk z 1816 r., t. IX, 101 i n.).

tnikach, III, 226—267), nie podniósłszy należycie jego zasług, położonych na polu oświaty i literatury przez wydawanie w czasie sejmku czteroletniego „Gazety narodowej“ i obcej, a potem „Wyboru celniejszych pisarzy polskich“ (1805—15 w 27 t.). Wzrosły i wychowany we Francyi przyjaciel Delilla, bierny z natury, jak w polityce był sługą ustaw państwa, a w pracach społecznych uczniem Turgota i Colberta, tak i w zawodzie literackim szedł ubitym torem piśmiennictwa francuzkiego.

Taki kierunek przeważał też w Towarzystwie i w jego krytykach. Rozwiódłszy się z pierwszą żoną, ks. Radziwiłłówną z domu, znaną autorką sentymentalnych powieści i ożeniwszy się z młodą, bogatą i piękną mężatką Michałową z hr. Potockich Szymanowską, (Dziennik Prota w rękopisach bibl. Jagiell. nr. 938, t. VI, 479) prowadził dom otwarty. Święcone wielkanocne u Mostowskich liczyło się do najcelniejszych w stolicy, bywała na nich cała arystokracja warszawska, a na wieczorach literackich znajdowały się najświetniejsze talenta. Obok krytyki teatralnej, czytywano tu płody literackie, które często wygłaszał sam prezes Mostowski, deklamujący, jak powiadają z uczuciem i przyjemnością. Jego krytyki teatralne miały mir w stolicy. On pierwszy ocenił i podniósł piękności Felińskiego „Barbary Radziwiłłówny“, on „Ludgardzie“ Kropińskiego oddał pochwałę, a sąd jego jako „mistrza smaku“ stawał się nieraz sądem ogółu. Wysoko ceniąc talent Osińskiego, wspierał Mostowski wszystkie jego usiłowania i aby się nie zraził od zarządu teatrem, chętnie pomagał mu z kasy publicznej (Pamiętniki K. Koźmiana III, 244).

Sekretarzem Towarzystwa Ixów był Józef Ignacy Kossakowski (zmarły 1829 r.). Za czasów Królestwa wizytator generalny wszystkich szkół, członek komisji wyznań relig. i oświecenia publicznego, oraz członek Towarzystwa przyj. nauk, mąż wielce zasłużony i dobroczynny ¹⁾, znany na polu literackim jako tłumacz „Szkoły kobiet Legouvego“ (Warszawa, 1813, III, wydanie pomnożone wierszem do kobiet przez St. Vincenz) i jako współredaktor „Dziennika wileńskiego,” w którym umieszczał swoje wiersze i artykuły. (Dziennik wileński, 1805, I, nr. 1, str. 69, II, nr. 4, str. 49, I, nr. 3, 101, 1806, I, 1, 81, 103, 126 i 166, tudzież przekład Delilla w 5 tomie dzieł Krasickiego ²⁾).

W teoryi i praktyce klasyk francuzki w rodzaju Delilla, nie wznosił się Kossakowski ponad zwykłą mierność; taką też podobno była i działalność jego w Tow. Ixów.

¹⁾ Jako członek Tow. przyj. nauk, czytał 1804 r. pochwałę Pilehowskiego, profesora akademii wileńskiej, (druk. w Roczn. Tow. przyj. nauk, 1807, IV, 31), a później pochwałę prałata Bohusza (druk. w Roczn. Tow. przyj. n. 1824, XVIII, 136).

²⁾ Z jego daru biblioteka Towarzystwa otrzymała 243 dzieł w 594 t. a szkoła widzka, w gubernii wileńskiej około 1,000 tomów.

W gronie tego Towarzystwa zajmowała wybitne stanowisko obok ks. Adama Czartoryskiego (ur. 17/I, 1770 † 15/XII, 1861), jego siostra Marya Anna z ks. Czartoryskich, ks. Wirtemberska (ur. 15/III. 1768, † 21/X, 1854), głośna autorka „Malwiny,” (1816) i „Powieści wiejskich” (1819), znająca się dobrze na scenie i odznaczająca się między rówieśniczkami na „théâtre de société,” i tym podobnych amatorskich teatrach, (Falkowski „Obrazy z życia ostatnich pokoleń,” II, 151). Któż nie zna zresztą jej fizyognomii moralnej, naszkicowanej w „Portretach literackich” (wyd. pierwsze, I, 231—68) a umiejętnie odtworzonej w studyum Chmielowskiego (w „Ognisku domowém” 1885, nr. 1 i n.). W owym czasie, kiedy się zawiązało Towarzystwo, przeszła ona przez gorzką szkołę doświadczeń. Zawiedziona w najgłębszych uczuciach żony i matki, oddała się literaturze z całym zapałem i gorliwością. Serce jej cierpiące szukało choćby urojonego świata, urojonej miłości dla powierzenia im własnych tęsknot i marzeń. Przesiąkła sentymentalną atmosferą Puław, nie mogła się autorka „Malwiny” zaciągnąć pod sztandar zimnego klasycyzmu, a słodycz jej serca nie pozwalała na bezwzględna i szyderczą krytykę Ixów. Nie występowała więc energicznie, zapewne nie pisała sama krytyk, lecz brała czynny udział w obradach, łagodząc zbyt szorstkie występy niektórych członków Towarzystwa (Pamiętniki A. E. Koźmiana I, 147, II, 98 i K. Koźmiana, III, 393). Podobną rolę odgrywała w Towarzystwie jej siostra Zofia z ks. Czartoryskich ordynatowa Za moyska, żona Stanisława Zamoyskiego, znanego prezesa senatu Królestwa Polskiego, w owym czasie już 36 letnia kobieta (ur. 1778), ale w całym oroku i w całej dostojności płci swojej, uposażona w to wszystko, co świat wysoko ceni: w piękność, znakomite imię, dostatki i wziętość powszechną. („Pamiętniki A. E. Koźmiana,” III, 172, K. Koźmiana III, 222, i Marcin Molski: „Bukiet dla J. W. Zofii z ks. Czartoryskich Zamoyskiej,” 1814 r.). Z grona puławskiego brał najczynniejszy udział w zgromadzeniach i krytykach Ixów J. U. Niemcewicz, wówczas już dobiegający szóstego krzyżyka (ur. 16/II, 1757), mąż wielkiego wpływu i znaczenia, znany żołnierz, prawodawca, mówca, urzędnik, poeta, historyk, poseł, adjutant i przyjaciel Kościuszki; obrońca Rzeczypospolitej orężem i piórem, we wszystkich czasach i okolicznościach najgorętszy miłośnik ojczyzny, a przytém wielostronny pisarz. Choć miłośnik swobód i wolności, był Niemcewicz największym despotą w sądach i obejściu. Z gwałtownością i uporem mieszał się u niego dowcip żywy i barwny, będący bronią i narzędziem jego uraz lub uprzedzeń. Dowcip pełen złośliwości i samowoli, przekraczający często granice przyzwoitości, a ścigający nietylko tych, którzy zasługiwali na powszechną pogardę, i którzy ściągali na siebie jego osobistą niechęć; ale i tych, których przychylności doświadczał, nawet własnych przyjaciół („Pamiętniki” A. Koźmiana, tom I, str. 266 i n.). W owym czasie nie grał już Niemcewicz żadnej roli politycznej, tém większym okazał się jego wpływ na społeczność war-

szawską. W salonach stolicy rozciągał Niemcewicz nad wszystkiém, co składało towarzystwo „lepszego tonu,“ potęgę prawdziwego panowania. (Żywot J. U. Niemcewicza, przez ks. Adama Czartoryskiego, str. 161). Pisma jego oderwane od osób i czasu mniej są warte, gdyż to je może najwięcej zalecało, że się w nich zawsze i on sam i czasowe okoliczności najsilniej odbijały. Ten charakter jego pism tłómaczy wpływ, jaki wywierały na ludzi i na czasy, wśród których żył. Cechowały je obok niepoprawności i zaniedbania, żywy dowcip i pewna szczerłość, z jaką wypowiadał to, co czuł lub myślał. Te właściwości jego charakteru i talentu występowały także na zebraniach Ixów i w jego krytykach teatralnych. On był najsurowszy, najbezwzględniejszy, ale może najdowcipniejszy z całego Towarzystwa Ixów. Ledwie powaga pani Zamoyskiej, tkliwość ks. Wirtemberskiej i przytomność pani domu (ministrowej Mostowskiej) zdołały w części złagodzić ostrość jego krytyki i zbyt drażliwe jego żarty (Pamiętniki K. Koźmiana, III, 393).

A sądy jego w rzeczach teatralnych, miały wielką wagę i znaczenie. Był bowiem sam głośnym autorem dramatycznym. Tragedye jego: „Kazimierz Wielki,“ „Władysław pod Warną“ i „Zbi-gniew;“ komedye: „Powrót posła,“ „Giermkowie króla Jana,“ „Samolub“ i „Pan Nowina;“ wreszcie opery: „Jadwiga i Jan Kochanowski“ (tekst) przedstawiano właśnie w téj epoce na scenie warszawskiej (Tygodnik polski, 1819, II, 139). Z dyrektorem teatru Osińskim, żył w najściślejszej przyjaźni, (Przegląd poznański, 1857, II, 19 i 20). W teoryi i w praktyce przechylał się już trochę na stronę „nowatorów“ — sam bezwzględny w krytyce, nie znosił krytyki własnych sztuk, ferowanej czasem z całą bezwzględnością przez „Przyjaciół prawdy“ przeciwników braci Ixów. Dotknięty do żywego krytyką swego utworu „Jan Kochanowski,“ postanowił nawet usunąć z repertuaru swoje wszystkie sztuki. Donosi o tém Lipińskiemu, nie szczędząc ostrych słów nagany Osińskiemu i „temu, co tam wszystkiém rządzi w teatrze.“ List ten umieszczony w dodatku do monografii Czartoryskiego o Niemcewicu, jakkolwiek pisany pod chwilowém wrażeniem, daje najlepsze wyobrażenie o charakterze i zachowaniu się opryskliwego Ixa. Podobnym do niego był Józef hr. Sierakowski, (1765 † 1835), człowiek lubiany i poważany w towarzystwie warszawskiem, mianowany właśnie w owym czasie radcą stanu i członkiem komisji rządowej wyznań religijnych i oświecenia publicznego. Pracując w rozmaitych wydziałach, lubił Sierakowski do ostatnich dni życia, świat i towarzystwo. Nie było w stolicy zgromadzenia, nie było obiadu, żeby nań nie pro-szono Niemcewicza i Sierakowskiego. Lecz z temi przymiotami towarzy-skiemi łączył jedną wadę najdziwaczniejszą w człowieku téj ogłady i tego wykształcenia, gdyż tak się zaniedbywał w czystości i porządku i w mieszkaniu swoim, że brud jego stał się „historycznym.“ Był on nietylko miłośnikiem starożytności i sztuk pięknych, których po-każny zbiór zostawił, ale także wielkim crudytą. Jako członek czyn-

ny Towarzystwa przyjaciół nauk, czytał na posiedzeniach tegoż towarzystwa o „mitologii słowiańskiej i o początkach słowian.“ Zatrudniał się zbiorem biografii sławnych Polaków i sporządził kilka wzorów roboty litograficznej, wydał uwagi nad kartą geograficzną Maura i napisał kilka rozpraw w języku łacińskim i francuskim. (Rocznik Tow. przyj. n. IX, 424, XII, 5, i i. Pamiętniki A. Koźmiana, I, 282, i K. Koźmiana III, 427 i 484. Estrachera Bibliografia XIX w. Historia Naruszewicza, tom I, z 1824 r. przedmowa).

W krytykach teatralnych był Sierakowski bezwzględny i często złośliwym podobnie jak Niemcewicz. On to wyrażał się w „Gazecie warszawskiej” o niezręcznej grze Wagnerowej, podrzędniejszej artystki sceny warszawskiej: „życzymy pani Wagnerowej, aby wygrała los na loteryi...” Spłakała się biedaczka, a dyrektor teatru Osieński, który w takich razach musiał bronić, albo wymawiać swoich artystów po dziennikach, mawiał: „Za ostro panowie XX. krytykują aktorów. Autorów chłószczcie jak chcecie, lecz starym aktorom przebaczcie, bo ich nie poprawicie; młodych talentów nie zrażajcie, bo nie jesteśmy w nie bogaci.” (Pamiętniki K. Koźmiana, III, 393). Do tego postępowego grona Ixów należał także Maksymilian hr. Fredro († 1845), brat słynnego komedjopisarza, oficer sztabu ks. Józefa, potem generał i adjutant cesarza Aleksandra, zakochany niegdyś w księżniczce Wirtemberskiej, która nie zbacząc z drogi cnoty, lubiła platoniczną miłością dogadzać swojej romansowej wyobraźni; teraz już ożeniony z hr. Gotowinówną, bogatą rosyanką i obciążony długami tak, iż tylko łaska monarsza zdołała szczątki jego majątku ocalić dla córek (Rękopis bibl. Jagiell. nr. 938, t. IV, str. 422) a jemu wyrobić godność marszałka dworu z szczupłą pensją 10,000 zł. Z sercem najzacniejszemu z umysłem wykształconym i towarzyskim (Pamiętniki A. Koźmiana VI, 46), lubił Fredro literaturę ojczystą, zajmował się nią, pisał wiersze, czasem gładkie i przyjemne, ale najczęściej nieszcześliwe, jak ową długą odę p. t. „Władza,” czytana na posiedzeniu Tow. przyj. n., którego był przybranym członkiem (Rocz. Tow. p. n. 1830, XXI, 327). Jako miłośnik sceny, tłumaczył dla niej „Andromakę,” „Brytanikę” i „Fedrę” Rasyne (Pamiętniki Dembowskiego w Ate-neum 1882, II, 102,) napisał oryginalną tragedję w 5 akt. p. t. „Dydo-na” i dwa dramaty „Herold” i „Wanda” wyd. później w Lipsku 1837 teraz zaś był czynny jako członek bractwa Ixów.

A. E. Koźmian opowiada (w Pamiętnikach I, 149), że Ixowie dzielili się na dwie partye. Jedni, klasycy czystej wody, nie uznawali innych piękności tylko klasyczne, inną literatury nie znali i znać nie chcieli tylko starożytną i francuską i wszelkie utwory, oddalające się od form i prawideł przyjętych, potępiali. Do tej liczby zalicza Mostowskiego, Matuszewicza, Lipińskiego i K. Koźmiana. Przeciwnie, ks. Czartoryski, Niemcewicz, Fredro i Morawski, obznajomieni z utworami Anglików i Niemców, nie byli tak wyłącznymi i pojmovali piękności i charakter nowszej poezji, której nazwę romantyczną, upow-

szechniły właśnie dzieła Szlegla i pani Staël. Szczególniej Franciszek Mora wski, najmłodszy z grona Ixów, występował śmiało z uwielbieniem dla anglików i Niemców i wtenczas już niejako za herezyka przez prawowiernych był uważany. Kiedy na K. Koźmiana przypadł obowiązek napisania recenzji tragedji: „Filip II“ Alfierego, która przedstawiona była na teatrze warszawskim, Morawski domagał się od recenzenta, ażeby tę tragedją włoską porównał z niemiecką, to jest z „Don Karlosem“ Schillera i w tym celu przywiózł nawet Koźmianowi do jego mieszkania tom Szylera w tłumaczeniu francuzkiem, w którym się ta tragedia znajdowała. Przyszły autor cieżkiej satyry na klasyków, zajmujący się już wówczas przekładem Schillera (Rocznik Tow. przyj. nauk 1820, XIII, 136), występował w swych krytykach teatralnych gorąco w obronie Szekspira i Schillera, poetów, figurujących na indeksie dzieł zakazanych przez klasyków i odważył się nawet uderzyć wprost na ustawy kodeksu klasycznego, (Gazeta kores. warsz. i zagr. 1816, II, 1441, 1592, 2275 i 2294). Atoli po stronie „klasyczości“ stało zwarte koło Ixów, starszych wiekiem i urzędem, zawsze górujących w Towarzystwie. Do nich należał Józef Lipiński (1764 † 1828), którego działalność więcej społeczna niż literacka, płynęła z powołania człowieka i urzędnika, nie autora. Zasługi jego były wielostronne: w rodzaju tych, które nie dochodzą potomności na papierze, ale odradzają się w sercach. Czy w sprawie oświecenia szło o wiejską szkółkę, czy o najważniejsze plany wychowania, czy o rozszerzenie religii lub sztuk pięknych, czyli szło o los przyszłych pokoleń, czyli o wsparcie głodnego zebra, wszędzie Lipiński z równą gorliwością i skutkiem był czynny. Jako pedagog, nie przestawał na samych piśmiennych czynnościach: różne projekta czynił z nacownego przeświadczenia się i przekonywał się nacownie o ich wykonywaniu i skutku, uznawał się razem z wszystkimi uczniem doświadczenia i żadnego kroku bez tego przewodnika nie czynił. Lipiński zasłużył się nie tylko przez „wzorowe“ urządzenie szkół w Królestwie i przez swe liczne pisma pedagogiczne i literackie, ale przyłożył się także wiele do podniesienia Towarzystwa przyj. n. i teatru narodowego. Jako prezesowi rządowej dyrekcji teatralnej, (Gaz. kor. 1814, I, 351 i Gazeta warsz. 1815, I, 170, 198), zostającemu w bliższych stosunkach z dyrekcją artystyczną (z Osińskim), zawdzięcza scena warszawska wiele ulepszeń.

I właśnie ta opieka i to zamięłowanie do sceny, zawiodło go do Towarzystwa Ixów, gdzie zasiadał jako urzędnik i pisarz, dorzucając nie jedno zdrowe ziarno do ogólnej oświaty i do udoskonalenia sceny i literatury dramatycznej. (K. Brodziński w pochwałę Lipińskiego, mianej w Towarz. przyj. nauk 1830, XXI, 184 i n.). Niemniejsze zasługi około rozwoju Towarzystwa Ixów położył Tadeusz Matuszewicz (1765 † 1819) minister skarbu za czasów Księstwa i Królestwa a potem senator-kasztelan. Mąż stanu, który urządził za czasów Królestwa całą manipulacją dochodów publicznych, a który po

ustąpieniu ze służby publicznej (1817), zostawił miliony w skarbie. Serdeczny przyjaciel domu Czartoryskich, związany z nimi węzłami pokrewieństwa, ulegający z politycznych i tradycyjnych względów urokowi Puław, dał się Matuszewicz łatwo nakłonić do udziału w Towarzystwie, w którym górowała „koterya puławska.” Ulegał przy tém własnej woli i upodobaniom, które go skłaniały na stronę artystyczno-literacką. Jak wszyscy bowiem ówcześni politycy i urzędnicy, zajmował się i Matuszewicz w wolnych od czynności publicznej chwilach, literaturą. Jeszcze w czasie sejmu czteroletniego należał do redakcji „Gazety narodowej i obcej.” Po upadku Rzeczypospolitej osiadł na wsi w Sandomierskiem i w tém spokojnem ustroniu tłómaczył „wytwornie” nudny i zimny poemat Delilla „O Imaginacyi,” którego ułamek p. t. „Amelia i Wolnic” ukazał się w „Dzienniku wileńskim” (1805, II, 85.). Obok wiersza do ks. A. Czartoryskiego, naśladowanego z Horacyusza (tamże I, 97) pod koniec życia tłómaczył ex-wolteryanin dzieło „O naśladowaniu Chrystusa.” Zaslugi obywatelskie i literackie tego w owym czasie już słabego na ciele i duszy męża, ocenił a może przecenił Stanisław Potocki, w pochwale czytanej na posiedzeniu Towarzystwa przyjaciół nauk, którego członkiem założycielem był Matuszewicz (Rocznik tego Towarz. 1821, XIV, 96—123, Niemcewicz Pamiętniki 1871, II, 327, Pamiętniki Dembowskiego w Ateneum, 1882, II, 315, A. Ostrowski: Żywot Tomasza Ostrowskiego II, 637, Pamiętniki K. Koźmiana II, 81, 144, 321, III, 2 i n.). F. S. Dmochowski podaje w swoich „Wspomnieniach,” (Warszawa, 1858, str. 191), że do grona Ixów należał także Michał Wyszkowski (ur. 14/IX, 1770, † 4/V, 1829), radzca ministeryum spraw wewnętrznych, a za Królestwa sekretarz komisji spraw wewnętrznych, potem referendarz stanu a w końcu nadzwyczajny radzca stanu, zaszczytnie znany klasyk, który jako członek korespondent umieszczał pisma swoje w Roczn. Tow. przyj. nauk, tudzież w Pamięt. warsz. (Zbiorowe wydanie jego pism wyszło staraniem Lacha Szyrmy pod tytułem: „Pisma pośmiertne Wyszkowskiego,” Warszawa, 1830). O udziale jego w Towarzystwie Ixów nie wiemy nic bliższego, biograf jego Lach Szyrma wspomina tylko o „łagodném i dowcipném piórze krytyka.” (Pisma pośmiertne, str. 168). Porównaj życie Wyszkowskiego w Roczn. Tow. przyj. nauk 1829, XXI, 249 i n. tudzież pisma K. Tymienieckiego wyd. Wyszkowskiego w II t.).

Nie wiele więcéj wiadomo o uczestnictwie w Towarzystwie Kajetana Koźmiana (1771 † 1856), obu Platerów; Ludwika (1774 † 1846) i Stanisława (1782 † 1851). (Porównaj Pamiętniki Niemcewicza, Poznań, 1871, II, 243, A. Ostrowskiego, Żywot T. Ostrowskiego I, 638, Roczn. Tow. przyj. nauk XXI, 367 i 370; Przegląd poznański, 1851, XII, 500, 1856, XXII, 346 i 351, Siemiński, Portrety literackie tom I-szy, str. 335, i Pamiętniki A. E. Koźmiana tom I, str. 11, 35, 90).

Całe to Towarzystwo składały, jak widzimy, osoby starsze, zaj-

mujące wysokie polityczne albo społeczne stanowiska, będące jednak przeważnie dyletantami w nauce. Było tam wiele powag klasycznych, ale najmniej fachowych znawców sztuki, co im nawet współcześni zarzucają (Gazeta Korespondenta 1816, I, 204). Chciano też mieć jak zapewnia K. Koźmian (w Pamiętnikach, III, 393) i wzywano do tego areopagu L. Osińskiego, dyrektora teatru, lecz on się wymówił i miał w tém słuszne powody. Kierując aktorami i repertuarem, nie mógł być własnym krytykiem, lub obrażać tych publicznie, którym mógł prawdę powiedzieć za kulisami. Bądź co bądź, dostała się krytyka teatralna w ręce ludzi, mających szczerę chęć i prawdziwe zamiłowanie do teatru, którym dobro sceny i jój podniesienie leżało na sercu. W pewne dni tygodnia, wieczorem, zbierało się to towarzystwo u państwa Mostowskich, członkowie zgromadzenia po kolei przynosili swoje prace literackie i odczytywali je, i znów po kolei przyjmowali na siebie obowiązek pisania recenzji sztuk granych w teatrze. Z powodu recenzji, czytanych na posiedzeniach, wywiązywały się dyskusye, gdyż nieraz objawiały się między członkami różne odcienia w sądach. (Pamiętniki Andrzeja E. Koźmiana, I, 147).

Pierwszy głos krytyki teatralnej nie wiadomo czy z tego grona pochodzący, umieściła Gazeta Korespondenta warszawskiego i zagranicznego, z dnia 25-go października 1814 r., w dodatku do nr. 86, str. 1548—9. Bezimienny krytyk „Horacyuszów“ Kornela, domaga się łagodnej i pobłażliwej krytyki teatralnej, której obowiązkiem ma być nietylko: „wytykać wady i uchybienia, ale głównie oceniać to, co jest godnym pochwały.“ Na tę odezwę odpowiada zaraz w następnym numerze Gaz. war. (dod. do nr. 87), autor podpisujący się literami E. X., żądający ostrzejszej i sprawiedliwszej oceny sztuk teatralnych. Pierwszy głos krytyki Korespondenta, jego ton zbyt pobłażliwy, jako dający zły kierunek dalszej krytyce, nie mało go zasmucił. Jest sposób powiedzenia prawdy, bez zrażenia aktorów, idzie więc tylko o jój zręczne wyłuszczenie; gdy jednak prawda zamilczana bywa, krytyk przestaje być krytykiem, bo rzucił na siebie podejrzenie stronności. Szkodliwsze nawet niż zamilczenie błędów, są pochwały przesadzone. Równocześnie z tą krytyką umieszcza redaktor Gaz. Kor. Wojciech Pękalski odpowiedź na pierwszą odezwę, usprawiedliwiając się z tego, że gazeta poświęcona wiadomościom politycznym, dla dotychczasowego ich natłoku musiała zaprzestać krytyki teatralnej, którą „słusznie“ uważa za rzecz uboczną. Pierwsza odezwa anonimowa była niejako hasłem do obudzenia krytyki. Od tego czasu odbierała redakcja liczne krytyki sztuk, które już to dla zbytniej surowości, już z braku miejsca, w wyjątkach tylko podawała. Tylko w nadzwyczajnych razach podawano później krótkie wzmianki, abo sprawozdania teatralne, nie pochodzące prawdopodobnie z grona Ixów. Pierwszą bez wątpienia krytykę pióra X. X. umieściła „Gazeta Korespondenta“ z 13 maja 1815 r. (w dodatku do nr. 38, str. 677), w dwa

tygodnie po przedstawieniu „Hamleta” na scenie warszawskiej (25-go kwietnia 1815 r.). Towarzystwo Ixów podnosi tu na samym wstępie wysoko sztandar krytyki, jako „najlepszego narzędzia do udoskonalenia autorów i aktorów,” przypisując przerwę w krytyce zbytnej drażliwości aktorów, którzy nie widzieli w krytyce sposobu poznania sądu publiczności i korzystania z uwag ani narzędzia upowszechniania ich sławy, ale znajdowali w niej jedynie skłonność i chęć ukrycia ganienia. Swoje wystąpienie motywują Ixowie w tych ogólnikach: „Prawo do krytykowania jest prawem każdego widza, miło jest każdemu wynurzyć pochwałę tego, co znalazł dobrém, lub krytykę tego, co mu się nie zdało, przywodząc swoje powody. Z tego więc prawa, korzystając dla sławy i dobra tak teatru jak aktorów, zmówione w tym celu osoby przesyłać umyśliły do redakcyi gazet uwagi nad sztukami niektórymi, tak co do ich treści jak i grania, mając nadzieję, że równie z powodu użyteczności redakcyje raczą je w numerach swoich umieszczać. (Redakcyja Gazety warszawskiej nie umieściła tej odezwy). Po tym wstępie następuje szczegółowa i bezstronna ocena przedstawienia Hamleta (Szekspira), w nowoklasycznej przeróbce z francuzkiego (Ducisa), poprawionjéj podług niemieckiego tłumaczenia Schrödera. Krytyka ta wywołała natychmiast odpowiedź (w Gazecie Korespondenta, 1815, nr. 39, str. 700) osoby, stojącej poza Towarzystwem Ixów, a podpisanej literą N. Domyślano się, że odpowiedź ta wyszła z grona osób, należących do teatru, albo od kogoś, mającego bardzo blizką z teatrem styczność. Wita on z niekłamaną radością „zmówione” Towarzystwo doświadczonych znawców, które otwiera sąd na talenta pisarzów i aktorów, i w tém niewątpliwe dla sztuki zapowiada korzyści, ale staje w obronie artystów, pokrzywdzonych przez Ixów. Przedewszystkiem przeczy on zbytnej drażliwości artystów, którjéj X. przypisał przerwę dawniejszjéj krytyki, twierdzi owszem, że artyści warszawscy przez tak długi czas (?), mając nad sobą dość surową obudwóch gazet i Pamiętnika recenzją, często z udzielanych sobie rad korzystali. Krytyce zaś Ixów zarzuca słuszne hołdowanie „obcym bogom,” to jest francuszczyźnie, oraz popisywanie się dowcipnemi i drażliwemi epigramatami w miejsce prawdziwéj nauki. Druga krytyka Ixów, pochodząca, jak nas zapewnia redaktor, z tego samego źródła, co w przeszłym numerze umieszczona już w obu gazetach, t. j. w „Gazecie Korespondenta” (z 16 maja 1815, nr. 39, str. 699) i w „Gazecie warszawskiej” (również z 16 maja, nr. 39, str. 699), rozbiiera kompozycją i przedstawienie tragedyi Legouvego: „Śmierć Abla,” w którjéj poraz pierwszy wystąpił na scenie warszawskiej Fiszer. Krytyka ta nie podpisana atoli jeszcze literą X. Dopiero po wystąpieniu wspomnianego obrońcy N., następuje krytyka tragedyi Woltera „Sierota chiński,” umieszczona w obu gazetach (Gaz. Kor. 1815, I, 737 i Gaz. War. 1815, I, 739, nr. 41), z dnia 23 maja 1815 r. podpisana literą X., z dodatkową uwagą W. Pękalskiego, redaktora Gazety Korespondenta, że krytyki, „które

następnie z jednego ź ródła pochodzić będą, literą X odtąd oznaczane być mają.“ Odtąd więc przez cztery lata, aż do końca 1819 r., ciągną się systematycznie z rzadkimi i krótkimi przerwami krytyki Ixów, drukowane jednocześnie w obu gazetach. Przedsięwzięcie bowiem Ixów popierali obaj redaktorowie, znawcy sztuki teatralnej: Antoni Lesznowski (ojciec), tłumacz dramatu Kotzebuego p. t. „Nienawiść ludzi i żal,“ jako redaktor Gazety warszawskiej († 1820 r.), a jeszcze więcej Wojciech Pękalski, redaktor Korespondenta, sekretarz dyrekcji sprawiedliwości, oraz szkoły prawa i administracji, jako członek dyrekcji rządowej teatru, tudzież jako autor i tłumacz 65 sztuk teatralnych, przeznaczonych dla sceny warszawskiej. (K. Estreicher „Dramat i Dramatycy.“ Bibliog. XIX wieku, I, 407 i i.).

W obec tych krytyk zachowywali się obaj redaktorowie nie zawsze biernie. Pękalski nie umieszczał krytyk przeciw Ixom, które drukował Lesznowski w swój gazecie i odwrotnie czasem umieszczał Lesznowski krytyki, których nie znajdziesz w korespondencie Pękalskiego; obaj zaś obcinali niektóre odpowiedzi. (Pamiętnik warszawski, 1816, I, 182). Że Pękalski zostawał w bliższych stosunkach z niektórymi przynajmniej członkami bractwa X. X. dowodzi także wiersz M. Wyszkwowskiego p. t.: „Wymówienie się Pękalskiemu, który prosił go na święcone w Wielkanoc“ 1815 r. (Poezye Wyszkwowskiego, wyd. pośmiertne str. 162). Niewiadomo jednak na pewne, czy Towarzystwo, zastonięte przed publicznością tajemniczą literą X., odstąpiło przed redakcją swoje incognito. To pewna, że występowało solidarnie jako zwarte bractwo, bo kiedy pewnego razu podsztył się jakiś krytyk pod ich firmę, napisał krótką krytykę opery K. Kurpińskiego, „Zamek na Czorsztynie,“ (tekst J. Krasińskiego) w „Gazecie warszawskiej“ z 9 marca 1819. Dodatek do nr. 20 str. 452), bractwo X. X. zaprotestowało ostro przeciw takiemu nadużyciu w krytyce p. t.: „Zamek na Czorsztynie“ i „Stary komendant w kłopotach,“ zaraz w następnym numerze „Gazety korespondenta,“ (z 13 marca 1819, str. 371 — 2).

Wystąpienie Ixów wywołało ogromny ruch krytyczny; liczne antykrytyki, repliki i dupliki w obronie autorów, artystów, dyrekcji, a nawet publiczności. Niezliczone krytyki imienne i bezimienne ścierały się sporném piórem, podpisywane wszystkimi literami alfabetu, aż nareszcie, gdy większa ich część poszła w zapomnienie, rozpowszechniony duch krytyki znalazł w stałym Ixie trwałą podporę. (Tygodnik polski z r. 1819, t. I, str. 232). Poznaliśmy skład osób podpisujących się literą X; odpowiedzi zaś dyrekcji miłośników sceny i publiczności ukrywają się w najrozmaitszych kryptonymach i pseudonymach ¹⁾.

¹⁾ Wymieniam następujące: S. O(kraszowski), A. K., K(rupiński), y... , W(itowski ?) albo W(ieśniak), Fr.(anoiszek Gr.(zymała), (Szczurow)...ska, X X, A. C(hodkiewicz ?), S. K., Ixik, Ł. ...cka, Ypsilon,

W zimie, podczas silnych mrozów i w sezonie letnim, podczas wyjazdów znaczniejszych artystów, kiedy teatr słabo albo wcale nie był odwiedzany, ustawały krytyki Ixów. Czasem nie mogli pisać niektórzy członkowie z powodu oddalenia się na pewien czas ze stolicy; np. Czartoryscy wyjeżdżali do Puław albo do Sieniawy, Mostowscy do dóbr swoich w Tarchominie i Włochach. Niemcewicz wyjeżdżał na Wołyń; (11 maja 1816, na dwa miesiące), potem (znow 2 czerwca 1817) do Gdańska; K. Koźmian wyjechał na wiosnę 1817 r. na Wołyń i t. d. Do przerwania krytyki Ixów przyczynił się głównie wyjazd Morawskiego do Lublina i śmierć Matuszewicza w 1819 r. Ixowie występują jeszcze tu i owdzie w zimie tego roku, ale krytyki, podpisane „jeszcze X“ i X. X. (w Gaz. Warsz. 1819, II, 1567, 2375 i n.) nie są prawdopodobnie ich pióra. Po nich następują krytyki, najczęściej J.(akuba) K.(onarskiego), staczającego utarczki z Tygodnikiem polskim (w Gaz. War. 1819, II, 1758, 1886); ale nie płyną już one z pewnością z grona Ixów.

Przypatrzymy się wreszcie wewnętrznym dziejom i znaczeniu w literaturze tego „Towarzystwa Ixów.“

Działalność bractwa Ixów była wielostronną i bardzo skuteczną. Tutaj szukać należy kolebki krytyki teatralnej, leżącej u nas do dzisiaj jeszcze w pieluchach. Ixowie rozbierali szczegółowo dzieła dramatyczne, grę artystów i całe przedstawienie sztuki, dawali wskazówki autorowi lub tłumaczowi, wytykając błędy kompozycyi, stylu, wiersza i języka, a oceniając prawdziwe zalety sztuki. Najsumienniejszym zajmowali się grą artystów. Dla jednych byli surowymi i bezwzględnyimi, innych zachęcali i chwaliли, wyznaczając każdemu talentowi właściwy mu kierunek; omawiali śpiew i deklamacyę, ruchy, gesty, ubiór, nawet fryzurę; zwracali uwagę na postęp lub cofanie się aktorów, podnosili uzdolnienie albo pracę artystki, głos naturalny lub szkołę śpiewaczki i t. p. A krytyka taka nie była łatwą, wobec co chwila zmieniającego się repertuaru za Osieńskiego, zmuszonego dogadzać publiczności, goniącej tylko za nowością i czerwonymi afiszami. Krytyk musiał wówczas po jednem przedstawieniu ocenić wady i zalety sztuki i wykonania. Przytém nie zapominają Ixowie także o dyrekcyi. Po każdym przedstawieniu Kornela albo Rasyna dostają się dyrektorowi najwyższe pochwały; po każdej nędznej dramie lub farsie, sypie się grad zarzutów i pocisków na jego głowę. To podnoszą z wdzięcznością nową budowę i urządzenie teatru, to znowu domagają się natarczywie jakichś naprawy. Nie zadawałnając się krytyką dyrekcyi, rozciągają Ixowie swoją opiekę i sąd swój na szkołę drama-

B . . wicz L(udwi)k A . . m . . , R. Alfa., także X., J . . oz, Stanisław Ixienko, A. B. C., 1, 2 3 4 5 6, M. D. Feliks Szczeromowski, Przyjaciół sztuki i umiejętności, Y***, J. K. 7, 8 etc, J. R., Elkana, L. A. D. Ignacy Zerro. $\frac{1}{16}$ Towarzystwa przyjaciół prawdy. J.(akub) K(onarski).

tyczną, na koncerty i przedstawienia trupy francuzkiéj, kształcą i dbają zawsze o język, i wyrabiają terminologią estetyczną; tworzą plany i projekta na przyszłość i kształcą publiczność, wyrzucają śmiało jéj zdrożności, nawołując ją nawet do porządku. Bractwo X. X. złożone z najświetlejszych i najpoważniejszych osób stolicy, znających teatr i literaturę zagraniczną, budziło w publiczności zamiłowanie do dzieł poważniejszych, odwołując ją od kuglarstw i błyskotek teatralnych, podnosiło i kierowało opinią, wywołując przez swoje krytyki, oprócz żywego zajęcia publiczności, niezwykły w naszej literaturze ruch krytyczny, literacki i estetyczny; nietylko szermierkę gazeciarską, ale prawdziwie umiejętną polemikę. (Odpowiedź na pismo pana Mickiewicza przez F. S. Dmochowskiego, Warszawa, 1829, str. 108—9). Posłuchajmy jak swoją działalność pojmowali sami Ixowie. Na pytanie: kto są Ixowie, daje jeden z Ixów następującą odpowiedź kijowianino wi: „Ród Ixów, powiada, coraz się mocniej po całym cywilizowanym świecie rozszerza i krzewi. Mamy w Warszawie, Wilnie, we Lwowie, podobno i w Krakowie Ixów teatralnych. Dzienniki, sądzące o dziełach na widok publiczny wychodzących, są to Ixy literackie. Pustelnik w Paryżu z całym swém potomstwem, krewnymi i naśladowcami, Szubrawcy w Wilnie i inni, są lub byli Ixami moralnymi. Pisma peryodyczne i nie peryodyczne, które dzieła rządu i administracyi ze śmiałością człowieka wolnego godną, rozbierają i sąd o nich dają są Ixami politycznymi. Nakoniec zgromadzenia narodowe są to Ixy urzędowe. Wszystkich celem jest doskonalić przedmiot, którym się zatrudniają. Godłem ich być powinna bezstronność, szlachetna śmiałość przewodników, umiarkowanie przymiotem. Będą oni takimi i dojdą celu swego, kiedy każdemu wolno będzie zdanie swoje oświadczyć bez obawy, kiedy nikt w téj mierze wyłącznego nie będzie miał przywileju, kiedy przeciw jednemu Ixowi drugi i setny Ix powstanie, kiedy przed sądem publiczności odbyta wzajemnych obrońców walka, rzecz każdą wyłuszczy, z prawideł wywieździe, lub z niemi zgodzi, do naturalnych karbów powróci i w całym ją światle, w całej okaże prawdzie. Takim to sposobem w każdym przedmiocie opinia publiczna, gdzie jéj nie ma, utworzoną, gdzie jest, sprostowaną i ustaloną będzie. Tak i Ixy teatralne objaśnieniem, wyświeceniem prawideł sztuki z czasem utworzyć mogą opinią publiczną, dobrze sądzącą w parterze; przez parter działać mogą na aktorów i tak, lubo zwolna przyłoży się do wydoskonalenia sceny,” (Gaz. Kores. 1819, I, str. 500).

Po dłuższej przerwie krytyki Towarzystwo usprawiedliwia w następujących słowach swoje ponowne wystąpienie: „Wiem ja—powiada w Gaz. Kores. 1818, str. 1949—iż to nowe zjawienie się moje nie jeden humor popsuje, nie jednemu spojrzeniu doda pewnej ponurości, zachmurzy owe dotąd tak pogodne wtorki i soboty i znów obudzi przeciw mnie dawne dąsania i wielce dowcipne odpowiedzi. Kto wie wreszcie, czyli za wytknięcie błędów subretki, dekoratora lub samego nawet suflera, nie obwinia mnie znowu o zupełną zagubę wszelkiéj narodowości. Zdaje mi

się, iż już widzę z daleka, ile nowych burz ściągam na głowę szanownego dyrektora, jak mu utrudniam ten kłopotliwy rząd teatru i jak jedni z aktorów grożą mu odejściem, drudzy zostaniem! Lecz, jeżeli z jednej strony też czarną przyszłość widzę przed sobą, jakże mu z drugiej pięknymi jaśnieje nadziejami. Wiem, iż w celniejszych talentach naszej sceny, silniej jeszcze obudzę piękną chęć współubiegania się o trudną palmę zwycięstwa; że one uznają wytykanie ich błędów za nowe zwracanie z niejednego bezdroża, a tém samém za skracanie drogi, wiodącej do doskonałości; że wreszcie wsparci tąż wyższością talentów, dłuższą nad oklaski, pragną nagrody, gdy bowiem wszystkie inne sztuki uwieczniają się w swoich dziełach, samo tylko wrazenie sztuki aktorskiej z ulatającą przemija chwilą. Gdy i artykuły rozmnożonych pism peryodycznych o jednym z mną mówiąc przedmiocie, tém mocniej prawdę wyświeca, przekonają może, choć z trudnością niektórych aktorów, że niesprawiedliwie w zarzucie stronności obrony swojej szukali, w tej stronności, którą ani pojąć zdołam, z jakiego źródła lub stosunku wypływaćby mogła.“

Działalność Towarzystwa nie była wcale łatwą. Trzeba było walczyć przedewszystkiém z uprzedzeniami i przesądami publiczności, która nie chciała czytać krytyk teatralnych. List ze wsi Cypryana Chudeyki do redaktora „Gazety Korespondenta,“ ilustruje najlepiej ten smutny objaw apatyj: „Już od dwóch lat — pisze pan Chudeyko — umieszczasz W Pan Dobrodzień w gazecie swojej gęste jakieś artykuły teatralne. Nie wiem, jaki w tém gust znajdują Panowie warszawianie, ale my na wsi mieszkający, wcale się na to nie piszemy, jeśli ten pan Xawery, Xenofon, czy jak on się tam nazywa, co się w abbreviacji podpisuje, jeśli go taka świerzbiączka pisania napadła, nie może on swoją mądrość gdzieindziej wylać? Choć dawniej dość lubiłem bawić się literaturą, dziś już nic nie czytam jeno gazetę i na tej nawet abonowanie trudno mi się zdobyć. Składamy się więc na nie z księdzem proboszczem. Ale proszę WP. Dobrodzieja, cóż nam po tych artykułach komedyanckich? Czy oni tam dobrze lub źle grają, cóż to nas obchodzi? Miły Boże! tyle się teraz dzieje rzeczy ciekawych w polityce! czyż ich niedość na całą gazetę! A jeśli nie staje nowin, to są anekdoty przeszłego czasu, lub jakie dykteryjki. Tém to dawniej gazety przepychali, kiedy już się nigdzie nie bili na świecie! Teraz, cóż się dzieje? oto córki moje jak wyczytały w gazecie wszystkie eksklamacye i egzaltacye nad aktorami i aktorkami, palą się do miasta i póty mi będą suszyć głowę, póki nie powiozę ich choć na tydzień do Warszawy. A zaczemże pojadę, kiedy i grosza nie mam? Daremnie ja ich reflektuję, że to są wszystko bliktry, że każdy swój towar chwali, a Pan X. zapewne sam do teatru należy. Jak groch o ścianę. Za świętej pamięci króla Stanisława uczęszczałem na teatr. Wszystka publiczność zgadzała się na to, że dobrze grali, a przecie nikomu nie przyszło na myśl traktaty o nich pisać w gazecie. Już ja widzę z kądu tu wiatr wieje. Zapewne pan Bogusławek,

czy kto tam teatrem zawiaduje, postrzegł się, że już nie bardzo do niego uczęszczają, więc wziął się do tego sposobu dla zaostrenia ciekawości. Z Panem Bogiem, dobry to concept, ale niechże to nie będzie kosztem naszej kieszeni, a nawet spokojności domowej. Proszę więc mojem i wielu innych imieniem, żebyś albo przestał przyjmować owe teatralne gawędy, albo uwolnił nas zarazem od dodatku i od połowy abonamentu." (Gaz. Kor., 1817, I, 349). Wobec takich skarg i zażaleń, trzeba było odpowiedzieć panu Chudejce, ale tak, żeby odstraszyć i pouczyć wszystkich podobnych mu zacofańców. Pisze więc pan Feliks na Szczerzowoli Prawdoblubski, również szlachcic wiejski, następujący respons:

„Mości Panie Chudejko! I ja mieszkam na wsi, czasem stolicę odwiedzam, przecież gust mój od WCPana jest różny. Czytam z prawdziwym ukontentowaniem krytykę teatru narodowego przez Pana X. podawaną. Będąc polakiem, przyznam się WCPanu, że więcej mnie obchodzi, jak dzieje narodu mego przez artystów są na pamięć przywozione niż jakim sposobem stłuczono okna u karety księcia rejeta w Londynie, albo co tam p. Hunt po ulicach pererował, czyli król francuzki mniej lub więcej podagry cierpi? Przecie nie żądam od redakcyi, aby te doniesienia wypuściła z gazety swój, bo *Varietas delectat*, a różne są gusta na świecie. WCPan Mości Panie Chudejko zatrudnij się wioską twoją, zajmij się daniem przykładu włościanom twoim, jak mają się stać rządnyimi, a tym sposobem z Chudejka zostaniesz Tłustejkiem, i łatwiej ci przyjdzie zapłacić prenumeratę na gazetę i nabierzesz chęci odwiedzenia stolicy. Jak ci przyjemnie będzie odwiedzić teatr i po odbytych pracach i interesach znaleźć w nim przyjemny i pożyteczny wieczorem spoczynek! Wtenczas sam będziesz dziękował panu X. że się nim zatrudnił i że rozsądną swoją krytyką pobudził współubieganie się w aktorach.“ (Gaz. Kor. 1817, I, 380)¹⁾. Jak niskie wyobrażenie o krytyce miała wówczas nawet wyższa inteligencya, dowodzi wiersz A. Góreckiego „Na krytyków“ (umieszczony w Tygodniku polskim 1818, II, 65).

Niech jeszcze dobre niebo tém Polskę obdarzy
By miała mniej krytyków, a więcej pisarzy;
Bo z naszym gospodarstwem podobieństwo mają
Jeszcze drzewa nie wzrosły, a już wycinają.

Prócz tych przesądów publiczności, miało Towarzystwo Ixów do walczenia z niskim stanem inteligencyi aktorów i aktorek, nie mających wyobrażenia o grze, a przytem nieraz upartych, drażliwych, lub pretensjonalnych. Panna Szczerzowska np., grała z początku zawsze z lornetką w rękę, inna znów aktorka (Zielińska), nie wypuszczała

¹⁾ Oba te listy są prawdopodobnie przez Ixów napisano, dla usprawiedliwienia swęj krytyki.

z rąk chustki od nosa (Gaz. kor. 1815, II, 1306). Szczurowski, pierwszy basista, stawał na palcach, kiedy miał niższy ton wydostać; jeden miał niechwalebny zwyczaj zginania kolan podczas gry, inny znów tak wywijał rękami na scenie, że rozbijał łokciami artystów (1815, II, 1437). Tę niosformną rzeszę trzeba było nauczyć, przekonać, podnieść na wyżyny sztuki. To kształcenie i prowadzenie artystów za pomocą bezstronnej a gruntownej krytyki, jest największą zasługą X. X. Przyznają to im wszyscy współcześni. Już autor uwag nad aktorami i widzami, podpisany literami M. K. w Pamiętniku warszawskim z sierpnia 1815 r. (t. II, str. 451), musi przyznać, że „recenzje Ixów przynoszą zaszczyt ich pisarzom.“ Świstek krytyczny (Pamiętnika warszawskiego z 1816, II, 115) wynosi bardzo wysoko to pierwsze i jedyne Towarzystwo krytyczne, które dowiodło wielkiej znajomości scenicznej, jeszcze większej bezstronności, które wytrwałością swoją przyczyniło do słuchania prawdy, a nawet do korzystania z niej, a publiczność oswoiło z myślą: iż to nie jest grzechem powiedzieć, że ten lub ów aktor miernie grał rolę swoją i że obraza scenicznego majestatu nie jest obrazą narodowej sławy. (Pamiętnik warszawski, 1817, 118). Nawet najwięksi ich przeciwnicy, obrzucający ich ciężkimi zarzutami, muszą przyznać nieocenione pożytki, „jakie krytyka JPX-ów dobroczynnie na scenę narodową zlała, jakimi literaturę dramatyczną i grę aktorów z bogaciła, tudzież zmianę, jaką sprawiła w umysłach publiczności.“ (Tygodnik polski, 1819, II, 243).

Oto w formie ironicznej przedstawiony wpływ ich krytyki na grę artystów. „Niestety—powiada Zero w Gaz. Kor., 1817, I, 105—coraz mniej oczy nasze spostrzegają tych telegraficznych machań rękoma, które nas tak zachwycały przyjemnie! Miło nam było niegdyś słyszeć aktora lub aktorkę w tragediach, zaraz od pierwszej sceny tak płaczliwie i żałośnie wyrzekującą, że w piątym akcie już się tylko chryпка została; dziś zaczyna się wprowadzać gorszący zwyczaj, zwyczaj podług sytuacji stopniowania uczuć i głosu, zachowywania aż do katastrofy całej mocy boleści i rozpacz. Mamże wspomnieć o wchodzeniu i wychodzeniu na scenę, o ubiorach, dekoracyach? Coraz tam mniej upatrujemy tych przyjemnych zapomnień, tego lubego niedbalstwa, co się tyle zwykły do prowadzenie sztuki przyczyniać. Dzięki Ixom, coraz mniej tych aktorów, trzymających się dawnego toru, którzy choć setne grają charaktery, zawsze jednak są sobą samemi, którzy gardząc urojonem uniemaniem, że aktor rolę swą umieć powinien, z zwykłą wielkim duszom ufnością powierzają się całkiem suflerowi i albo usłyszawszy powtarzają, co on podszeptnie, albo nieraz wieszczym uniesieni geniuszem, przewracają wiersze i rymy, i na ich miejsce tworzą nie równie lepsze; którzy nakoniec nie żyjąc, nie oddychając, jak dobrem o sobie mniemaniem, z głuchą pogardą na poziomych patrzą słuchaczów.“ (Porównaj krytykę Gaz. Warsz. pod datą 8 lutego, 1817, nr. 11, str. 257). Zasługi Ixów podnosi również fejle-

tonista Gazety codziennój narodowój i obcój (z 19 marca, 1819), przypisuje im bowiem wyrugowanie nieustannych i bezmyślnych pochwał, i liczy od założenia Towarzystwa (1815) nową erę w dziejach teatru polskiego.

Towarzystwo Ixów pozyskało sobie chlubny w kraju rozgłos i powszechne niemal uznanie. (Wójcicki, „Warszawa, jój życie umysłowe,” I, 69. Tygodnik polski i zagraniczny, 1818, III, 162/3, IV, 142, 190). Cały świat literacki wyczekiwał zdania Ixów o nowej sztuce. Dopóki go nie wypowiedzieli X. X-owie, z nieśmiałością tylko odzywano się o sztuce i jój autorze. Sądy i polemiki X. X. zajmowały pierwsze miejsce w towarzyskich kołach (Tygodnik wileński, 1816, I, 425). Towarzystwo zażywało takiej powagi, że dość było przytoczyć pochlebny ich sąd o jakimś dziele lub autorze, aby mu zjednać sławę i uznanie. Księgarnia Zawadzkiego w Warszawie, chcąc zrobić reklamę „Templaryuszom,” tragedyi tłumaczonej przez Brodzińskiego, przytacza w prospekcie sąd o niój „surowych panów Ixów” (Pamiętnik warszaw. z lipca 1819 r., II, 384). W oczach wielu stary Klingsberg stał się rycerzem, a Kopciuszek prawie romansową bohaterką. Wzrosły stronnictwa, wzmogła się ciekawość, zgoła Ixowie stali się bohaterami dnia. O ich powszechnej wziętości świadczy między innymi i ten charakterystyczny szczegół, że epitety dany przez nich Dmuszewskiemu, grającemu rolę amantów „kochanek sceny warszawskiej,” przyjął się nietylko w całej stolicy, ale był używany nawet w Wilnie (Tygodnik wileński, 1816, I, 393). Jak wysoko ceniono krytykę Ixów, świadczy list otwarty Tomasza Lipczyńskiego (umieszczony w Gaz. Kor., 1818, I, 212), domagający się w imieniu publiczności zebrania wszystkich krytyk Ixów w osobnym dziele, na wzór Laharpa lub Schlegla.

Zdanie Ixów wyrzeczone o sztuce pamiętała długo publiczność, liczyli się z nią autorowie i artyści, cytowali je po latach krytycy, jak np. owo porównanie muzyki do wina, które im starsze tém lepsze, albo ów przytyk do Wagnerowój piskliwości z krzykliwością, które przytaczała Gaz. codzienna, narodowa i obca (z 31 paźdz. i z 16 grudnia, 1818, nr. 27). Sam Bogusławski, który osobiście tyle ucierpiał przez ostre krytyki Ixów, wyrażał się potem, gdy ochłonął z pierwszych wrażeń, najpochlebniej o działalności Towarzystwa, przypisując mu „oczyszczenie sceny narodowój z tak nazwanych brudów.” (Bogusławski, Dzieła, VII, str. 5). A artyści, czyli co stracili na sławie przez te bezwzględne krytyki? Nie zwróciliż przez to uwagi na siebie wszystkich oświeconych ziemi polskiej mieszkańców, kiedy wprzód prócz Bogusławskiego, większa z nich część była w stolicy tylko znajoma. Ixowiej przeciwnicy ich, toczący z nimi częste papierowe walki, przyczynili się w części także do poprawienia stanu finansowego teatru warszawskiego i do zwiększenia pomocy rządowój, oni podwyższyli i zaostrzyli ciekawość publiczności, która chcąc się przekonać o prawdziwości ich sądu, częściej odwiedzała teatr. Zmarszczył się

wprawdzie nieraz na wspomnienie Ixów pan Wąsowicz, Nacewicz i kilku innych, ale pierwszorzędni artyści, jak Żółkowski, Szymanowski, lub Kudlicz (choć i tym nie przebaczano), czytali z pogodną twarzą ich krytyki, bo talent prawdziwy przy ostrzej nawet krytyce szkodzić nie może, lecz owszem, jak szlachetny kruszec po ogniowej próbie świetniejszą jeszcze przybierze postać. Z największym uznaniem wyraża się o nich F. S. Dmochowski w swoich „Wspomnieniach“ (str. 191 i d. w Odpowiedzi na pismo Mickiewicza (str. 109), tudzież w Bibliot. polskiej (I, 60).

Zaszczytne świadectwo Ixom dał K. Brodziński, czytając na posiedzeniu Tow. przyj. n. biografią jednego z członków tego bractwa (Józefa Lipińskiego). O tej pierwszej „porządnej“ krytyce teatralnej, powiada, że „przyczyniła się wiele do udoskonalenia sceny i literatury dramatycznej, a najwięcej potrafiła ukształcić smak publiczności, dotąd mniej okazującej smaku do dzieł wzorowych, i mniej uwagę zwracającej na delikatniejsze odcienia sztuki.“ (Rocznik Tow. przyj. nauk war., t. XXI, str. 191). Dopiero jednostronny i niekorzystny wyrok Mickiewicza w słynnej „Odpowiedzi krytykom i recenzentom warszawskim“ (wyd. petersburskie, 1829, str. XXVI), postawił w fałszywym świetle Towarzystwo i krytyki Ixów, a że sąd ten wypowiedział najgenialniejszy i najpopularniejszy poeta, przyjął się zatem w literaturze, a przynajmniej w podręcznikach do literatury. A przecie wpływ ich sięgał daleko i szeroko. Surowy sędzia teatru St. Okraszewski, który przez swoje uwagi nad aktorami i widzami w Pamiętniku warszawskim (z 1815 r., t. III, 108), tyle narobił wrzawy (porównaj żywą polemikę artystów z autorem w Pamiętniku warsz., 1815, II, 230—7, 452, r. 1816, II, 193), wynurzając (w Gaz. Kores. z dnia 9 listop. 1816, str. 2021—2) po swoim powrocie z zagranicy, najżywszą swoją radość z powodu postępów teatru, przypisuje połowę zasług krytykom Ixów. Przedewszystkiemi zaś wynosi Niemcewicza, który „nie wahał się pierwszy pióro krytyki pochwyć i na pierwszy się ogień wystawić“ (Gaz. Kor., 1816, II, 2022).

Ixowie spowodowali szczęśliwą zmianę nie tylko w umysłach publiczności, ale także w sceneryi teatralnej; za ich staraniem zbliżono scenę do parteru, dawniej tak oddaloną, że nie można było dosłyszeć deklamacyi aktorów, za ich staraniem wzniosły się nowe krzesła i ławki, na parterze nastąpiła cisza i porządek, a najpierwsze klasy społeczeństwa, co to dawniej obojętnie patrzyły na sztukę, zaczęły częściej i pilniej odwiedzać teatr, nim ich od niego nie odstraszyło widmo klasyczności! (Gaz. Kor., 1816, nr. 75, str. 1728). Publiczność nabywając na przedstawieniach scenicznych ukształcenia, smaku i wprawy ucha, stała się nawzajem stróżem i sędzią coraz lepszego gustu. Bacność jej nie ogranicza się już na samych szczegółach. Porządek kolei i dobór sztuk, zgoła wszystko, co dotyczy teatru, żywo ją teraz zajmuje. (Gazeta Korespondenta, 1817, I, 123).

Na wzór krytyki Ixów powstają podobne w Wilnie. Zależność tę wyznaje autor uwag o teatrze wileńskim, zaczynający na wzór Ixów

stałą rubrykę w Tygodniku wileńskim (z dnia 19 grudnia 1815 r., nr. 5, str. 72). Cały ruch krytyczny w Wilnie, surowa a sprawiedliwa krytyka artystów tamtejszych (w Tygodniku wileńskim z lat 1815—1817), wywołaną została przez krytykę Ixów warszawskich. Za ich przykładem występują potem Ixowie teatralni w „Wiadomościach brukowych” Szubrawców (1819, nr. 138), figurują nawet w sztukach teatralnych. Żółkowski w roli Figlackiego, improwizując o nich na pocieszenie parteru, skarżył się niby na widoczną niesprawiedliwość p. Ixa i jego krytyk, zajmujących napróżno gazety, dokuczających biednym aktorom, a nie nastawiających raczej na bogatych kupców, rzemieślników i t. p. (Gaz. Kor., 1819, I, 140). Podobnemi aluzjami i przycinkami upstrzył Dmuszewski komedią „Wykradzenie, czyli szczęśliwa omyłka.” (Patrz krytykę X. na tę sztukę w Gaz. Kores., 1818, I, 695). Jedno życzliwe słówko tego areopagu, uchodzącego za „postrach naszego parnasu, za wyrocznię gustu i stanowiciela sławy,” rozbraja zaciętego przeciwnika, zmieniając go w przyjaciela. (Korespondencya z Petersburga o tamtejszym teatrze w Dodatku do nr. 62, Gazety warsz., z 30 lipca 1816 r.). Skutek i pożytek krytyki Ixów, której z taką zawziętością zaprzeczali niektórzy przeciwnicy, objawiła się na nich samych, bo dostawszy parę razy po grzbiecie, zmienili front, albo cofali się jak mogli. (Porównaj żywą polemikę Towarzystwa abecadłowego z bractwem Ixów w Gazecie warszawskiej i w Koresp. na początku 1817 r.). Krytyki Ixów wpływają korzystnie przedewszystkiém na artystów. Najcelniejsi artyści brali je sobie do serca, nawet Ledóchowska, pierwszorzędną artystką, osoba bardzo drażliwa, przyjęła niejedną gorzką uwagę. Napomnienie przez Ixa dane znakomitej artystce tragicznej, „ażeby, jak celuje w tragedyi, tak i w wystawieniu sztuk niższego rzędu, chciała dać przykład z siebie w zachowaniu stosunków miejsca, stanu i położenia,” wydawała się zbyt śmiałą przyganą zoilów. Rozeszła się wieść po mieście, iż Ledóchowska zniechęcona powyższém wezwaniem, wszystkich ról, prócz tragicznych, na zawsze się wyrzekła, (nasi artyści i artystki bowiem grali wówczas we wszystkich rodzajach, w tragedyi, komedyi, a nawet operze). Ale prawda zwyciężyła; pani Ledóchowska wystąpiła w „Dziecku miłości,” a wypracowawszy sumienie swoją rolę odniosła i tutaj zupełne zwycięztwo. Ixowie, wcale nie skorzy do pochwał, oddają hołd najwyższego uznania wielostronnemu talentowi artystki. (Gaz. Kores., 1815, II, 1,453). Oto drugi przykład skutecznego wpływu krytyki Ixów. W ostatnim akcie Otella, w scenie zamordowania Desdemony, popełniał Szymanowski, pierwszy tragik sceny warszawskiej, ten zwyczajny u pseudoklasycznych aktorów błąd, że uderzywszy w swój wściekłości Desdemonę morderczém żelazem, zanosił ją starannie na łóżko—z grzeczności. Wytknął mu ten błąd jeden z Ixów (w Gaz. Kores., 1815, II, 1116), artysta zapamiętał go dobrze i poprawił się w następném przedstawieniu Otella, o czém nie zapomniał donieść krytyk w Gaz. Kores. z 13 lu.

tego 1816 r. Chłosty i nagany dawane często przez Ixów primadonie warszawskiej Dmuszewskiej, odniosły również pożądany skutek. W ogóle cieszą się Ixowie, gdy mogą oddać tę sprawiedliwość artystom, iż przestrogi ich w rozbiorach czynione nie zawsze są straconemi (Gaz. Kor. 1817, I, 123). I ci, na których upór i zarozumiałość tak bardzo pierwój narzekano, z wdzięcznością przyjmowali teraz podawane sobie rady; nie wynieśli pochwałę ani oburzeni naganą; nie pragnęli jak dawniej uboczną drogą wyroków krytyki uniknąć, ani stłumić ją przymuszonemi oklaskami. (Tyg. polski, 1819, II, 192/3, Gaz. Warsz., 1815, II, 1,352).

Wpływ kilkoletni bezstronnej krytyki był widoczny. Nieraz w tym czasie drażliwie się ofuknęła obrażona miłość własna; ale same jój gniewy służyły ku postępowi sztuki, bo łając krytyce, korzystano z jój ostrzeżeń. Ktoby porównał ostatnie wystawienia „Opery w podróży“, „Tankreda“, a mianowicie „Śpiewaczek wiejskich“ z temi sztukami, które noszą niezatarte piętno starych nałogów, jak np. „Axur“, ten ledwo wierzyć zechce, że to ciż sami byli aktorowie (Gaz. Kores. 1818, II, str. 2,141). Mniej potulni byli autorowie i tłómacze, którym zresztą nie tak łatwo stosować się do krytyki. Skarży się na bezskuteczność swoich w tym względnie uwag szczery i otwarty X (w Gazecie Kores. z 1818, I, 407/8). Autorowie i tłómacze obstają przy swoim jużto przez lenistwo lub dobre o sobie rozumienie, jużto w ogóle przez jakąś nieufność i wstręt do krytyki. Ale takie ignorowanie Ixów było wyjątkowe. Wpływ ich bowiem sięgał o wiele dalej i głębiej. Jakkolwiek zasiadali w radzie Ixów przyjaciele Osińskiego, to okoliczność ta natury prywatnej, nie mogła zażyć na szali, ani wyjąć dyrekcyi z pod wpływu ich krytyki. Ixowie występują zatém z godnością, ale stanowczo przeciw dyrekcyi, przez cały sezon 1815 r.; domagają się uporczywie ławek w parterze, aby zapobiedz wrzawie i zgorzeniu parteru, i to domagają się tak długo, dopóki nie uczyniono zadość życzeniom ich w lecie 1816 r. Przy innej sposobności występują przeciw złemu urzędzeniu teatru, wytykają niestosowne rozdanie ról, liche uposażenie chóru i statystów, niestosowne dekoracye, zbytne poddawanie się publiczności, chciwój tylko okazałych spektaklów i udzielają rad, lub wskazówek tak dyrekcyi jak przedsiębiorstwu. Nieraz stają Ixowie na stanowisku wprost przeciwném z dyrekcyą: Ixowie nie zawsze uwzględnią jój kieszeń; dyrekcyja nie zawsze uwzględnia ich zasady estetycznej (Gaz. kores. 1817, I, 123). Ale w ogólności liczył się Osiński z ich radami i zarzutami, a wielka zmiana w repertuarze w duchu pseudoklasycznym, jest do połowy dziełem krytyki Ixów, z którą naturalnie szedł tym razem ręką w rękę pseudoklasyczny dyrektor. Z wdzięczności za to, wyraziło mu niejednokrotnie skąpe w pochwały Towarzystwo Ixów swoje najwyższe uznanie, a Morawski (w swój krytyce umieszczonej w Gaz. Kores., 1816, z dnia 6 sierpnia 1816, str. 1,441), podnosząc gorliwość i zasługi nowój dyrekcyi, wylicza

szczegółowo wszystkie jęj zalety. (Porównaj Gaz. Kores. 1818, II, 1949).

Towarzystwo Ixów pierwsze wprowadziło w życie zasadę bezstronności, stosując ją nieubłaganie w swoich krytykach teatralnych, zasadę, która do dnia dzisiejszego jeszcze nie wyjednała sobie w krytyce prawa obywatelstwa. Ixowie nie lubią ciągle chwalić, bo wiedzą, że powtarzanie pochwał prowadzi prostą drogą do znudzenia publiczności i autora. „Dość jednego słowa dla pochwały—powiadali—nie dość czasem całej karty dla usprawiedliwienia się z zarzutu“ (Gaz. Kores. 1816, II, 2162). Pomni, że same kadzidła najszkodliwiej działają, nawet na prawdziwe talenta, trzymają się tych złotych słów „Różdżką Duch Święty dziecięcki bić radzi...“ (Gaz. Kores. 1816, I, 841 i 1817, I, 297 i 786). Występują więc ostro przeciw pierwszorzędnym autorom i artystom, nie szczędząc nawet „braci“ swego cechu, nie dając się złudzić ani urokiem wdzięków ani powagą imienia. Dość przeczytać śmiały ich sąd o muzyce najpierwszego kompozytora Kurpińskiego (Gaz. Kores. 1815, II, 1311—12) albo słowa prawdy, wypowiedziane Ledóchowskięj i Żółkowskiemu, pierwszorzędnym artyście sceny warszawskięj (Gaz. Kores. 1816, II, 2181—2), a wreszcie ujemną krytykę Ixa (Morawskięgo) na swęgo „brata X.“ Niemcewiczę, (Pamiętnik warszawski 1816, III, 364), aby się przekonać, jak wysoko umiało się czasem wznieść bractwo Ixów ponad osobiste i stroniczne względy. Surowy sąd Ixów wszedł w przysłowie: „Ixowie“ sztuki znaczyło tyle, co dzisiaj porządne „zczesanie“ (Tygod. polski i zagr. 1818, I, 43). A trzeba było w owych czasach narodzin krytyki teatralnęj, wielkięj odwagi cywilnęj, aby zająć to bezwzględne stanowisko, które dzisiaj jeszcze naraża krytyka na wiele przykrości i budzi tylko wrogów. A jeżeli gdzie miłość własna jest drażliwą, to najwięcej w aktorach, osobach najtrudniejszych do prowadzenia.

Ale jak wszystko, co ludzkie, jest ułomnęm tak i krytyka Ixów, choć tak na owe czasy znakomita, i tak błęga w skutki, miała swoje ujemne strony. Nawet A. E. Koźmian, który w swoich pamiętnikach (I, 147) wyrażę się z wielkięm uznaniem o Towarzystwie, nie tai jego stron ujemnych. Przyznaje wprawdzie, że recenzye Ixów — słynne nietylko dla swęj wartości, lecz i dla wysokiego położenia recenzentów—były ciąglę ostrogę i szpicrutę, kłujęcę i poganiającę tak antreprenera jak i artystów. Koźmian musi przyznać, że w ich pismach nie przebija się głęboke i wszechstronne pojęcie sztuki. Uznaje wprawdzie, że Towarzystwo Ixów trzymało straż nad czystościę i poprawnościę języka, nad smakięm dobrym, nad prawidłami sztuki, nie dozwalało pogwałcenia prawdy i praw rozsędku; prawda, że recenzye ich były pisane płynnie, czysto, przyjemnie, wesołym, nieraz złośliwym dowcipem były zaprawne, ale nie wskazywały autorom nowych ścieżek, nie rozszerzały widnokręgu sztuki, a nawet przeszkadzały czasem do samodzielności i oryginalności talentu. Krytyk „Ludgardy“ dostrzega (w Pamiętniku warszawskim z r. 1816, VI, 84), iż krytyka Ixów jest czasem zbyt surowę dla mniejszych uchybień, czasem zbyt

pobłażając dla znaczniejszych błędów, a nieraz ledwie wzmiankuje o rzeczy, o którejby się wiele powiedzieć dało.

Inny zarzuca Ixowi, że zdając sprawę ze sztuki, którą tłumaczyła osoba dobrze mu znajoma, przeszedł w wielu miejscach granicę pochwały, a natomiast lekko tylko dotknął ważnych błędów (Pustelnik z Krakowskiego przedmieścia przez M. Witowskiego II, 154). Powiadano, że w sądach swoich z pośpiechem o rzeczach wyrokując, zbyt często się czasem zapędzają i tylko dla pięknej albo dowcipnej myśli, uszczypliwie dotykają autora, ale zaraz dodawali, że to się nie często zdarza i że ten pośpiech i dowcip bezkarnie im nie uchodził. Byli nawet i tacy, którzy twierdzili, że Ixowie obwiniają nie zawsze słusznie dyrekcją teatru (Tygodnik wileński 1816, I, 441). Autor „Rzutu oka na teatr polski,“ przeciwnik Ixów (w Tygodniku polskim z 1819, II, 241 i n.), wykazuje wiele niesłusznych sądów i błędów w ich krytykach. Raz przypisali Ixowie w swęj nieświadomości kompozycyą opery Elsnera: „Sułtan Wampuni“ Kurpińskiemu (Gaz. Kor. 1816, II, 3084); drugi raz w recenzji opery: „Szarlatan“ obracali w śmieszność usiłowania „narodowego“ kompozytora. Surowo sądzący kompozycyę Kurpińskiego zbyt łaskawi byli dla obcych kompozytorów np. dla Della Mara, którego na równi stawiają z Mozartem (Gaz. Kores. 1815, II, 1462). I opinia publiczna, a któż jęj dogodził! czyniła im rozliczne zarzuty. Były między temi zarzutami sprawiedliwe, dowcipne, ale więcej fałszywych. Jeden dziwił się czemu XX. tak łają na parter. Jest on niespokojnym, powiadano, to prawda. Ależ czy jest w mocy fizycznęj człowieka, aby całe pięć aktów przestał na jedném miejscu, bez żadnego poruszenia? Parter daje wprawdzie oklaski samym prawie sentencyom, ale jedynie dla tego, że te jedynie może usłyszeć jako najhuczniej deklamowane? Drugi zgadzał się w wielu miejscach na rozbiór gry i sztuk, ale był przeciwny sposobowi, jakim pan X. rzecz swoje wyłuszcza. Łoże utrzymują, iż więcej pobłażać trzeba, parter większęj surowości żąda, a głośnie echo roznosi czasem po państwie zakulisowém zarozumiały wyrok: „same absurda pisze, i abecadła jeszcze uczyć mu się potrzeba.“ J.(akob) K.(onarski) w współczesnym artykule „O Krytyce teatru narodowego“ zarzuca im: Zbyteczne pobłażanie jednym, a nadto ostrą i częstokroć niezasłużoną naganę drugich; przesadzone pochwały przedmiotów miernych a zamilczenie, albo lekkie tylko dotknięcie zasługujących na prawdziwą uwagę; wykazanie błędów mniej szkodliwych, a zupełne zamilczenie wad kardynalnych; uznawanie w jednym za dobre tego, co się drugiemu za złe poczytuje; nakoniec wyszukiwanie pochwały lub nagany, którejby nikt inny nie dostrzegł (Gaz. Warszaw. 1817, I, 171). Jeżeli ten i ów przesadził w przedstawieniu ujemnych stron Ixów, to nie jeden zarzut musi się ostać i w obec krytyki dzisiejszęj.

Z powodu różnolitego składu tak różnorodnych członków, nie może być mowy w krytykach Ixów o jednolitości i niezmienności zasad. Sprzeczności, w jakie nieraz popadali, wytykają im już współcześni.

Ixowie—powiada autor *Dziejów teatru polskiego* w *Tygodniku polskim* z 1819, II, 110—podpisują się wprawdzie zawsze jedną literą X., lecz ich wyroki już to najtrafniejsze, już oczywistości nawet sprzeczne; już miłością prawdy tchnące, już cechą stronności oznaczone, już mające na celu jedynie dobro sztuki, już drobne względy osobistości, każą mi ich nazwać Ixami nie Ixem. Na dowód różności zdań posłużyć może krytyka „Pana Nowiny” na początku 1816 r. umieszczona w obu gazetach, gdzie zdanie brata Ixa zbija także X., a przecież pierwszy nie zaprzeczył mu Ixostwa. Jak wytłómaczyć inne krytyki, w których następne zdanie zbija poprzednie, a postanowione dopiero prawidła nowe wyroki obalają? Na jednem miejscu nakazuje X., aktorom stosować się do gustu publiczności i do danych przez nią rad zbawiennych, w drugim zaraz miejscu pragnie, żeby sami aktorowie gust narodu kształcili i publiczność stolicy aż do siebie podnosili, nie do niej się zniżali! Oczywistsze jeszcze sprzeczności widać w dwóch zdaniach: o „Zmyslnym Niewiniątku” obok siebie prawie położonych. Raz (na str. 317 z r. 1816) pan Żółkowski w roli pana „Des Mazures” grał tak, jak tego skutek sztuki wymaga: „Rola ta powinna być poniekąd karykaturą, inaczej stałaby się zimną i nudną.” O tejsze samęj roli (wkrótce na str. 840) z tegoż roku wydaje następujący sąd: „Zbyt jest łatwo wikłać w śmieszące sytuacje cenniejszą osobę sztuki, gdy jej charakter przesadzony i w karykaturę zmieniony zostanie jak np. pana de Mazures. Prawda jedynie czynić może wrażenie, karykatura je osłabia.” Również na obie strony wzorem wyroczeni Delfickiej sądzi i tłómaczy sztuki. W pierwszym rozbiorze: „Zmyslne Niewiniątko” tłómaczone jest po polsku, stylem naturalnym i łatwym. Krytyk prosi tłómacza, aby częściej owocem pióra swego obdązał teatr i literaturę. W drugiej recenzji rzecz się ma zupełnie inaczej, krytyk zżyma się na tłómacza, czemu przynajmniej nie przepolszczy galicyzmów. „Spieszność tłómaczenia nie może mu służyć za wymówkę, nie o to się bowiem pytamy, czy spieszenie przekładał, lecz jak przełożył.” Podobnie i „Bankructwo partacza,” raz się zdaje sztuką najnudniejszą, drugi raz dozwala przepędzić dość przyjemny wieczór (*Tygodnik polski* 1819, II, 236—241).

Wpływ Ixów na repertuar teatralny był wielkiej doniosłości. Oni go oczyścili rzeczywiście z melodramatów, i fars, będących zakałą teatru. Tak ulubiony autor np. Kotzebue, którego nazwisko ozdoba było czerwonych afiszów, i ponętą dla zwabienia publiczności, po ciągłych przeciw niemu atakach Ixów, upadł prawie zupełnie, wypierano go się zamilczając nawet na afiszach jego imię. Ale oczyszczając tę stajnię augiaszową, wymietli Ixowie razem z lichemi sztukami i prawdziwie dobre, albo co gorsza, starając się o nadanie repertuarowi wyłącznie prawie nowoklasyczny kierunek, odstręczali publiczność od sceny. Smutne skutki tego kierunku maluje dosadnie „Przyjaciel prawdy.” „Kiedy — powiada — wszystkie germaniczne sztuki, melodramy, opery włoskie i farsy na zawsze ze sceny narodowej wy-

gnanemi zostały; kiedy Mozart, Cherubini, Maier, Iffland i Kotzebue padli pod przewagą nadsekwąńskich zapaśników, kiedy telegraficzne gesta i ustawiczne płaczki ustąpiły zgłębianiu, stopniowaniu i cieniowaniu (t. j. zaspokoily wymaganie krytyki Ixów), spodziewaliśmy się, że tak wydoskonalone widowiska, tłumy widzów sprowadzą. Ale o niewdzięczności ludzka! ledwo jeden miesiąc przeminął, ławki i krzesła zaczęły coraz rzadszą wystawiać szachownicę, cichość powiększyła się w teatrze. Od dwóch miesięcy same pierwszego rzędu sztuki wystawione na scenie: Ludgarda, Atalia, Horacyusze, Alzyra, Cyzna, Hilary, Julia, Zamki na lodzie, i ulubione Niewiniątko, wszystko to miało pokonać przeciwników zarenńskich. Ale próżne zamachy! W teatrze zawsze pustki, pustki, pustki! Nadaremno kładliśmy okulary, obracali na wszystkie strony lornetki, ciemność wieczna, znikły sprzyjające pojazdy i w owych nawet tak gorąco pożądaných krzesłach, w owym przybytku Areopagu Ixowego, ledwo kilku prawdziwych ojczystej mowy miłośników widzieć się daje.“ (Gaz. Warsz. 1817, I, 151).

Jak szkodliwie oddziaływał ten pseudoklasyyczny kierunek Ixów, wykazał już Bogusławski (we Wstępie do Izkahara Dzieła VII, 5—9), chociaż był sam zwolennikiem tego klasycyzmu. „Przyznaje on, że dzięki staraniom XX., tych „wskrzesicieli dobrego smaku,“ wszelakie tak nazwane germańskie i rycerskie sztuki, a nawet i wielkie niemieckie opery znikły z repertoryum, a miejsce ich zajęły sztuki klasyczne. Ale nie tai téż, że publiczność znudzona ustawiczném jednym sztuk powtarzaniem, a nie chcąc ściagnąć na siebie miana ignorantów, wolała zaprzestać bywania na teatrze, a natomiast odwiedzać wszelkie inne widowiska aż do nikczemnych maryonetek. A tak scena ojczysta, po trzechletnich konwulsjach znalazła się nad przepaścią zguby. Bolesnym było rozczarowanie przedsiębiorcy sceny ojczystej (Osińskiego), który przez chęć przysłużenia się wyższym osobom, nie mniej z własnego klasycznego przekonania, gorąco pragnął utrzymania teatru w kierunku klasycznym; ale ogrom wydatków, których bez uczęszczania na teatr wszystkich klas publiczności, nie można było w żaden sposób zaspokoić, brak stałego funduszu i wszelkiej pomocy, zmusiły go narreszcie poświęcić cząstkę „dobrego smaku,“ dla ocalenia całej instytucji. Wydobyto więc z pyłu, w którym już od lat kilku spoczywały niektóre stare opery, wystawiono melodramę: „Mahabeusze,“ a nawet i „Pumpernikel“ wyjechał na swoim koniku. To postawiło znowu na nogach upadającą antreprzyę. Jęknął smak dobry klasycznych krytyków, ale się uśmiechnęła kasa. Nastąpiły wkrótce inne widowiska, które, dogadzając życzeniom całej publiczności, powszechne zyskały oklaski, i stały się gasnącej już scenie ojczystej wróżbą dłuższego życia.“

Duch pseudoklasyyczny oświecał całą literaturę za czasów Napoleońskich, nie dziw więc, że się odbijał i w krytyce Ixów. Ciągłe oni powtarzali, wymagając często rzeczy niepodobnych: że narodowa scena zamiast klasycznych dzieł (których było bardzo mało) same melodra-

my, krotchwile i buffonady wystawiała. Daremnie usprawiedliwiał się przedsiębiorca: że kiedy Paryż, siedlisko wszelkiej scenicznej doskonałości, obok tyłu klasycznych dzieł, przecież bez melodramatu a nawet i fars obejść się nie może; Warszawa, mając tylko jeden teatr, dla dogodzenia widzom wszelkiego stanu i inteligencji, wszelkiego także rodzaju widowiska na nim mieć musi; że wreszcie mała liczba widzów, uczęszczających na klasyczne dzieła nie zdoła zaspokoić ogromnych antreprzyży wydatków. Był to głos wołającego na puszczy w obec ustawicznych skarg krytyki Ixów, jak dzwon w jedną stronę bijących. (Bogusławski, Dzieje teatru. Pisma IV, str. 220—1).

Wystawiono wprawdzie z konieczności wiele sztuk tego „pośledniejszego gatunku,” ale te jako mniej godne „dobrego tonu“ widzów, ostremi surowej krytyki piorunami rażone, zaraz w dniu urodzin swoich albo wkrótce potem konały. (Bogusławski, Pisma, t. VII, str. 6. Patrz Wyjątki zkomedyi Dmuszewskiego, Bajki Krasickiego Akt I, scena VI w Tygodniku pols. 1819, II, 53). Chciwa nowość publiczność zyskała tylko na tém, bo napawała się coraz to nowemi widowiskami, wyrastającemi jak grzyby po deszczu za pierwszych lat dyrekcji Osińskiego. (Porównaj Gazetę Warszawską z 7 października 1815 r., tudzież Gaz. Koresp. 1815, II, 1490). Ixowie uderzali przedewszystkiém na ówczesne dramata. Był to rodzaj mieszany, przejściowy (od dzieł t. z. klasycznych do sztuk romantycznych), który szczególnie polubiła publiczność warszawska, przyzwyczajona wigiej patrzyć niż słuchać. I lubo parter wajażował czasem z jednego pokoju do drugiego, z tego do ogrodu, to znowu do miejsc dawniejszych, dramata te tak go zmordowały podróżą, że siedział kołkiem na jedném miejscu. Kompozytka tych sztuk była bez ładu i składu, sceny poprzecinane nie miały ciągu ani związku. Rozmowy były rozwlekłe, czasem nawet opowiadano powtórnie to, co już parter sam widział na scenie. W każdej prawie scenie było mnóstwo maksym rządowych, zdań moralnych, przycinków kobietom, urzędnikom i woźnym; wyraz ojczyzna mógł być umieszczonym dziesięć razy w każdej scenie, w miejscu czy nie w miejscu. Co za dowcipny naprzykład pomysł w dramie „Podkanclerzy,” gdzie dla doświadczenia cierpliwości słuchaczów występuje waryatka, której pomieszenie na tém polega, iż kilka słów nic nieznaczących wyrzekłszy, szuka przez pół godziny w milczeniu po podłodze zgubionego pierścionka (i cały amfiteatr z nią szukał). Znalezienie zaś zguby tak cudowny sprawia skutek na jój zdrowiu, iż potem przez trzy akta długie, mimo prześladowania i uwięzienia ojca, mimo utraty majątku i sławy, rozum jój najmniejszego nie okazuje pomieszenia. Publiczność lubowała się w tego rodzaju widowiskach, gdzie jak w „Głowie bronzowej“ dzwonią i strzelają, i bębniają i pioruny biją, i deszcze leją i ktoś niby śpiewa...“ Można było na niéj płakać i śmiać się, tylko zdrzymać było trudno, a to po prostu dla hałasu. Były nawet melodramata, w których pies figurował na scenie (tytuł téj sztuki „Pies z Montagris.“ Patrz krytykę X-a w Gaz. Kor. 1815, II,

1115). Słusznie więc występowali Ixowie przeciw tym „nadużyciom dramatycznym,” jak sprawiedliwie podnosili w komedyi wartość klasyczną dzieł Moliera.

Obok wyszydzenia przez Ixów tego rodzaju krotofil i fars, jak Kasperki, Kminki, Pumpernikle i Przypiekalewiczówne, pełnych niedorzecznych sytuacji, dziwnych przesadzonych charakterów i tym podobnych z prawdą niezgodnych śmieszności, dziwnie brzmi jednak w ustach już postępowego Ixa—występującego wbrew opinii swoich braci w szranki za melodramatami i krotofilami—zdanie takie, że „jedna scena tragiczna przyzwoicie wydana więcej jest nierównie warta niż wszystkie krotofile razem wzięte.” (Gaz. Kor. 1816, II, 2083); albo zdanie jego kolegi, że Beaumarchais dla tego stoi o całe niebo niżej od Moliera, ponieważ rozśmiesza a nie naucza (Gaz. Kor. 1816, I, 73). Wychodząc z tak fałszywie pojętego klasycyzmu, biją Ixowie ciągle w „ton dobry wielkiego świata,” w delikatny „smak” wyższego społeczeństwa, napadając na wszystko, co jest charakterystyczne, indywidualne i prawdziwe, jako na „nieprzystojność, trącąca gnuśnością i prostactwem.” Komedyi Zabłockiego „Fircyk w Zalotach,” nie radzi X. wystawiać na scenie, bo „ton téj komedyi właśnie ten, z któregoby teatr nasz wyjść powinien.” Podstolina i Klarysa mają nie tylko te wady, które im „zły smak Zabłockiego narzucił,” ale i te jeszcze, które im aktorki dodały wymawianiem „niedelikatnych i niesmacznych wyrazów” (Gaz. Kores. 1815, II, 1379). Podobnie fałszywe i niezdecydowane wyobrażenie — zresztą powszechne w owym czasie — mieli Ixowie o przedstawieniu na scenie sztuk obcych, francuzkich. Nie zadawałają się oni wiernym oddaniem sztuk z dekoracyami i ubiorami z całą sceneryą oryginału, lecz radzą zastosować je do naszych zwyczajów i obyczajów, do naszej miejscowości. W tym drugim wypadku należy przedstawiać już nie Aramę, ale po prostu Panią Prostakiewiczową; nie panowanie Ludwika XIV, ale czasy Augusta III (Gaz. warsz. z 23 grudnia 1817, Dodatek do Nr 102, str. 2507).

(dok. n.).

MARYA MANTUAŃSKA, KRÓLOWA POLSKA.

1644—1648.

STUDYUM BIOGRAFICZNE NA PODSTAWIE ŹRÓDŁ REKOPIŚMIENNYCH *).

PRZEZ

K. Waliszewskiego.

Wracam obecnie do orszaku królewskiego, ciągnącego dalej ku wschodowi, choć nie mam zamiaru ubiegać się o lepsze na tém miejscu z pompatycznym opisem Jmci pana Laboureur'a, ani nawet z mniej urzędowym, ale równie mało interesującym opisem Jmci pana des Noyers ¹⁾). Pominiawszy mniej lub więcej solenne, z usposobienia niemieckich burmistrzów płynące, przyjęcia w przydrożnych miastach, mniej lub więcej żwawe umizgi i kłótnie, nieodłączne od tak licznej dworskiej drużyny i tak dłużej pielgrzymki, podróż ta dokonywa się, bez zasługującego na wzmiankę epizodu, aż do samego prawie Gdańska. Tu, u bram zdobytego przez się królestwa, tryum-

*) Dokończenie — patrz zeszyt za m. wrzesień r. b.

¹⁾ Nie zgaduję, co autor wzmiankowanej już francuzkiej pracy o naszej królowej, p. Vandal, znaleźć mógł godnego uwagi w tym ostatnim opisie. Ani w nim ani téż w „Pamiętniku” (Mémoires et documents, Pologne, II), przechłowanym (w części) w ministerjum spraw zagr. i stanowiącym dalszy ciąg ogłoszonego w Berlinie, nie znalazłem nic, prócz zbieranki bajek, tłustych anegdotek i oszczerstw. Zachęcony pochlebną wzmianką p. Vandal, biedny Kraszewski, prosił mnie, na czas krótki przed fatalnym swoim procesem, o odpis tego dokumentu, który przesłany do rąk jego, przyniósł mu jeszcze jeden dodatkowy zawód. Przypuszczam chętnie, iż kardynał Mazarini obcym w samej rzeczy pozostał wyborowi pana des Noyers, tyle poszukiwanego przez Maryą sekretarza; wybór zaś ten nie świadczy na korzyść

falnie dotąd podróżująca królowa, zniewoloną jest przerwać swój majestatyczny pochód. Trafia się epizod. Poważny czy błachy, zobaczymy niebawem; tajemniczy w każdym razie, pochwycony przez legendę i nieodzyskany dotąd na rzecz historii. Historyczne na pozór o nim podanie zostało nam wprawdzie udzielone, z odstonieniem ciemnej i dramatycznej intrygi. Bohaterem jej zawiedziony kochanek pani de Choisy, matki słynnego z dowcipu abbé tegoż nazwiska i jednej z najpoufaniejszych przyjaciółek naszej królowej, syn sławnej pani de Sablé, pośmiertną w ten sposób otoczony sławą, młody kawaler de Bois-Dauphin. Marya Mantuańska to przybawiła zakochanego młodzieńca o otrzymaną przezeń odprawę, za co się teraz mści na niej. Podczas, gdy nie przewidując nic złego z téj strony, posuwa się nasza królowa wolno ku Warszawie, wyprawiony jednocześnie i w tym samym kierunku pchnięty goniec, pędzi kuryerskimi końmi na traktach niemieckich i znacznie ją wyprzedza. Goniec wiezie list kawalera de Bois-Dauphin do króla Władysława, a list zawiera potępienie narzeczonej królewskiej. Odkrywa bowiem przed oczami oburzonego monarchy przeszłość niegodną królewskiego łoża i tronu wybranej przezeń towarzyski: intrygę miłosną z Cinq-Mars'em. Oskarżenie uważano za tak przekonywające, że król nie powinien mieć żadnej wątpliwości, za tak przygnębiające, że nie powinien zawahać się ani na chwilę. Prędkiej drugiego gońca dla wybieżenia naprzeciw shańbionej przed małżeństwem małżonki i zatrzymania jej, zanim wstąpi na ziemię, która nie powiuna nigdy być jej ziemią. Pierwszy to wprawdzie tylko i chwilowy popęd Jkr. mości. Wracając niebawem do pobłażliwszych uczuć, król Jegomość odwołuje zbyt pośpiesznie wydany rozkaz i skłania się z rezygnacją do zarzucenia napowrót na ową skompromitowaną przeszłość zastony, zdartej z niej tak niewczesnie. Ale biednej, zdradzonej oblubienicy, długo jeszcze odczuwać przyjdzie bolesne następstwa tak dotkliwego wrażenia, udzielonego na samym wstępie jej małżonkowi.

Zkąd pochodzi to podanie? Praca francuska pana Vandal, której je zawdzięczamy, nie zostawia w tym względzie wątpliwości. Autor czerpał z archiwum francuzkiego spraw zagranicznych i, jak się zdaje, ztamtąd tylko. Czy atoli nie omyliła go pamięć i czy nie zdarzyło mu się przypisać panu de Brégy, albo innemu któremu dyplomatycznemu świadkowi, prawowitej własności Tallemant'a¹⁾,

tój która go uczyniła. Obdarzony starostwem po śmierci swjej dobrodziejki, a dziwnie niewdzięczny współpracownik, mógł zresztą być tylko biernym narzędziem. Jego korespondencya z Bouillaud'em (której połowa, wyjęta z „Biblioteki narodowej paryzkiej,” doczekała się wydania w Berlinie; połowa zaś pozostaje między rękopiśmiennymi zbiorami ministerstwa spraw zagr.), prawdziwy pomnik płytkości i nieświadomości politycznej, potwierdza zdanie nasze.

¹⁾ Les Historiettes de Gédéon Tallemant de Réaux. 2-de edit. p. M. Monmerqué. Paris, 1840. T. 6. Anekdoty tu spisane pełne są bajek, uganiających się z pewnym cynizmem za jaskrawością opowiadania. Red.

czy którego innego opowiadacza anegdotek? ¹⁾ Osobiście nie mogę sobie przedstawić tego króla, który ma być człowiekiem: statecznego i rozważnego umysłu, przystępnego do tego stopnia dla wrażeń wieści, udzielonych mu przez pierwszego lepszego kawalera francuzkiego. Nie mniejszego wysiłku potrzeba mi dla dopuszczenia tego wniosku, że wchodząc w dość trudne następnie do zerwania zobowiązania małżeńskie, król zaniedbał wniknąć pierwój w tak ważne i pierwszorzędne przecież w takiej sprawie szczegóły biograficzne, dotyczące przedmiotu tych zobowiązań, że pozostał obcym względem aktów, których tajemnicę niejednen chyba syn pani de Sablé znał doskonale od lat czterech. Zwracamy w tém miejscu uwagę na argument rozstrzygający.

W powieści Alfreda de Vigny, w którą zdaje się, iż p. Vandal więcj się wczytał niż w archiwalne folianty, postówie króla polskiego, przybywający z prośbą o rękę francuzkiej księżniczki, spotykają się ze szkopułem ambitnych i miłosnych pretensyj „wielkiego koniuszego.“ Krwawy tych pretensyj koniec jest tylko ofiarą złożoną przez Cinq-Mars'a na ołtarzu tój, którą wyniósł w swém sercu nad ambicyą swoję i nad honor swój i życie; a słowa królowej francuzkiej: „Hélas, mon enfant, vous êtes reine de Pologne!“ odpowiadają smętném echem złowrogiemu uderzeniu topora, spadającego opodal na młodą głowę bohaterskiego kochanka. Ale to w powieści, i tylko w powieści tak się rzeczy mają. W historycznej rzeczywistości, Henryk d'Effiat, margrabia de Cinq-Mars, wstępuje na rusztowanie 12 września, 1642 r.; pod tą zaś datą Cecylia-Renata, pierwsza małżonka Władysława, rozstająca się z życiem dwoma niespełna latami późnij (24 marca 1644 r.), może obiecywać sobie jeszcze długie życie i panowanie w Polsce. Jak przypuścić, aby polski monarcha, posiadający jeden z najlepiej poinformowanych między spóczesnemi gabinetami europejskimi, potrzebował czekać na spóznioną i z niepewnego źródła pochodzącą denuncyacyą, dla powzięcia wiadomości o intrydze, której najdrobniejsze szczegóły miały czas obiedz wszystkie kancelarye i buduary, od jednego do drugiego końca Europy ²⁾? Zwątpićby chyba należało o wiarogodności tych dy-

¹⁾ Przyszło mi już upomnieć się przed publicznością francuzką o sumienniejsze uwzględnienie elementarnych zasad, rządzących cytatami historycznemi, ze strony historyków, powołujących się na „dokumenta niewydane.“ Odkąd zwłaszcza francuzkie archiwum spraw zagr. przystępném się stało dla oiekawości publicznej, bywają pomniki nagromadzone w niem przedmiotem nader częstych nadużyć. Praca pana Vandal wywołuje bezpośrednio podobną uwagę. Z wyjątkiem kilku drobnych szczegółów, zajmująca zkadinał powieść jego, nie ma zgoła nic wspólnego ze świadectwami dyplomatycznemi, których stempel ogólny jednak przybiera.

²⁾ Gdyby wierzyć godziło się (więcj co prawda niż wątpliwój autentyczności), pamiętnikowi jednej z sióstr naszej królowej, Anny, falcgra-

plomatycznych zeznań, których archiwum na Quai d'Orsay nam dostarcza. Szczęściem nie potrzebujemy uciekać się do tak przykrój alternatywy i nie mamy powodu do wszczynania sporu z równie poważnymi świadkami. Nie sędzę, abym się mylił, twierdząc, iż nie ma ich przed kratkami w tej sprawie, a zupełną mam pewność, że samo imię kawalera de Bois-Dauphin nie pojawia się nigdzie w ich zeznaniach. Wypada nam nawet opuścić pałac na Quai d'Orsay i zapukać do drzwi sąsiednich, aby po odjeździe z Paryża królowej naszej, odnaleźć autentycznie stwierdzony ślad jakiegokolwiek intrygi lub przygody, wystawiającej na szwank tak szczęśliwie dopiero co do skutku doprowadzony związek. Oto, pod datą 28 grudnia, 1645 r., list Denhofs ¹⁾, dopominającego się o jak najrychlejszą ustną rozmowę z panem de Brégy „dla zapobieżenia wielkiej alteracyi, której doznać mógłby król polski, za sprawą pewnych wiadomości otrzymanych z Paryża“. Powieść p. Vandal zdaje się więc zyskiwać podstawę. Goniec, wyprawiony z Paryża w ostatnich dniach listopada, i pędzący dniem i nocą, podczas gdy nowa królowa zaprzęta się w Brukselli nawracaniem ministrów hiszpańskich, miał właśnie czas przybyć do Warszawy. Równocześnie musimy choćby w krótkości zaznaczyć, że powolność pompatyczna podróży królowej wywołuje ze strony samego gabinetu francuzkiego głośne oznaki niecierpliwości i niepokoju. Kardynał lęka się, aby zwłoka nie wywołała obrazy króla polskiego ²⁾. P. de Brégy lituje się ze swjej strony nad panami polskimi, odbywającymi w Gdańsku przydługie i kosztowne czaty. „Będzie to—pisze do kardynała—nie nadto szczęśliwym wstępem tej pani do ich królestwa i ich dobrej łaski, że za jēj przyczyną pozbędą się ci panowie w dwóch miesiącach całorocznego dochodu, a to dość niepotrzebnie“ ³⁾.

Przyczyną niepokojących wiadomości, które nakazują w-dzie pomorskiemu szukać spotkania się z panem de Brégy, miałyby być kawaler de Bois-Dauphin? Być może. Czy dotyczą one miłosnych wspomnień po niefortunnym Cinq-Mars'ie? Niech Bóg broni! Właśnie, o miłość nie chodzi w tej sprawie! Czytelnik nie zapomniał zapewne o kryżu dyamentowym, wartości 200,000 fr., przeznaczonym przez troskliwość kardynała Mazarini'ego do zamaskowania niedostatecznej w jego pojęciu szczodrości wspaniałego monarchy północnego. Zachęcony tym przykładem, pan de Brégy postarał się ze swojej strony o „pożyczenie“ od pewnego kupca gdańskiego dyamentowych kolczyków, oszacowanych na 12,000 talarów, które ma złożyć w ofierze nowj królowj

fowej nadreńskiéj, intryga ta nie byłaby nawet ostatnią w dotychczasowym zawodzie romansowj księżniczki, i „wielki-koniuszy“ miałby następcę w osobie bezimiennego i nisko urodzonego włocha, dla którego rozkochana na dobre tym razem księżniczka gotową była poświęcić stanowisko swoje, majątek i gwiazd samych obietnice.

¹⁾ Arch. barona d'Hunolstein.

²⁾ Mazarini do p. de Brégy; 10 lutego 1646 r. Arch. spraw zagr. —Ob. Chévruel. Korespondencya kardynała, s. 718.

³⁾ De Brégy do kardynała Mazarini'ego; 17 stycznia 1646 r. Arch. spraw zagr.

„ale będzie je miał sobie zwrócone przez nią nazajutrz“¹⁾. Mistrz zostawia wszelako ucznia daleko w tyle. Upodobawszy sobie pomysł pożyczania posłom polskim owego krzyża, trafia niebawem kardynał na pomysł drugi, nierównie misterniejszy: wprowadza go do rachunku, odliczając koszt od sumy posagowej. I zapewne, dostawszy się w ręce tak dostojnej pani, jak polska królowa, klejnot ten zyskuje w jego oczach, z powodu królewskiego swego przeznaczenia, znakomite podwyższenie wartości. Bez wahania wpisuje go kardynał do sumy 100,000 talarów, na konto wypłat, zastrzeżonych na rzecz posagu. Jednocześnie do przewidzianych w kontrakcie ślubnym terminów tych wypłat wkrada się wielki nieporządek, częścią z przyczyny trudności w znalezieniu gotówki, częścią z powodu niespodzianej a zuchwałej interwencji urzędników księcia Mantuańskiego, synowca królowej, uzbrojonych od stóp do głów w dekreta i areszta bez liku i posuwających śmiałość swoją aż do położenia ręki na niejakiach kobiercach, zostawionych tymczasowo w Paryżu przez naszą królowę²⁾. A zatem okazuje się mniej gotówki niż spodziewać się było wolno, że królowa przywiezie z sobą; a nawet w tój, którą przywozi, ubytek znaczny, sprawiony wliczeniem do niej klejnotu, który kosztował 200 tysięcy franków, figuruje zaś w rachunku w 300 tysiącach. Nakoniec ujma, wyrządzona powadze monarszej przez niegodne pieniacstwo. Oto buletyn, który wyprzedza Władysławową małżonkę na drodze do Warszawy. Łatwo pojąć, iż fakt tego rodzaju nie sprawia przyjemnego wrażenia. Trudnijszém do pojęcia byłoby, żeby wrażenie to, jakkolwiek nieprzyjemne, dostarczyć mogło samo przez się assumptu do zerwania solennie zawartego związku. Owóz niema czego innego. W rzeczywistości tóż „alteracya“ Jego kr. Mości jest całkiem chwilową; zamiar zaś zerwania całkiem urojony.

Czyż nie ma jednak żadnej trafiającej się opodal od Gdańska przerwy w pochodzie królewskiego orszaku? Czy nie ma kurjera, wyprawionego pośpiesznie z Warszawy dla wstrzymania tego pochodu? Tak jest. Pisząc pod datą 9 lutego, z Lumburga, na granicy polskiej, donosi p. de Brégy kardynałowi o nadesłanym przez kurjera liście króla polskiego, z prośbą odwołania przyjazdu królowej do Gdańska³⁾. Otóż jesteśmy chyba w samym środku tajemniczej i dramatycznej intrygi, i kawaler de Bois-Dauphin wchodzi na scenę. Czy tak? A najpierw, dopominający się o zwłokę list królewski nie odwleka niczego. Jego Kr. Mość przypuszczała, iż wyprawiony przez nią kurjer znajdzie narzeczoną nierównie dalej od Gdańska, w Lubece czy Rostoku. D. 11 lutego orszak wędrowny wstępuje tedy bądź co bądź w progi portowego naszego miasta; a w dziewięć dni później wyru-

1) De Brégy do kard. Mazarini'ego; Szczecin, 1 lutego 1646, Arch. Spraw. Zagr.

2) Ten sam do tego samego; Warszawa, 7 marca, 1646. Królowa Polska do tego samego; Warszawa, 14 i 26 marca, 1646. Tamże.

3) Arch. Spraw. Zagr.

sza w stronę Warszawy. Dziewięciodniowy pobyt u mieszczan gdańskich jest nową jedynie folgą, użyzoną przez naszą królowę reprezentacyjnym swoim upodobaniem, a Król Jegomość nie winszuje sobie już teraz téj zwłoki, ale uczuwa z tego powodu nieco nieukontentowania i sporo niecierpliwości. Dowiedziawszy się bowiem o przybyciu swéj narzeczonej na granicę królestwa, zaniechał natychmiast pierwotnego swego zamysłu i okazuje się bardzo chciwym zobaczenia jéj jak najrychlej przy sobie. Wyprawiając zresztą swego tajemniczego gońca, opatrzył go, prócz listu pod adresem pana de Brégy, w inne pismo, wystosowane do saméj królowéj francuzkiéj. List ten, odesłany dalej ku St. Germain pod datą 12 lutego, przepełniony jest dziękczynnymi komplementami z powodu uzyskanéj z rąk królewskich małżonki ¹⁾. Nakoniec p. de Brégy nie zaniedbuje objaśnić nas o właściwém źródle całego tego zajścia. Król wybierał się do Gdańska na spotkanie swéj narzeczonej. Nie wybrał się i nie myśli już teraz o téj podróży. Czy gniewa się? Czy obrażonym się mieni lub zazdrosnym? Nie; cierpi po prostu na atak podagry. I oto, w obec historycznéj prawdy, cała treść ponurego dramatu, umieszczonego przez pana Vandal, na podstawie niewiadomo jakich świadectw, w lichéj mieścinie nadbałtyckiéj.

Dnia 7 marca, królowa stanęła w Falentach. W téj chwili nie może już chyba być mowy o zerwaniu, i król Jegomość pogodzić się musiał ze swoim losem. Jednak wjazd nowéj monarchini do stolicy i pierwsze jéj spotkanie z małżonkiem odraczają się do 14-go. Czemu? Zawsze ta sama odpowiedź: król jest cierpiącym. P. de Brégy przybywa sam do Warszawy, incognito; widzi się z królem i udziela mu żądanych wyjaśnień. Względem miłosnéj przeszłości jego małżonki? Gdzież tam! Względem dyamentowego krzyża i przypisanego mu szacunku. Król Jegomość mieni się zadowolonym z wyjaśnień; ale cierpi zawsze na podagrę.

Trzyma go ona i przykuwa jeszcze do tronu w dniu uroczystego spotkania pod sklepieniami Ś-go Jana, odkładanym napróżno. I oto znowu cały sekret rzekomo zimnego przyjęcia, doświadczonego przez strapioną oblubienicę. Nie wybiegł rycerski monarcha naprzeciw téj z utęsknieniem wyglądanéj towarzyszki, którój wizerunek nie opuszcza go od roku, dla tego, że nie mógł stąpać, a nie życzył sobie, aby go zobaczyła po raz pierwszy niesionego w krzesle. Daje się to wytłómaczyć. Nie ruszył się także (choć w tym względzie różni się podania), gdy Marya, teraz już przyjęta bezsprzecznie małżonka i ludowi polskiemu przeznaczona królowa upadła mu do nóg, czyniąc zadość starożytnemu ceremoniałowi. Nie pospieszył podnieść jéj. Biedny! Samemu się podnieść byłoby mu trudno!

Historya bywa często tkanką z drobnostek uwitą. Tylko są

¹⁾ Arch. Spraw. Zagr.

prawdziwe i fałszywe drobnostki. Pierwsze wystąpienie naszej królowej w Warszawie zawisło od niewczesnego ataku podagry króla! Taki jest historyczny stan rzeczy!

III.

Wystąpienie tedy królowej naszej w Warszawie nie jest bądź co bądź pomyślném. Wypada to przyznać. Jest ono przecież wolne od narzuconej mu tragicznej maski. Trzeba było krwawego cienia Cinq-Marsowego, wprowadzonego arbitralnie w ramy tej domowej komedyi, aby z niej zrobić dramat. W ten to sposób potrafiiono odkryć kropkowane ślady łez—i wykrzyknikami znaczne wyrazy rozpacz między liniami tego lub owego listu, pisanego, przez nową monarchinię i zaznaczyć bolesną sprzeczność między cyfrowanemi a niecyfrowanemi ustępami jęj korespondencyi. Jest to tylko ciąg dalszy—nie historyczny, broń Boże, jak chce p. Vandal, ale absolutnie romansowy—romansu Alfreda de Vigny. Nie archiwalny żaden foliant z pewnością, (żaden przynajmniej z archiwum Spraw Zagr.), zwierzył się francuzkiemu pisarzowi z przypisanego przezeń Władysławowej małżonce zamiaru oswobodzenia się przez ucieczkę od utrapień i upokorzeń jęj nowego losu. Uciekać przed tym tak długo oczekiwany, tak pracowicie zdobytym losem?

Właśnie ma Marya-Mantuańska coś podobnego w głowie!

Oto w całości pierwszy z owych nazajutrz po przybyciu do Warszawy pisanych i tylo ma patetycznemi domysłnikami napełnionych jakoby listów. Pisany w całości cyframi, z wyjątkiem pierwszego i trzeciego ustępu ¹⁾:

„Zaczynam od wjazdu mojego do tego miasta, który odbył się tak pięknie i tak wspaniale jak tylko można. Skoro W. E. powiadomioną będzie o szczegółach, nie wątpię, iż podzieli moje zdanie. Mimo prośb moich, kilkakrotnie ponawianych przez listy i przez osoby przy nim będące, Król Jegomość nie dał się zatrzymać w swoich pokojach. Czekał na mnie w kościele, gdzie nuncyusz dopełnił ratyfikacji aktu ślubnego. Król Jegomość kazał się następnie odnieść do swoich pokojów. Chciał jeść wieszczę tego samego dnia u mnie. Brat jego i pani de Guébriant wzięli udział w tym małym bankiecie, poprzedzającym wielki bankiet dnia następnego, na który król Jegomość nieść się znowu rozkazał, wbrew zdaniu wszystkich otaczających, a zwłaszcza doktorów. Dwie te wycieczki dały mu się cokolwiek uczuć w powtórzeniu dawnych dolegliwości i tej nocy doznał lekkiego ataku gorączki i bólu głowy. Nie widziałam go jeszcze. Wczoraj spędziłam

¹⁾ Przyznać muszę, iż dokładne obznajmienie się z treścią korespondencyi, do której list ten należy, tę, między innymi przedstawia trudność, że się ma do czynienia dość często z tekstem nieodcyfrowanym. Gdy jednak klucz pozostaje wszędzie ten sam, międzyliniowe zaś odcyfrowania, dokonane na niektórych tekstach, ułatwiają odszukanie tego klucza, trudność, o której wspomina, redukuje się do kwestyi czasu i fatygi. Nie żałuję mojego w tym względzie wydatku.

dłuższy czas przy jego łóżku. Przysłał był prosić mnie o to. Poleciłam, aby mu powiedziano, że nie ośmielę się odwiedzać go pierwój niż poznam, że mu to przyjemném być może. Będąc mu obcą, mogłabym znaleźć się natrętną przy jego chorobie. Ta oględność bardzo mu się podobała. Obchodzi się ze mną bardzo ceremonialnie, ale dając poznać jednocześnie wielki szacunek dla mojej osoby, przez nieustanną troskliwość o wszystko, co mnie dotyczy.

„Znajduję cokolwiek nieporządku w ustanowieniu mojego dworu; ale staram się, aby to nie doszło do jego wiadomości, dla oszczędzenia mu gniewu, któryby zaszkodził wielce jego zdrowiu. Skoro tylko wyjść mu Bóg pozwoli z terażniejszego stanu, powiem mu o tém i nie wątpię, że wszystko pójdzie po mojej myśli. Ale panowie Francuzi nie mają najmniejszego rozsądku: mówię o tych, których z sobą przywiozłam. Uchodzi to u nich za rzecz najdrożniejszą w świecie, jeżeli nie są panami wszędzie. Prawda, że Polacy nie są nojłagodniejszymi w świecie ludźmi, ale trzeba godzić się z tymi, z którymi żyć trzeba.

„Ten kraj jest na podziw pięknym! Jedném słowem, aby porównać go z najpiękniejszymi w Europie, potrzebaby długiego pozostania pod berkiem terażniejszego króla. Znajduję wszystko to, co mi zostało zapowiedzianém przez W. E. i wigcój nawet. Król, mój pan miłościwy, jest człowiekiem umysłu otwartego i przyjemnego. Zdaje się być niezmiernie dobrym. Wie W. E. że jestem z usposobienia nieśmiałą. Ztąd pochodzi, że nie weszłam z nim dotąd w zbyt poufały stosunek. Jednak widzę go bardzo zadowolonym z moich postępów we włoskim języku. Uprzedził mnie, że doniesie W. E. o swoich dla mnie uczuciach przez biskupa Orańskiego.

„Zresztą napełniono mnie dziwacznemi obawami względem przypuszczanego gniewu z Jego strony, tak w przedmiocie moich posagowych pieniędzy, jak niemniej w przedmiocie wiadomego W. E. krzyża. O pieniądzech nie mówiłam z nim dotąd, nie znalazłszy zęczności po temu, i poinformowaną będąc, że dowiedziawszy się o właściwym przebiegu rzeczy, uznał się zupełnie zadowolonym z mojego postępowania; zwłaszcza po otrzymaniu od postów swoich zapewnienia, jako nie uczyniłam nic bez ich rady. Panowie postowie powrócili także do Łaski; gniew bowiem Jego Kr. Mości przeciwko nim nie miał innój przyczyny prócz niedbałości ich w udzielaniu mu wiadomości o mnie i o postępie mojej podróży. Jedném słowem, przypisuje on swoją chorobę doznanemu niepokojowi. Oświadczyłam mu wczoraj, iż nie chciałam, aby ktokolwiek inny mówił mu o tym przedmiocie ¹⁾). Wyraziłam, iż przyjąłam go z tém zastrzeżeniem, uczynioném przed W. Eminencyą, że, w razie, gdyby się król, pan mój miłościwy, niezadowolnionym z tego powodu miał okazać, będę go mogła odesłać. Wystłuchał mnie bardzo spokojnie; kazał sobie podać krzyż; znalazł go bardzo pięknymi i powiedział

¹⁾ Sic; o krzyżu, jak wykazuje dalsza treść listu.

mi następnie, że nie należy, broń Boże, odsyłać go; że jest wielce obowiązany W. Eminencyi i zadowolnionym ze mnie ¹⁾, i w téjże chwili chciał przystąpić do podpisu. Osądzi W. E. z tego, że, znalazłszy go tak łatwym w téj sprawie, którą nieprzyjazne umysły usiłowały przedstawić mu w złém świetle, wszystkiego można się spodziewać po nim w innych sprawach. Mam wiadomość z różnych stron o czynionych przeciwko mnie zabiegach naokoło Jego osoby. Pogłoski te martwią mnie czasem, ale nie przestraszają mnie ²⁾. Nie umiem jednak jeszcze wyrazić o niczém ostatecznego sądu. Trwam w stałym postanowieniu pilnowania się dobrych rad, udzielonych mi przez W. E. i donosić będę W. Eminencyi o powodzeniu, jakie one będą miały. Wczoraj i dzisiaj odebrałam podarunki ślubne. P. de Brégy doniesie W. Eminencyi o tym, z którym się osobiście zgłosił. Jest to prosta demonstracya; ale z bardzo dobrego serca uczyniona. Zwróciłam mu już jego kolczyki. Królowa aż nadto hojnie mnie obdarzyła. Trzeba na tém poprzestać.

„Znalazłam tu już przeznaczoną mi ochmistrzynią. Gdybym była nie postanowiła z góry nienawidzić jęj, czułabym się skłoną do wręcz przeciwnego względem nięj uczucia. Dostrzegłam w nięj dużo bystrości i łatwości charakteru. Posądzają ją o szpiegostwo; ale zamiary moje są tak rzetelne, że nie mam powodu do obawy ³⁾. Obowiązana jednak będę W. Eminencyi za udzielenie mi w tym względzie wskazówki. Miałabym jeszcze do nadmienienia o wielu rzeczach; ale czasu nie staje do dłuższego pisania. Niech W. E. zauważy, że nie miałam jedęj chwili odpoczynku od wyjazdu z Paryża. Życie tutejsze więcj jest zamkniętém niż tam, we Francyi, ale z mojem usposobieniem, nie lękam się tego wcale. Proszę zachować mi przyjaźń i wierzyć, że jestem z całego serca, „M-r mon cousin,“ wielce przywiązaną kuzynką...
Ludwiką-Maryą ⁴⁾.”

Gdzież tu wyimaginowana niezgoda urzędowych uśmiechów i poufnych żalów? Gdzież dramat? Ten listu pozostaje jawnie jednostajnym i jawnie szczerym od pierwszej do ostatnięj litery, i, w szczerości swęj, udziela nam bardzo dokładne wyobrażenie o odnoszącej się do téj chwili sytuacji. Król Jegomość jest jak najlepiej usposobionym; ale cierpi na podagrę i czuje się cokolwiek śmiesznym w obec oblubienicy téj, któręj pozostaje tytułowem jedynie małżonkiem, i w obec niecier-

¹⁾ Wszystko to pisane cyframi w oryginale i nie zawiera najmniejszęj wzmianki o jakiémkolwiek nieporozumieniu wyniklém z zazdrości; sięgającęj w przeszłość.

²⁾ Cyfrowém zawsze pismem.

³⁾ Ochmistrzynią tą była żona hr. Magni, byłego cesarskiego ministra, poróżnionego na teraz ze swoim dawnym panem, ale zachowującęgo, jak się zdaje, niejaką zażyłość z austriackimi stosunkami.

⁴⁾ Królowa polska do karł. Mazarini'ego; Warszawa, 14 marca. Arch. Spraw Zagr.

pliwości, zdradzanój co chwila przez panią de Guébriant, dla której spełnienie aktu małżeńskiego zdaje się być niezbędnem uwięzieniem powierzonego jój posłannictwa. Zważmy, że mamy przed sobą króla nie malowanego; ale prawdziwego *vert-galant*. Przed tém uczuciem, które go trapi, szuka on ucieczki w afektowanój ceremonialności. Czy nie zbija go z tropu zkądinąd i nie paraliżuje potrosze owa, długo przewyciężyć się nie dająca nieśmiałość, do której przyznaje się sama królowa, która dziwił może cokolwiek z jój strony, i którą, w obec oblubieńca swego, obciążonego tuszą i innymi dolegliwościami, pokusa bierze nazwać inném imieniem? Oto uboczna wskazówka w tym sensie: list jednego z najczynniejszych pośredników w dziele tak dziwacznych przygodami doświadczanego obecnie związku, w-dy poznańskiego, piszącego pod datą 24 marca 1646 r. do p. de Brégy. Pod datą tą niecierpliwość pani de Guébriant nie doczekała się jeszcze satysfakcyi. Czy wina w tém króla? Czy, przynajmniej, on jedynym jest winowajcą?

„Wierność, z którą pragnę służyć mojej królowej, zniewala mnie do udzielenia jój podwójnego ostrzeżenia, które zechcesz W. M. Pan jój zakomunikować, nie wyrażając, iż pochodzi odemnie. A najpierw, żeby nie była tak nieśmiałą względem króla i wchodziła rezolutnie do jego pokoju, jak to królowa nieboszka zwykła była czynić, bez żadnego natręctwa z jój strony; Król Jegomość bowiem bierze przeciwne zachowanie się za dowód niedostatecznego dlań afektu Jój Kr. Mości. Prócz tego, należy jój być cokolwiek śmiałą w pieszczeniu go i udzielaniu mu miłosnych satysfakcyj, come si dice italiano: gli scherzi a morosi, ponieważ król nasz pan miłościwy, jest cokolwiek lubieżnym, („lascif“) w tej materji miłosnej, co Waszmość Pan zrozumiesz dobrze, aczkolwiek nie umiem użyć należytych do wytkómaczenia się terminów, lepiej się znając na praktyce w tych rzeczach niż na rozprawianiu o nich ¹⁾.“

Sytuacya ta przeciąga się aż do pierwszych dni kwietnia. Król jest zawsze cierpiący, zawsze zakłopotany rolą, którą mu okoliczności przeznaczają, i, w następstwie, nerwowo usposobiony, łatwy do rozdrażnienia i przystępny rozmaitym uniesieniom. Niezapominajmy, że ambitna i zazdrosna kamarylla otacza go siecią swoich wpływów i intryg, walcząc w obronie zagrożonego bytu. Wszechwładni wczoraj, niespokojni o jutro faworyci, wysilają się na sposoby, aby oddalić Jego Kr. Mość od tego małżeńskiego łoża, w którym widzą grób swego dotychczasowego kredytu.

„Królowa, pisze p. de Brégy, dla przypodobania się królowi nie walczy, jakby należało, ze swoim usposobieniem, o którym mówi, że nie jest z natury skłonna do pieśzcot ani do ustępstw. Kiedy jój chodzi o otrzymanie czegoś, byłoby pożądaną rzeczą, aby szła prosto do króla, przypochlebiła mu się i starała się być mu przyjemną,

¹⁾ Arch. bar. d'Hunolstein.

zamiast wdawać się z lichymi pokojowcami, będącymi przy osobie Króla Imci, którzy wszyscy są jego stręczycielami miłosnych zabawek i nie lękają się niczego więcej jak tego, aby Król Jegomość nie przywiązał się zanadto do królowej; na dowód czego posłużyć może świeża przygoda, która się trafiła Jego Kr. Mości u pewnych dam, gdzie wybrał się do kąpieli i z kąd wrócił chory. Używa też królowa innego proceduru, którym się naraża Jego Kr. Mości, a mianowicie wielkiej ciekawości w dopytywaniu się o wszystkie jego postęпки a także oznajmiania mu za pośrednictwem owych pokojowców, że nie sądzi się być przezeń kochaną ¹⁾.”

Obok faworytów płci męskiej, widać także pannę d'Eckemberg, utrzymującą się na dworze, po rozproszeniu niemieckiego otoczenia królowej nieboszczki, dzięki przemyślnie zdobytemu urzędowi ochmistrzyni przy młodocianym królewiczu, szermującą na stronie różowemi pazurkami w obronie innego, mniej urzędowego stanowiska. Widać nareszcie przybyły z nową królową francuzki regiment, który, wybrawszy się z nią razem na zdobycie odległego królestwa, rzuca pożądlive oczy na fortecę faworów królewskich i rusza przebojem do szturmu.

Tak otoczony i napastowany ze wszystkich stron Król Jegomość, znajduje przez czas niejaki, mimo przyrodzonej stateczności umysłu, pewną trudność w zachowaniu równowagi. Waha się między porywem platonicznej zapewne galanteryi, której panna de Guébriant, siostrzenica marszałkowej, (młoda osóbką nie nadto nieśmiała zapewne), staje się chwilowym przedmiotem, a wręcz sprzecznym porywem surowości, której pada ofiarą nowy personel dworski, a w szczególności batalion niewieści. Czy nowe to zajście dotyka osobiście królowej saméj? Nie inaczej, gdyby wierzyć panu de Brégy i panu Vandal, przyjmującemu zbyt łatwo za dobrą monetę jego konfidencyonalne zwierzenia. Panie des Essarts, mianowicie, i de Langeron narażały się na oskarżenie o pośredniczenie w sekretnych, „nie zaś spraw stanu, lecz galanteryi dotyczących“ stosunkach, zachowanych przez Królową Jejmość i o udzielanie jéj złych rad ²⁾. Osobiste zwierzenia Ludwiki-Maryi nie sięgają tak daleko. Chodziłoby jedynie o wpływ wywierany na nią, przez źle dobrane towarzyszkę i o trwonienie przez nie jéj pieniędzy ³⁾. W żadnym razie nie chodzi o przeszłość i w żadnym razie także główna jakoby oskarżona nie doznaje zbyt wielkiego wzruszenia. P. de Brégy, który bawi w téj chwili w Gdańsku, dla pilnowania trzecztyśięcznego zaciągu, będącego na teraz główną jego sprawą, napróżno przestrasza się i uderza na alarm. Ona sama „nie rozumie zgoła tego przestachu, pewną się

¹⁾ Do Brégy do kard. Mazarini'ego; Warszawa, 29 maja, 1646. Arch. Spraw Zagr.

²⁾ Ten sam do p. de Brienné; Gdańsk, 6 kwietnia, 1646. Tamże.

³⁾ Królowa do kard. Mazarini'ego, Wiśnicz, 1 sierpnia, 1646. Tamże.

czując, że zachowa przyjaźń swojego małżonka, a nawet towarzystwo swoich kobiet. Jeżeli król nie żyje z nią dotąd w zupełnej poufałości, dzieje się to z przyczyny jego choroby, która czyni go smutnym i nabawia go wiele cierpień, będąc niebezpieczniejszą niż powszechnie przypuszczają. Byleby Bóg użyczył lepszego zdrowia Jego Kr. Mości, obiecuje sobie niezawodnie być szczęśliwą¹⁾.”

P. de Brégy okazuje się wzruszonym taką sytuacją i ma powód do tego, ponieważ był główną, jeżeli nie jedyną przyczyną całego tego chałasu. Jego to, prawdziwe czy domyślne zamachy Don-Żuanowskie dostarczyły okazji do pobudzenia gniewu królewskiego. Przez niego urządzona w słodkiem tête a tête z uroczą panią des Essarts, pierwszą pokojową królowej, wieczerza dostarczyła broni zdradzieckim denuncyantom innej kamerystki, pani d'Aubigny, zazdrosnej włoszki, skojarzonej z przebiegłym normandczykiem. Przyznaje on to wszystko w urzędowej połowie swój korespondencyi. Jest tam wzmianka także o niskiem pochodzeniu pani des Essarts, która miała być córką wyrobnika i pani de Langeron, której „panieństwo“ podejrzywa, ale niema wzmianki ani o Cinq-Marsie, ani o królowej²⁾).

Chałas nie trwa zresztą długo. Podczas gdy margrabia niepokoi się jeszcze i agituje się tam, w Gdańsku, Ludwika-Marya odpoczywa już na laurach nader łatwego zwycięstwa:

„Choroba Króla Imci, która przeciąga się, nastęrcza kilku osobom sposobność do wszczynania mizernih kabał. Podejrzynam kilku Francuzów o udział w pewnej sprawie, która należy już zresztą do przeszłości, i o sprzymierzenie się z drugimi dla skłonicnia Jego Kr. Mości do wydalenia niektórych moich kobiet, na podstawie częścią fałszywych a częścią prawdziwych doniesień. Doprawdy, zastrzyli oni na straszną reprimendę, która ich z mojej strony spotkała. Sprawa ta stała się dla mnie następnie przyczyną wielkiej radości, dając mi poznać czułość Króla Imci dla mnie. Zmienił on natychmiast swoje postanowienie, skoro tylko dowiedział się o mojem zasmuceniu. Z wielką słodyczą zapewnił mnie, że zastosuje się w zupełności do mojej woli. Zauważyłam, iż to, co miał ochotę spełnić sprawa mu prawdziwą przykrość... Kanclerz w. k. i Kazanowski przypisują sobie udział w ułagodzeniu Króla Imci; ale zaręczam W. Eminencyi, że uległ on jedynie temu, co Denhof powiedział mu odemnie... Monarcha to niezaprzeczenie bardzo łaskawy i bardzo łagodnego umysłu. Gdy z czasem nabędę lepszej świadomości rzeczy, przekonana jestem zupełnie, że będę szczęśliwą. Posyła on zawsze po mnie, gdy poczta nadchodzi. Prawie wszystkie listy są po włosku pisane. Mówi Król Jegomość, że czyni tak dla oswojenia mnie z językiem i ze sprawami publicznymi. By-

1) Królowa do kard. Mazarini'ego; Warszawa, 17 kwietnia, 1646. Arch. Spraw Zagr.

2) De Brégy do p. de Brienne; Gdańsk, 6 kwietnia, 1646. Arch. Spraw Zagr. Ten sam do kard. Mazarini'ego; z tej samej daty. Tamże.

wa, że go moja włoszczyzna do śmiechu pobudza; ale upewnia mnie, że rozumie to, co mówię, doskonale.“

List ten nosi datę 28 marca, 1646 r. ¹⁾); datę zaś tę godzi się zanotować, ponieważ ona może posłużyć do stanowczego rozprawienia się z fantastycznymi konturami, narzuconemi całemu temu epizodowi. W romansowém więcej niż historycznym przedstawieniu pana Vandal, pociągnięcie do odpowiedzialności królewskich kamerystek, będące dalszym następstwem tylko Bois-Dauphinowej denuncyacji, doprowadza naprężony już pierwój stosunek między królewskimi małżonkami do tak drastycznych terminów, że tragiczne rozwiązanie sytuacji staje się prawdopodobnym. Ocala sytuacją osobista interwencja marszałkowej de Guébriant, i to w dość osobliwy sposób. Stając przed Królem Jegomością, nadzwyczajna ta — nie z tytułu tylko — ambasadorowa, bierze na się upomnieć Jego Kr. Mość o rychlejsze zabranie się do spełnienia obowiązków małżeńskich, którym uczynienia zadość dopominają się prawa królowej i nadzieje jego poddanych. Król Jegomość bierze do serca te przedstawienia, udaje się pewnego wieczora do komnat królowej, a gdy wychodzi z nich, nazajutrz rano, nie ma już mowy o wydaleniu pań des Essarts i de Langeron ani o potwarzach Bois-Dauphin'a.

Anegdotka dość wesoła i żal prawie, że nie można przyznać jej autentyczności. Przeszkadza zaś właśnie temu data owego listu Królowej Jejmości, łącznie z akuratnością, której czcigodna marszałkowa de Guébriant daje dowód w zaznaczeniu tak niecierpliwie przez się wyglądającego i własną elokwencyą jakoby przyspieszonego momentu, pieczętującego szczęśliwie do skutku doprowadzony związek. Wiadomym nam się bowiem staje tym sposobem, że list, o którym mowa, (a zatem i ostateczne przywrócenie dobrej harmonii między małżonkami i spokoju na ich dworze), wyprzedziło o całe dwa tygodnie uroczysty zjazd i pełen wagi moment. Wypada zresztą oddać naszej ambasadorowej tę sprawiedliwość, że własne jej samochwalstwo nie przyczyniło się bynajmniej do przypisania jej roli, której odegrać nie mogła.

„Nie powinienam ukrywać W. Eminencyi — pisze p. de Guébriant, do kardynała — że było w tych czasach cokolwiek oziębienia między Ich Kr. Mościami, a to z powodu, że Król Jegomość życzył sobie, aby Królowa Jejmość dała odprawę większej połowie swych sług. Ale, prawdę mówiąc, była to rzecz małej wagi ²⁾.“

Tak dalece małej wagi, że w pierwszych dniach kwietnia (i zawsze przed uroczystą chwilą) użyczając pani marszałkowej żadanego przez nią posłuchania, Król Jegomość oświadcza, z prawdziwym wyłaniem serca, „jako nie mógł uzyskać cenniejszego dowodu przyjaźni, ze strony Ich Arcy-Chrześcijańskich Mości, od tego, którym zaszczyco-

¹⁾ Do kardynała Mazarini'ego. Arch. Spraw Zagr.

²⁾ Warszawa, 8 kwietnia, 1646. Tamże.

ny został z ich łaski, otrzymując na towarzyszkę życia tyłoma przymiotami ozdobioną księżniczkę 1).“

Nazajutrz to dopiero po tém posłuchaniu, i niespodzianie całkiem, życzenia pani ambasadorowej doczekują się spełnienia. „Udawszy się na polowanie z królową, król odwiedza za powrotem Jéj Królewską Mość w Jéj komnacie, i odwiedziny te przeciągają się tak długo, że ranek następny zastaje go jeszcze na miejscu“ 2). Komu przypada zaszczyt tego spóźnionego tryumfu? Pełnym uszanowania, ale usilnym przedstawieniom pani marszałkowej, „która daje poznać, jak umie najprzystojniéj, leniwemu małżonkowi, że nie opuściłaby jego dworu z zupełném zadowoleniem, nie dowiedziawszy się pierwéj o ostateczném spełnieniu jego małżeństwa?“ Czy téż wiosennéj porze, którój wpływ dobroczynny skuteczniejszym się zdaje panu de Brégy w téj okoliczności? P. de Brégy, przyznać to trzeba, nie widzi rzeczy z bliska, będąc zawsze na uwięzi w Gdańsku. Pani de Guébriant zaś patrzy na nie z tak bliska jak tylko można. Nie zaniedbuje ona znaleźć się na drodze Jego Kr. Mości, w chwili, gdy Jego Kr. Mość, oświadczwszy jéj, że uczynione mu przedstawienia nie były mu niemilemi, udaje się do królowej. „Wyprzedza ona Jego Kr. Mość, i nie wychodzi z pokoju, dopóki nie ma dozwołoném sobie spuścić kotarę na łożo połączonego nareszcie stała“ 3).

Dajmy na to, że zaszczyt do niéj należy. Gdzież jednak w tém wszystkim dramat? Gdzie tragiczne zawikłanie rzeczy? Nie widzę nic, prócz dość prozaicznego epizodu, zakończoného wodewilowém rozwiązaniem. Niestety! Było już miejsce dla tragedyi w przeszłych losach królewskiej téj oblubienicy o zwiędłych wiosnach, i będzie go jeszcze zadość w nowém jéj rozpoczynającém się teraz przeznaczeniu. Za lat kilka, kiedy od stoku Karpat do ukraińskich stepów, na całym wspaniałym obszarze tego państwa, które od wczoraj stało się jéj własném, nie znajdzie ona dachu, pod którymby złożyć mogła strudzoną głowę, wtedy będzie pora do dramatyzowania, a wystarczy potem, odstąpić głos krwawym pomnikom tych lat potopowych. Na teraz jesteśmy jeszcze w porze komedyi.

IV.

Jakimże jest obecnie wpływ pomyślnego owego rozwiązania naprężonej dotąd, choć więcéj komicznój niż dramatycznój sytuacji, bądź na stosunek do siebie dwojga małżonków, bądź na dalszy rozwój zawisłych, zda się, od tego stosunku wypadków? Bardzo trudnym do oznaczenia. Król doświadcza natychmiast nowego napadu zabójczych

1) Warszawa, 8 kwietnia, 1645. Arch. Spraw Zagr.

2) De Brégy do kard. Mazarini'ego. Gdańsk, 18 kwietnia, 1646.

Tamże.

3) Relacya z d. 8 kwietnia.

cierpień, z których objęcia wyrwać się już nie potrafi, i wraca do swego posępnego humoru. Starzy jego dworzanie widzą go „zmienionym do niepoznania.“ Ulega on „sennościom powracającym kilka razy w ciągu dnia,“ a nawet „niejakiemu przyćmieniu władz umysłowych, które lękać się każą nagłego wypadku.“ Przyćmienie to władz umysłowych nie znajduje się jednak posunięciem do tego stopnia, iżby go uczynić miało skłonnym do poddania się kobiecemu jarzmu. Jeżeli nowa królowa żywiła w tym względzie pewne nadzieje, a zdaje się, iż tak było w samej rzeczy, tedy doświadczenie z pierwszych kilku miesięcy wyniesione musiało ją rozczarować. Nie ma stanowczo nic do zyskania w tym kierunku. Król jest pełnym uprzejmości; w połowie czerwca podpisuje etat dworu Królowej Imci, bez najmniejszej uwagi w przedmiocie dam, których odprawienie do Francji był chwilowo postanowił i jakby zapomniawszy o tém, co zaszło. Zagadnięty wprost w tym przedmiocie, przyznaje, iż cała wina była po jego stronie ¹⁾. Jest nie mniej hojnym, biorąc na siebie dokładanie ze swej szkatuły 65000 liwrow rocznie, do wydatków tegoż dworu „na chleb, piwo, mięso i świece“ ²⁾. Ale na tém koniec. Uprzejmość jego i hojność względem wybranej przez się towarzyszki życia, nie posuwa się aż do dozwoleń jej aktualnego wpływu na kierunek spraw publicznych. Dba on o oswojenie jej z temi sprawami. Nie chce mieć tajemnic przed nią. Ale chce, aby zadawała się świadomością rzeczy, a została resztę jego własnej, jakkolwiek przyćmionej głowie.

Czy tego rodzaju podział atrybucyi zadowolni naszą królowę? Z trudnościami nam chyba przyszło przyznać jej potrzebny w tym względzie stopień abnegacyi. Jak to? Trzebażby jej wyrzec się wszelkiej politycznej roli, wtedy właśnie, kiedy sądzić mogła, że znalazła nareszcie odpowiednią dla siebie scenę? Nie ma-ż ona zresztą własnych poglądów, o których tryumf starać się, własnych interesów, o których obronę dbać jej należy? I zdarza się właśnie, że interesa te osobiste znajdują się w radykalnym antagonizmie z ogólną sytuacją polityczną, przyjętą przez jej królewskiego małżonka.

Niby gwiazda, tkwiąca nieruchomie na widnokregu, jedna myśl kieruje w tej chwili wszystkimi krokami Władysława. Ten król, którego p. des Noyers, niespodziany współzawodnik potwarczego Tallemant'a, wybrany przez naszą królowę sekretarz, autor nie mniej osobliwy niewydanego dotąd, dzięki Bogu, pamiętnika, przedstawił nam jako wyjątknie oddanego łowom i kobietom, ten żołnierz o ciele steranem już niestety, ale o krzepkiej jeszcze duszy, spędza dni całe, jeżeli wierzyć się nam godzi Ludwice-Maryi samej, „na rozmowie z półkownikami i na oglądaniu machin wojennych.“ Jedna z tych machin, „która okazuje się być wozem przemieniającym się dowolnie na czółno,“ dostępuje

¹⁾ Królowa do kard. Mazarini'ego; Warszawa, 26 czerwca, 1646. Arch. Spraw Zagr.

²⁾ Des Noyers do p. de Brégy; 31 lipca, 1647. Arch. bar. d'Hunolstein.

nawet zaszczytu szczegółowego opisu w korespondencji królewskiej z Mazarinim ¹⁾). Wiadomym jest cel tych przygotowań. Wiadomo także, iż wojownicze zamysły polskiego monarchy odegrały nieobojętą rolę nie tylko w nakłonieniu się jego do poszukiwania nowego węzła małżeńskiego, ale i w okazanej pożądlivosti przy ustanawianiu pieniężnych warunków zawartego związku. Pożądlivym bowiem na zysk w zwyczajnym trybie życia nie jest zaiste ten monarcha, który, rozdając rokrocznie do 1,200,000 złp. dochodu w wakansach wszelkiego rodzaju, znajduje się często sam w zupełnym niedostatku ²⁾). Ale wojna nie prowadzi się bez pieniędzy; a on chce wojny namiętnie, za jaką bądź cenę. Widzi bowiem w niej środek ratunku, jedyny środek, w obec niebezpieczeństwa, którego grozę sam jeden zdaje się przeczuwać. Czy nie widzi wreszcie w niej jeszcze czego innego, możliwego utwierdzenia w swych rękach wymykającej się z nich władzy królewskiej, możliwego zabezpieczenia dynastycznej puścizny, tak chwiejnej na jasnowosój głowie sześciolatniego dziecięcia? Być może. Armia liczna, silnie zorganizowana, potężnie ujęta w kadry, spojone z żelaznych rozbitków wojen niemieckich, oto marzenie jego i przedmiot niezmodowanych wysiłków. Aby ją mieć, wyczerpał Władysław wszystkie z kolei zasoby swoje i nie osiągnął jeszcze celu. Szczęściem sumy posagowe pojawiły się na czas w skrzyniach bankierów gdańskich. Ale cóż to? Czyżby spotkać go miała odmowa spodziewanej pożyczki? Nie inaczej. Królowa Jejmość życzy sobie pozostać przy swoich pieniądzech. Jutro nie pewne: król jest zbyt niebezpiecznie chorym. Zapewne R-pa spłaci prędzej czy później dług królewski; ale później raczej jak prędzej; a tymczasem królewski spadek przejdzie w ręce więcej ofiarującego ³⁾). I oto zatarg otwarty.

Król bierze górę w tej chwili, — oddając w zastaw swoje klejnoty. Dostaje mu się tym sposobem 250000 ryksdalerów z 300000, które znajdują się rozporządzalnemi ⁴⁾). Ale to pierwsze spotkanie dopiero w rozpoczętej od tej chwili wojnie, i odwet niedaleko. Wystarczy dla osiągnięcia go, przeniesienie placu boju na inne pole. W obrębie domowym małżonek królewski jest panem; po za tym obrębem, w szrankach publicznego życia, inaczej się ma z królem. Mężowi wolno nie rachować się z żoną; królowi wypada rachować się ze stronnictwami politycznemi. Nie długiego czasu potrzeba subtelnemu, włoskiemu zmysłowi Maryi Mantuańskiej dla rozpoznania się w tém wszystkim; ani dłuższego czasu jej przyrodzonej rezolucji dla obrania właściwej drogi. Królowa mieć będzie swoje stronnictwo i z jego pomocą stawi czo-

1) Królowa do kard. Mazarini'ego; 7 paździer., 1646. Arch. Spraw Zagr.

2) Ta sama do tego samego; 10 grudnia, 1646. Tamże.

3) Ta sama do tego samego; 26 czerwca, 1646. Tamże. De Brégy do tego samego; 24 lipca, 1646. Tamże.

4) Depesza pana de Brégy z d. 24 lipca. Królowa do kard. Mazarini'ego; 7 paździer., 1646. Tamże.

ło grożącemu jój niebezpieczeństwu. Zniewolono ją do pozbycia się posagowych pieniędzy; postara się ona o ich odzyskanie. Skoro wojna jest przyczyną tej przymusowej pożyczki, wystąpi jako stronniczka pokoju — i zwycięży!

W jaki sposób? Za pomocą jakich środków? Odpowiedź łatwa: za pomocą opozycji, i przeprowadzonego niebawem ugrupowania naokoło swój osoby rozporządzalnych opozycyjnych żywiołów. To ugrupowanie dokonywa się samo przez się. Każde stronnictwo potrzebuje sztandaru; kiedy mu go brakuje, bierze ono pierwszy lepszy jaki się trafi; kiedy go ma, trafia mu się zaś inny, dogodniejszy, skłania się chętnie do zmiany. Osoba królowej stanowi wyborny sztandar, kiedy zaś królowa ta jest prócz tego żoną króla, którego dni zdają się policzone, tedy staje się ona sztandarem pełnym ponęt jak najśmielszych.

„Z okazji choroby Króla Imci, kanclerz Ossoliński zgłosił się do mnie z tysiącem propozycji i tak samo część znakomitszych panów, z którymi jestem w bardzo dobrych stosunkach. W. Eminencya zmiarkuje dokąd to zmierza. Nie śmiem powiedzieć więcej....

Kardynał zmiarkować musiał w samej rzeczy co się święci i mieć się za uprzedzonego. List, z którego wyjmuję ten ustęp nosi datę 17 kwietnia 1646 r., spółczesny z rzekomym królewskim zamachem stanu, nałożonym tyłoma czarnemi farbami przez zbyt przemyślnych dziejopisów. Czytam w tym liście jeszcze te słowa:

„Są dnie, w których Król Jegomość zdaje się dziwnie zadowolonym ze mnie. Jestem zawsze tą samą, co mi wątpić nie pozwala, że jego serce oświadcza się za mną. Wiem, iż wyraża się o mnie bardzo przychylnie; w mojej zaś obecności okazuje mi wielkie uszanowanie i jakby cokolwiek obawy przedemną... Jednym słowem, mniemam, iż ja jedna przydałam się do roli, która mi przypadła. Nie nudzę się też tą rolą niezawodnie! Położenie jest wysmienitem¹⁾”.

Jak na osobę zniechęconą, którą bierze co chwila pokusa dania za wygraną, oświadczenie to dosyć niespodziane. Nie zaiste, nie myśli ona dawać za wygraną! Rozpoczyna owszem kampanią parlamentarną i agitacją polityczną, którą prowadzić odtąd będzie z energią, nie dającą się niczem znużyć, z determinacją, której żadne przeciwieństwo nie zwalczy, aż do ostatniego tchu, aż do chwili, w której na niespodzianie otwartym grobie kaznodzieja filozof i zapewne opozycjonista także na swoje rękę, ozwie się: *Et dissipatae sunt omnes cogitationes ejus!*²⁾.

Podzieliwszy się panowaniem z dwoma z kolei królami, knuje w głębi duszy swojej plan panowania na wspótkę z trzecim. Już teraz uważa Marya stanowisko swoje przy boku dogorywającego monarchy, jako „*un poste d'attente*,” tak, że insynuacje Ossolińskiego nie trafiają do nieczułego ucha. Pośród snujących się teraz w jój głowie zamysłów — czy zajmuje jeszcze Francya jakiegokolwiek poważne miejsce? Na pozór tak; gdyż nawet dotkliwy brak życzliwej wyrozumiałości ze strony

1) Królowa do kard. Mazarini'ego. Arch. Spraw Zagr.

2) Wydźga u Plebańskiego: Jan Kazimierz i Marya-Ludwika Gonzaga.

kardynała nie przerywa na długo rozpoczętej z nim korespondencji i nie guszy zapewnień uległości i niezmiennego przywiązania. Królowa bierze rezolutnie na siebie rolę dyplomatycznej koleżanki pana de Brégy oraz stroi się w pozory najpilniejszego troszczenia się o wyzyskiwanie przekazanego jej stanowiska na rzecz francuzkich wyłącznie interesów. Posuwa się aż do pochlebiania gabinetowi w St. Germain prawdopodobieństwem aktualnego zerwania z cesarzem i korzystniejszego jeszcze dla interesów francuzkich, jedynie przez nią uwzględnianych, najpożądanszego kierunku, nadanego, za jej sprawą, przygotowaniom wojennym Władysława. Niema „lepszej francuzki“ nad nią, chociaż wypada, aby ludzie tutejsi rozumieli o niej, że jest polką,“ dla tego doprasza się z całą świadomością obłudy o jak największy sekret dla udzielanych przez siebie informacji 1).

A jednak kardynał nie zdaje się być przekonany tą hojnością jak najprzyjaźniejszych, demonstracyi. I nie mogło być inaczej, gdy depesze samego pana de Brégy zadają coraz to kategoryczniej fałsz wszystkim tym demonstracyom, a fakta dostarczają, niestety, wymownego usprawiedliwienia tych doniesień.

Na początek, osobiste interesa Jego Eminencyi doświadczają dotkliwej obrazy tam właśnie, gdzie zdawać się mogły najlepiej zabezpieczonemi. Arcybiskup z Aix, kandydat do kardynalskiej promocyi, spotyka się nagle z niespodzianym współzawodnikiem. Jest nim ksiądz Magni, kapucyn, szwagier owiej ochmistrzyni, którą nasza królowa wzięła przed się nienawidzić, mimo przeciwne uczucia dyktującego jej głosu serca. Ale właśnie stało się, że głos serca zwyciężył. Zamiast nienawiści przyszła przyjaźń, do której podziału i księdza Magni przypuszczono.

„Kiedy pomyślę, woła kardynał, że królowa polska ma przecież niejakie obowiązki wdzięczności względem Francyi i że ja sam nie byłem dla niej nieużytecznym; kiedy wspomnę, że w dzień swoich zaślubin, wstawszy od królewskiego stołu, raczyła podejść ku mnie i oświadczyć przed wszystkimi, że przychodzi pokazać koronę, którą pomogłem jej włożyć na głowę!...“ 2).

Mazarini domyśla się jeszcze chwilowego tylko uniesienia. Omyłka to z jego strony. Nie ulegającą uniesieniu kobietę ma on przed sobą; ale osobistą politykę kobietą, występującą śmiało rezolutnie na dostarczoną jej scenę. Jest to jeszcze polityka o ciasnym na teraz widnokregu, ograniczana do trywialnych zaprzątnień i mizernych kombinacyi, ale wielce już niezależna i pewna siebie. Mając swoje „stronnictwo,“ ma także królowa swoje kreatury. Magni'owie należą do nich i dla tego zyskują pierwszeństwo. Niewczesnie nastreżony powód zażalenia, zajęcie przez urzędników księcia Mantuańskiego sprawowanego dotąd przez Ludwikę-Maryą gubernatorstwa Niwerneńskiego, przyczynia się do pomieszenia

1) Królowa do kard. Mazarini'ego; 7 paździer., 1646. Aroh. Spraw Zagr.

2) Kardynał Mazarini do p. de Brégy; 29 czerwca, 1646. Tamże.

kart Mazariniemu. Napróżno stara się kardynał wyperswadować pupilce swojej, coraz to mniej dla perswazyi przystępnej, nieodpowiedniość gubernatorskiego urzędu obok wysokości dzisiejszego jęj stanowiska ¹⁾. Królowa nie przestaje atoli upominać się, skarżyć, w czém przybiera ton coraz to uszczyplwszy. Nie dość nawet jęj na skargach, jeśli mamy wierzyć p. de Bręgy. Przychodzi do tego, że margrabia oskarża ją wręcz o sprzeciwianie się jego werbunkowym przedsięwzięciom. Nie o kardynała tu już ani o jego familią, ale o Francją samą idzie. Król okazuje się zawsze pełnym dobrej woli. Nosi się z myślą odjęcia kardynałowi Mattei, „deklarowanemu austryakowi,“ piastowanej dotąd przezeń godności protektora Korony polskiej, przeznaczając godność tę kardynałowi bratu swemu. Wyraża się z lekceważeniem o orderze Złotego runa, którego oznaki nosi dotąd na sobie, oświadczając gotowość „pozbycia się swego zwierzęcia, quando spiritus sanctus (francuzki order Ś-go Ducha) supervenerit me“ ²⁾. Królowa, tylko jedna psuje szyki. Jeśli zaś próbuje p. de Bręgy potraćić o pamięć na Francją, tedy wywołuje burzę. Niewczesny wyraz: „zależność“ wypadł mu pewnego razu niebacznie z ust. Jęj Kr. Mość podnosi go dumnie:

„Jeżeli jako poseł wyrażasz się Waszmość w ten sposób, tedy odpowiem, jako królowa polska, że nie słyshałam nigdy o koronie, którą noszę, aby miała zależną się uważać od któręjkolwiek innęj korony“ ³⁾. Sam kardynał zmuszonym się widzi do rozjemczęj interwencyi z kropidłem w ręku: Oczywiście gorliwość pana de Bręgy uniosła go za daleko. „Nie trzeba wielkiego na to rozsądku, aby uznać, że korony nie są zależnemi jedna od drugięj i że wszystko to, czego Francya żądać może od W. Kr. Mości, kończy się na tém, aby W. Kr. Mość nie przestawa żywić przyjaznych dla nięj uczuć i raczyła pamiętać, że paňuje ona tutaj nad większą liczbą serc wszechwładnięj jeszcze, niż może to czynić w tamejszych krajach“ ⁴⁾.

Zniewolonym się ostatecznie widzi margrabia de Bręgy do podjęcia na swoję rękę opozycyjnej roli i postawienia się na czele tęj kabały osobistęj, nie troszczącej się bynajmniej o żadne za s a d y polityczne. „Jestem tutaj jakoby przywódczą tych, którzy mniemają, iż służą użytecznięj tęj królowęj, nie pochlebiając jęj, którzy nie lękają się przedstawiać jęj bezustannie, że zabawianie się bagatelkami nie jest środkiem panowania i że niesprawiedliwość, niewdzięczność, lekkomyślność i brak dyskrecyi są przymiotami, które niweczą równie piękność jak i uciechę królewskiego dostojęństwa i narażają na pogardę tych, którzy je piastują... Jednëm słowem, z ambasadora stałem się naczelnikiem ligi...“

Są to bez wątpienia uwagi bardzo trafne! Niewątpliwie królowa, o któręj mowa, „lepięjby służyła swojemu interesowi, zajmując się

1) Kard. Mazarini do królowęj; 6 lipca, 1646. Aroh. Spraw Zagr.

2) De Bręgy do kardynała; Warszawa, 25 września, 1646. Tamże.

3) Królowa do tegoż; Lwów, 16 sierpnia, 1646. Tamże.

4) Kard. Mazarini do królowęj; 19 paźdz., 1646. Tamże.

5) De Bręgy do kardynała; 14 lipca, 1646. Tamże.

sprawami pożytecznymi, zdobywając sobie nadto przez stateczność, przeczorność i wytrwałość właściwą powagę, niż spędzając dni całe na wywiadywaniu się, gdzie król był, co robił, i czy ją kocha. Są to zabawki, które przystoją wiejskiej szlachciance, nie zaś potężnej królowej“¹⁾.

P. de Brégy ma tysiąc razy słusność; ale powierzone mu interesa nie znajdują przeto lepszego przyjęcia u Jéj Kr. Mości. Przeciwnie! W sierpniu tegoż roku, 1646, nieporozumienie wzrasta i przychodzi do aktualnego zerwania. Zdarza się bowiem, iż widoki osobiste Królowej Imci, wszedłszy chwilowo w starcie z programem politycznym Króla Imci, występują z kolei przeciw kierunkowi politycznemu, obranemu przez magrabiego samego zgodnie z otrzymanymi instrukcjami. Otrzymał bowiem rozkaz popychania do wojny i popycha do niej z całych sił. Okazuje może nawet w tym względzie przesadzoną gorliwość, skoro w kilka miesięcy później nie umie zrozumieć, na jakiej zasadzie Roncalli, znany nam agent, dopomina się u Mazarini'ego o 200,000 ryksdalerów i o żołąd dla 4000 ludzi, jak gdyby de Brégy był się zgłosił z podobną ofertą. Margrabia nie wątpi ani na chwilę, że okazał się wstrzemięźliwszym²⁾. Roncalli ze swéj strony upiera się przy wręcz przeciwnéj pewności. Jakkolwiek bądź, jest francuzki poseł stanowczo wojowniczym. Owóż królowa jest równie stanowczą w pokojowém swém usposobieniu. Wiemy dla czego. Kwestya pokoju lub wojny rozstrzygnąć się ma na sejmie zebnanym w pierwszych dniach października. Większość okazuje się jawnie nieprzyjazną dla zamysłów Władysława. Nie rozumie bowiem wcale jego dywersyjnej polityki i nie dowierza jéj potrosze. Te uzbrojenia nadzwyczajne, te obce zaciągi, te znoszenia się z kozacyzną, nie obiecują jéj nic dobrego. Byle sejm doszedł, uchwała narzucająca rozpuszczenie natychmiastowe zgromadzonych bez sejmowego przyzwolenia sił wojennych zdaje się być nieuniknioną. Pozostaje jedyny środek: zerwanie sejmowych obrad. I tego ostatecznego środka czepiają się niezawodnie w téj chwili nadzieje Władysławowe.

Od czego i od kogo zawisło takie rozwiązanie sytuacji? Na pozór każdy z dwustu i kilku postów, zasiadających w izbie jest panem położenia w téj materji. Ale pozór to, z którego hańbiącym dla naszéj konstytucyjnej przeszłości złudzeniem, rozprawiła się już nowoczesna nasza historyografia. W rzeczywistości, nie dostarcza praktyka sejmowa R-ój ani jednego przykładu sejmu zerwanego za przyczyną samowoli pojedynczego posła, bez jawnego lub ukrytego współnictwa większości lub przynajmniej mniejszości dość silnéj jeśli nie liczbą, to przewagą³⁾. W braku takiego współnictwa pojedyncze veto, jakkolwiek prawo-

1) De Brégy do kardynała; 20 czerwca, 1646. Arch. Spraw Zagr.

2) Ten sam do tego samgo; Warszawa, 20 lutego, 1647. Tamże.

3) Ob. Plebańskiego rozprawę p. t. De nunciatorum Poloniae terrestrium „Libero Veto“ przy tegoż dySSERTACJI doktorskiej p. t. „De successoris designandi consilio vivo Joanne Casimiro Polonorum rege. Berlin, 1855,

mocne z tradycji, pozostaje bezskuteczném w praktyce. Tak łatwo przychodzi zakwestyonować samą prawomocność poselskiej funkcji, w osobie tego, który nadużywa jój przeciwko powszechnemu głosowi! „Inwalidacya“ dzisiejsza jest procederem zbadanym i doświadczonym gruntownie w parlamentarnych obyczajach R-ój. Czasem zastępuje ją nawet proceder krótszy: bezceremonialne wyrzucenie za drzwi. W roku 1703 nie jeden peseł, ale wszyscy wielkopolscy postowie doświadczają gremialnie tego losu.

Czy w r. 1646 znajdzie Władysław większość, albo przynajmniej mniejszość, wystarczającą dla zapewnienia zwycięstwa jego pozasejmowym prerogatywom i udzielenia należytej powagi „wolnemu głosowi“ przysposobionego ad hoc oponenta, o którego nigdy nie trudno? Mógłby się tego spodziewać, mógłby na to liczyć, gdyby miał do czynienia tylko z jedną szlachtą swoją, gdyby zbuntowane przeciw jego władzy i polityce stronnictwo nie znajdowało poza sobą, a tuż przy Królu samym, potężnego oparcia i doskonałego punktu zbornego. Ale posiadało ono właśnie to oparcie, ten punkt zborny: królowa chce pokoju! Pokoju i utrzymania sejmu; od tego bowiem ostatniego warunku zawisł najbliższy w tej chwili jój rachuby interes materyalny. Mało ją obchodzi zaprawdę Kozacy i Tatarzy, kwestya polityczna i kwestya socyalna, niebezpieczeństwo zewnętrzne i niebezpieczeństwo wewnętrzne, utwierdzenie władzy królewskiej i przyszłość dynastji, wszystkie wielkie myśli i wszystkie wielkie udręczenia, miotające duszą jój bohaterskiego małżonka! Nie są to sprawy Maryi Mantuańskiej ¹⁾. Najważniejszą sprawę, z której odkryciem w nowym swoim zawodzie, pośpieszyć się raczyła, znamy już: są to promocyje. Spotkały ją przecież zawody i z tej strony. Aby interes ten się mógł opłacić, tak jak się królowa spodziewała, niezbędném było wspólnictwo króla. Owoż król pozostał głuchym w tym przedmiocie. Już w końcu marca przyszło jój oszacować na 50,000 talarów stratę poniesioną na wakansach starostw, z przyczyn niedostatecznej swojej poufałości z Jego Królewską Mością. Chodzi jój teraz o powetowanie tej straty. Na porządku dziennym rozpoczętego od wczoraj sejmu, znajduje się ustanowienie jój oprawy. W razie zerwania sejmu, oprawa przepadła, przynajmniej do sejmu przyszłego. Trzeba tedy, aby sejm doszedł. Trzeba także, aby okazał się hojnym; w tym zaś celu, dość jest porozumieć się z przywódcami większości i dobić z nimi targu. Albo nie z sejmu, albo dostatnie zaopatrzenie oprawy. Jeden z młodszych po-

str. 165—246. Oraz Kubali: „Pierwsze liberum veto.“ W drugiej Seryi Szkiców. Lwów 1880. (Nadmieniamy, że p. K. nie wypowiedział stanowczo wniosków, jakie w zgromadzonym przez niego materyale źródłowym historyk znajduje. Red.).

¹⁾ Historycy politykujący podsuwają jój mimo to, od dosyć dawna takie intencje dla przeprowadzenia doktryn, które stronnictwa polityczne dzisiaj na swoim sztandarze wypisują. Red.

słów, pełen przyszłości—strasznej przyszłości—młodzieniec, Radziejowski, podejmuje się układów. Biorą one całkiem pomysłny skutek. Poczta tygodniowa przyniosła Mazarini'emu pod datą 10 grudnia następujący buletyn zwycięstwa:

„Sejm skończony... Zamąsty wojenne Króla Imci były powodem wielkiego niepokoju dla tój R-tój. Gdyby się nie był dał skłonić do wielu ustępstw, nigdyby moje interesa się były nie doczekały należytego załatwienia. Rozmówiłam się z przywódcami rozmaitych kabał dopiero w samo rano dnia ostatniego, i z łatwością uzyskałam od nich słowo, a w dwie godziny otrzymałam wszystkie głosy bez kontradykcyi. Obliczają to, co mi zostało przeznaczonóm, na 400,000 liw-rów dochodu. Przenosi to oprawę królowej nieboszczki. Na teraz wchodzę w posiadanie jedynie 80,000 liw-rów; z resztą czekać muszę śmierci aktualnych posiadaczy. Naturalnie wybrano najwięcej wiekowych. Trudno wyobrazić sobie, co to za piękna rzecz kazualne (spodziewane, przypuszczalne) dochody tego królestwa!“¹⁾

V.

Stronnictwo pokojowe zwyciężyło z królową w zmwowie! Zaciągi idą w rozsypkę. Król nie zaniechał przecież całkowicie swych projektów. Człowiek to twardego postanowienia i wytrwałej woli. Podejmuje teraz zamysł pociągnięcia za sobą swojego ludu za pomocą zręcznie wyzyskanego pozoru wojny odpornej. Rzuca plan całego wyimaginowanego ad hoc zamachu scenicznego, którego szerokie ramy obejmują oba brzegi Dunaju i Dniestru. W połowie już listopada, w trafnym przewidzeniu prawdopodobnego obrotu rzeczy na sejmie, wyprawił Władysław IV Radziwiłła, dla zajęcia stanowiska między Dunajem a Dniestrem. Ztamtąd łatwo przyjdzie przetrzucić go na drugi brzeg Dunaju, tłómacząc szlachcie, iż nawet w interesie wojny odpornej, obozowanie na cudzém terytorjum korzystniejszém jest od obozowania na swoim własnym. „Tym sposobem — dodaje wyłuszczający treść tego planu przed kardynałem poseł francuzki—ujrzą się Polacy bezwiednie przyprowadzonymi do wojny zaczepnej. Zresztą król zrobi co zechce, skoro będzie miał siłę w ręku. Owoż postanowił, niby to na rzecz wojny odpornej, wystawić 25,000 wojska, z których 10,000 piechoty, podzielonej na tyle pułków ile jest województw. Każdy pułk nosić będzie imię przeznaczonego mu czasowo na konsystencyą województwa. Z pomocą zasitku pieniężnego, spodziewanego od państw ościennych, obiecuje sobie nadto król zaciągnąć drugie 25,000 zagranicznego żołnierza, a w tój liczbie 15,000 pieszego. Nowa ta siła pozwoli mu utrzymać swoją powagę. Korpus polski będzie miał wyznaczony sobie punkt zborny na 15 marca r. przyszłego za Dunajem, pod Nowopolem, gdzie i król się znajdzie, jeżeli zaciąg zagraniczny okaże się gotowym. Prócz papieża i Wenecyi, Szwecya zgłosiła się jakoby z obietnicą

¹⁾ Królowa do kardynała. Arch. Spraw Zagr.

wsparcia. Książę Siedmiogrodzki obiecał pilnować przejść od strony Węgier i Siedmiogrodu..."¹⁾

P. de Brégy sprzyja tym zamysłom, gdy królowa jest im dla swoich widoków prywatnych przeciwna. Nieporozumienie przeciąga się tym sposobem i jątrzy. Dla położenia mu końca z tój przynajmniej strony, trzeba niespodziewanego a fatalnego wypadku. Dnia 9 sierpnia, 1647, dzwon Ś-go Jana, wysyłający niedawno radosne dźwięki nowój królowej i nowój małżonce królewskiej, uderza znowu—żałobném tym razem sercem. I od stoku Karpat do stepów ukraińskich jęk bolesny odpowiada mu echem. Sześćioletnie to dziecię tylko rozstało się przedwcześnie ze światem; ale na głowie tego dziecięcia spoczęła cała przyszłość wielkiego szczepu królewskiego „Wazów“ i ostatnia latorośl nadziei wielkiego narodu podcięta upadła!

Od tój chwili król Władysław jest już tylko ciałem bez duszy. Sprężyna, która utrzymywała dotąd krzepki ten umysł, zerwała się razem z wątkiem wiotkiego życia dziecka, które dopiero co znikło. I dla kogoż miałby teraz król rzucać spokój policzonych dni swoich na hazard bitew i walk politycznych? Dla tego brata, który właśnie oto powrócił z Rzymu, zawiesiwszy gdzieś w podróży na gałęzi przydrożnego drzewa swój kapelusz kardynalski? Dla tego „szaleńca, który był Jezuitą,“ jak go nazywa nieprzystojnie Tallemant des Réaux? Dla tego księcia fantastycznego, niesforenego i niespokojnego, który zdaje się czyhać już na królewski spadek tak niezasłużenie do niego się zwracający, dla Księcia z którym Ludwika-Marya układa już może przyszłe zaślubiny?

Dziwnie kapryśną okazała się fortuna względem tego dziwnego człowieka nawet w sądach, których doczekał się od potomności. Obok wyroków najsurowszych a odpowiadających, przyznać to trzeba, jednomyślnemu głosowi opinii społecznej, jawią się najrezolutniejsze apologetyczne wnioski. Obok Plebańskiego wybitnej charakterystyki tego Króla²⁾, wystąpił Szajnocha, Walewski! Niestety, zdaje się, że bądź co bądź, słuszność nie przypadnie tym razem apologii. Na tyłu świadectwach oparty szkic Ludwika Kubali zgodny w ogólnych rysach z poglądem Plebańskiego pozostanie zapewne ostatecznym wizerunkiem królewicza; trudno zaś przypuścić, aby portret samego króla w głównych rysach, różnić się mógł od tego typu! Na teraz zresztą z królewiczem dopiero mamy sprawę.

Jan Kazimierz pojawił się nazajutrz po zamknięciu owego sejmku, tak pomyślnie zakończonogo dla interesów królowej, a tak niefortunnie dla interesów króla, przybrany „po kawalersku,“ ze szpadą przy boku i nie myślący już o powrocie do Rzymu. Czemu? Odmówiono mu tytułu „altezcy królewskiej,“ z którym byłby się sam jeden nosił w ko-

¹⁾ J. K. Plebański: Jan Kazimierz Waza i Marya-Ludwika—Gonzaga. Dwa obrazy historyczno, Warszawa, 1862.

²⁾ De Brégy do kardynała; Warszawa, 14 listopada. Tamże.

legium kardynalskiem. Zresztą „czuje on mało pociągu do życia we wstrzemięźliwości, która przystoi kardynalskiemu stanowi. Nakoniec klimat rzymski niestosownym się okazuje dla jego zdrowia.“ - W poufniejszej rozmowie z panem de Brégy dodaje: „iż Król Jegomość, brat jego, nie obiecuje długiego życia, młody królewicz jest za młodym, a przeto przysługiwać mu się zdaje prawo i nadzieja uzyskania korony w miejscu kapelusza“¹⁾. Namyśla się jednak i oświadcza się z gotowością powrócenia do kapelusza i do Rzymu, gdzie obiecuje mieć w dobrej pieczy interesa francuzkie; ale pod warunkiem, aby mu zapewniono ze strony Ich Arcy-Chrześcijańskich Mości, „50,000 talarów rocznej pensyi, 50,000 na drogę, 50,000 na wyekwipowanie się i 50,000 dożywniej renty po ostatecznym zaniechaniu kapelusza, wszystko razem zagwarantowane na funduszu, któryby pozostawał do jego rozporządzenia, ubezpieczone podpisem króla i królowej i usankcjonowane przyzwoleniem parlamentu.“ Żądania te wydają się po bliższym zastanowieniu jemu samemu przesadzonemi; dla tego usprawiedliwia je w ten sposób: „jeżeli Francya zmusi go chce do tego, aby pozostał kardynałem, słuszna, aby zapłaciła koszta tej fantazyi.“ P. de Brégy rusza ramionami. Trudno mu w samą rzecz zdobyć się na inną odpowiedź. W rzeczywistości lekkomyślny książę nie bierze sam na seryo słów swoich. Ma on w tej chwili co innego w głowie. Jego sekretarz, Bartet, pojechał właśnie do Paryża. Prosić o pieniądze na powrót do Rzymu? Nie; prosić o żonę. Książę mieni się zakochanym na zabój w „Mademoiselle,“ którą zobaczył przed kilkoma laty, nazajutrz po wydobyciu się z więzienia w Vincennes. Przekonawszy się, że nie ma dla niego żadnej nadziei z tej strony, przenosi swoją zapaloną miłość na pannę de Carignan, następnie zaś na pannę d'Epéron, podczas gdy książę Magni wyrozumiewa, na jego żądanie, zeswój strony intencje cesarza względem której z arcy-księżniczek. Mimochodem księżniczka Duńska, protestanckiego wyznania i 50 letnia arcy-księżna Insprucka figurują na porządku dziennym tych zaprzętniej matrymonialnych. Ostatecznie bierze górę projekt aliansu francuzkiego i osoba panny d'Epéron. Listem z dnia 8 maja, 1648 udziela ex-kardynał Mazarini'emu urzędowe pełnomocnictwo do traktowania o ten związek z księciem d'Epéron, ojcem księżniczki²⁾.

Nastęrcza się tutaj pytanie; czy Ludwika-Marya znajduje się wmięszaną do tych błędnych zabiegów dzisiejszego szwagra, jutrzejszego małżonka? Nie widać tego. Może zaporę w tym względzie stworzył utrzymujący się brak poufałości między nią a dzisiejszym jej mężem. Zapewne także brak porozumienia między nią a panem de Brégy. Król nie zaniechał swojej postawy przyjacielsko-ceremonialnej. Czy dostarcza swęj małżonce powodu do oskarżania go o wykroczenia przeciwko wierze małżeńskięj? Czy przynajmniej uznaje ona za rzecz stosowną występować ze skargami tego rodzaju? Czy przychodzi jej myśl uciekania się

1) De Brégy do kardynała; 1 stycznia, 1647. Arch. Spraw Zagr.

2) Jan-Kazimierz do kard. Mazarini'ego. Arch. Spraw Zagr.

do interwencji swego spowiednika, księdza Fleury, dla obronienia małżeńskiego łoża raz przeciw rozkosznej jakowéjs ormiance, drugi raz przeciwko przebranéj za pазia zalotnicy, umiejącej pięknie grać na lutni i śpiewać? Wacham się udzielić wiary w tym względzie, jak i w każdym innym, podejrzanemu widocznie świadectwu pana des Noyers. Dowierzam daleko chętniej niedwuznacznym i licznym dowodom praktycznego umysłu, złożonym już w téj epoce swojego zawodu przez naszą królową. Wyobrażam ją sobie daleko pilniej zajętą przygotowaniem przyszłości i zabezpieczeniem na coraz to bliższe, według wszelkiego prawdopodobieństwa, jutro swojego wdowiego stanowiska. Co się tyczy jéj stosunków z francuzkim postem, te pozostają długo wręcz nieprzyjawnymi i stają się takimi coraz bardziej. Sam kardynał daje się ostatecznie wpłatać w sytuacją, która przybiera bez mała charakter otwartej wojny. „Piękne słowa,“ któremi Jéj Kr. Mość nie zaniedbuje jeszcze od czasu do czasu zajmować poczt tygodniowych, pod adresem Jego Eminencyi, nie mogą się ostać w obec przekonującej wymowy faktów. Arcybiskup z Aix uzyskał wprawdzie pożądaną dlań kapeluszą, ale „aż do gałganiarzy rzymskich nie ma nikogo, ktoby nie wiedział, że promocya Korony polskiej nie odegrała w tym wypadku najmniejszej roli“¹⁾. Promocya ta pozostaje rozporządzalną i kardynałowi Mazarini'emu pozostaje także jeden kuzynek więcéj do opatrzenia w przyzwoity sposób. W dodatku, ustąpienie królewicza Kazimierza otwiera nowy wakans. Byłoby to rzeczą niepojętą, aby prałat Mancini nie miał skorzystać z téj podwójnej okazji. Aliści zdumiewające wiadomości nadchodzą z Rzymu. Roncalli, który tam rezyduje obecnie, otrzymał rozkaz zapewnienia następstwa po królewiczu kapucynowi Magni'emu i udzielenia jednocześnie promocyi polskiej nuncyuszowi Torres'owi. Tego już zanadto dla Mazarini'ego. „Nie byłby on nigdy przypuścić, iżby mu wypaść miała potrzeba pisania do Królowéj Polskiej w przedmiocie, którego dotknąć mu wypada. Nie sądził, aby Jéj Kr. Mość zdolną była używać swéj powagi przeciwko interesowi przyjaciela, na rzecz osób jawnie spowinowaconych z interesami domu austryackiego“²⁾.

Stara się jeszcze rozczarowany kardynał o naprawienie rzeczy. „Jeżeliby p. de Brégy przenikał, iż pieniądze to jakowe argumenta skłoniły królowę do sprzyjania kapucynowi, niechaj nie waha się ofiarować jéj od siebie więkšej sumy“³⁾. Hrabia d'Arpajon otrzymuje jednocześnie polecenie pospieszenia na pomoc koledze, popadłemu w położenie krytyczne. Przywrócenie dobrej harmonii między niefortunnym tym poprzednikiem a Jéj Kr. Mością będzie główném jego zadaniem. Napróżno! Zanim nowy poseł zdążył wybrać się w drogę, zachodzi

1) Kard. Mazarini do p. do Brégy; 28 lutego, 1648. Arch. Spraw Zagran.

2) Ten sam do królowéj; 24 stycznia, 1648. Tamże.

3) Ten sam do p. de Brégy; z tejże daty. Tamże.

wypadek, zadający cios ostateczny zachwianej i tak już fortunie dyplomatycznej biednego markiza. P. des Noyers, w tej chwili dobrze poinformowany, oskarża hr-go de Brienne, francuzkiego sekretarza stanu do spraw zagranicznych, o zakomunikowanie jego pani, dla bezpośrednio znoszenia się z nią, klucza korespondencyjnego, używanego przez pana de Brégy. Domysł to godny jego wyobraźni. Jakkolwiek bądź, łatwo odgadnąć wrażenie, wywołane przez ułatwione królowej i królowi samemu wczytywanie się w nienadto przychylnie, jak tego spodziewać się można, zwierzzenia nieszczęśliwego dyplomaty. Wszystko, co dlań odtąd zrobić można, kończy się na przeznaczeniu mu innego stanowiska, oświadczając mu jednocześnie, dla osłodzenia ostatnich chwil niemiłego na dotychczasowym stanowisku pobytu, „że wszystko co może począć królowa polska, jest nadal obojętnem dla Francyi i powinno być takim dla samego pana de Brégy. Wypada tylko dziękować Bogu za to, że, jakkolwiek być może zła wola tej pani, nie jest ona w stanie przynieść interesom francuzkim wielkiej szkody. Jeżeli zaś w samej rzeczy posunęła swoje zapomnienie do tych ostateczności, o których wspomina ambasador, plama tego postępowania spadnie na jej reputacyą“¹⁾.

Tego nie każe sobie ambasador dwa razy powtarzać. Uznaje on zresztą, iż pieniędzmi nie można nic zrobić w tym razie i że jedynym skutkiem podjętej w tym kierunku próby byłoby narażenie się w niebezpieczny sposób Jój Królewskiej Mości. P. de Brégy uważa się przekonanym co do tego, że nie takiemu wpływowi uległa Ludwika-Marya, przechylając się na stronę księdza Magni, aczkolwiek, ogółem rzeczy biorąc, nie uważa jój za niedostępną dla takich wpływów. „Uległość tego kapucyna, chęć popisania się swoim kredytem i swoją niezależnością, albo jeszcze okazania żalu za zwłokę zachodzącą w uregulowaniu jój interesów we Francyi, oto względy, które kierowały jój postanowieniem“²⁾.

Wybiera się tedy margrabia do Konstantynopola. Zanim jednak zdążył przygotować się do drogi,—przewidziane oddawna, ale przyspieszone nagle rozwiązanie kładzie koniec naprężonej w ten sposób sytuacji. Podczas gdy królewicz Kazimierz, ulegając nowemu przystępowi niecierpliwości i fantazy zamęcza znowu pocztowe konie na trakcie wiodącym do Rzymu, wyprawiony pośpiesznie w pogoń za nim kurjer dogania go w Wiedniu i zawraca z drogi. Władysław skonał (20 maja, 1646). P. de Brégy zatacza do wozowni swoje podróżne ekwipaże: nowe pole otwiera się przed nim. Nowe przeznaczenie zaczyna się także dla królowej—wdowy.

1) Kard. Mazarini do p. de Brégy; 13 marca, 1648. Arch. Spraw Zagran.

2) De Brégy do kard. Mazarini'ego; 28 lutego, 1648. Tamże.
Tom IV. Październik 1885.

Z EKONOMIKI.

VII.

Gorzelnictwo w Królestwie Polskiem.—Komisya ekspertów. — Normy i superata.—Gorzelnictwo na Litwie i Rusi, i jego charakterystyka. — Superaty w prowincyach nadbaltyckich.—Przemysł gorzelniany w Niemczech.—Porównanie wytwórczości w prowincyach polskich Niemiec, Królestwie Polskiem i Cesarstwie.—Gorzelnictwo we Francyi, Włoszech i Stanach Zjednoczonych. — Różnica przemysłu gorzelnianego u nas i w Ameryce. — Chów bydła opasowego i nierogacizny.—Przemysłnictwo w Królestwie Polskiem, jego przyczyny i zyski. — Wpływ przemysłnictwa na demoralizacyą ludności i upadek przemysłu.—Środki zaradcze.—Straż karczemna i graniczna.—Nowa ustawa trunkowa.—Zniesienie szynku i karczmy. — Co powoduje łatwość upicia się? —Angielski i rosyjski system spożycia wódki.—Szynk i karczma, jako kluby ludowe.—Jadłodajnie.—Urzędy do spraw trunkowych. — Wystawa wynalazków w Londynie.—Tkactwo angielskie.—Przemysł bawelniany, koronkarski, wełniany i jedwabny w Anglii. — Potęga angielskiego przemysłu tkackiego. — Rólnictwo angielskie.—Chów inwentarza w Anglii i konsumpcya mięsa. — Bibliografia.

W szeregu ostatnich reform zarządu skarbowego nowe przepisy, dotyczące gorzelnictwa, zajmują ważne miejsce w ogóle dla Cesarstwa, a szczególniej są doniosłości dla Królestwa Polskiego. Ostatnie zmiany prawodawcze znaczny wpływ wywrą na nasze stosunki ekonomiczne, zwłaszcza w szerokim pasie granicznym od strony Austro-Węgier i Niemiec. Nowe te przepisy dzielą się na trzy działy i dotyczą: 1) przemysłu gorzelnianego, 2) przemysłnictwa i 3) handlu wódką i spirytusem.

Do 15 września 1866 r., Królestwo Polskie miało oddzielne przepisy i urządzenia konsumpcyjne, dopiero ze stopniową utratą autonomii następowała prawodawcza niwelacya nierówności, bez względu

Upadek rolnictwa, wzrost przemysłnictwa i pijaństwa, musiały narzucić na siebie uwagę sfer prawodawczych. Przed paru laty ministerstwo skarbu rozesała kwestyonaryusz w sprawie gorzelnictwa, zasięgając jednocześnie opinii organów sobie podwładnych. Z wyjątkiem prowincyi nadbaltyckich zewsząd odpowiedziano, że jest źle, że potrzeba reformy, lecz rady, na czém ona ma się zasadzać, były tak różnorodne, a skala tak obszerna, że prawodawca oprócz skonstatowania faktu, że źle jest, nie mógł wyciągnąć pozytywnych wniosków z nagromadzonego materiału. W ogóle przy rozpatrzeniu kwestyi gorzelnictwa, najradykałniejszym żywiołem okazali się urzędnicy akcyzy, zachowawcami ziemianie, a monopolistami z uszczerbkiem interesów kraju i skarbu—kupcy i przemysłowcy. Dla bliższego rozpatrzenia nagromadzonego materiału i jaśniejszego sformułowania potrzeb gorzelnictwa, zwołano komisya ekspertów (sowieszczanie swieduszczych ludziej) pod prezydencyą p. Jermołowa, dyrektora departamentu dochodów niestałych. W skład tej komisyi między innymi wchodzili od ziemian: Feliks hr. Czacki, August Ostrowski, Władysław Przyłubski; od towarzystw rolniczych: mińskiego — Wiktor Ciundziejewicki i mohylewskiego Stanisław Wojnicz Sianożęcki, oraz zarządzający dochodami akcyznymi gub. warszawskiej M. Szteingel, wileńskiej Kurył Stankiewicz, kurskiej Bronisław Kukiel i t. d.

Komisya ekspertów nie uznała korzyści z powrócenia do systemu małych gorzeln, owszem, wprost oświadczyła się za utrzymaniem minimum objętości kadzi zacierowych w sumie 540 wiader, nadmienając, że uprzywilejowanie małych gorzeln może szkodliwie wpłynąć na całą gałąź przemysłu i postawić ją w nienaturalnych warunkach. Trudno jest zresztą określić, która gorzelnia ma charakter gospodarczo-rolniczy, a która przemysłowo-handlowy i ścisłą między niemi oznaczyć granicę. Dowiódł tego kwestyonaryusz, opinie towarzystw rolniczych i urzędów akcyznych. Zgodzono się na ogólną cechę, że gorzelnia rolnicza nie może być towarzystwem akcyjnym lub udziałowym; ale powinna być kierowaną przez właściciela ziemi, na której się znajduje, z której czerpie główny materiał do pędzenia wódki i której też oddaje odpadki z fabrykacyi. Lecz taki wzgląd upoważniałby do mniemania, że dla prawidłowego rozkwitu rolnictwa potrzeba, aby każde dominium miało oddzielną gorzelnę. Niektórzy urzędnicy poszli jeszcze dalej, żądając szczególnych przywilejów dla właścicieli, aby i oni mogli pędzić wódkę, słowem, życząc pokryć całe państwo gęstą siecią gorzeln, ewentualnie i szynków, zapomniano, że przecież ziemia i ludzkość istnieją nie po to tylko, aby dopomagać do rozkwitu pijaństwa. Do takich to absurdów dochodzą rozprawy niespecjalistów w kwestyach specjalnych, mających ścisły związek z ogólnym stanem ekonomicznym kraju.

Nie jesteśmy zwolennikami maleńkich gorzeln, jeszcze przed trzydziestu laty tak gęsto rozrzuconych po całym Królestwie, bo chociaż one rzeczywiście wspierały rolnictwo i chów bydła, to z drugiej

strony nader szkodliwie oddziaływały na klasy pracujące, przyczyniając się do szerzenia pijaństwa. Lecz z drugiej strony przeciwni jesteśmy, aby gorzelnictwo przybrało cechę wyłącznie gałęzi wielkiego przemysłu. Naszemu zdaniem, stosunki rolnicze wymagają, aby w Królestwie Polskiem gorzelnie rozwijały się przeważnie w zakresie 1,500—4,000 wiader produkcji rocznej, i aby były równomiernie rozmieszczone na całej przestrzeni kraju. Pomimo upadku z każdym rokiem mniejszych gorzeln, ogólna przeciętna wskazuje, że gorzelnictwo w Królestwie Polskiem nie ma jeszcze cechy wielkiego przemysłu, podczas bowiem, gdy na jedną gorzelnę w kampanii 1883/4 r. przypada:

w Królestwie Polskiem	5,641	wiader	spirytusu	bezwodnego
na Litwie	4,199	„	„	„
na Rusi	12,450	„	„	„
to w Cesarstwie każda gorzelnia średnio wypędza	20,194	„	„	„

Statystyka urzędowa dzieli gorzelnie na małe, produkujące rocznie niżej 10,000 wiader bezwodnego spirytusu, średnie od 10,000—40,000 i wielkie, wyżej 40,000 wiader bezwod. spirytusu. Otóż zgodnie z tym podziałem było gorzeln w kampanii:

	1864/5 r.	1882/3 r.	1883/4 r.
małych	85,08%	63,9%	63,94%
średnich	13,60%	30,1%	28,54%
wielkich	1,32%	6,0%	7,52%
	<u>100,</u>	<u>100,</u>	<u>100,</u>

Z powyższego widzimy, że liczba małych gorzeln coraz więcej się zmniejsza, na korzyść wielkich, które w ostatnich czasach zaczęły pochłaniać i średnie.

Podstawą obecnego systemu opodatkowania spirytusu są normy, t. j. minimalne ilości spirytusu mającego się otrzymać z puda zboża, kartofli i t. p. materyałów. Początkowo istniały dwie normy dla zboża t. j. 34 i 32 stopnie, obecnie zaś obowiązują trzy normy wyższa, średnia i niższa, t. j. gorzelnia winna wypędzać z puda zboża 38, 37 lub 35 stopni spirytusu. Ponieważ stopień równa się $\frac{1}{100}$ wiadra, więc normy te odpowiadają 0,38 — 0,37 + 0,35 wiadra z puda zboża. Dla innych materyałów jak kartofle, melasa i t. p., obowiązują również odpowiednie normy. Przemysłowiec, przy rozpoczęciu kampanii, oświadcza podług jakiej normy zamierza pędzić okowitę i ta jest już dla niego obowiązującą tak, że w razie mniejszej produkcji, za brakującą ilość winien wnieść akcyzę. Jeżeli zaś okaże się superata, to skarb bonifikuje mu pewną ilość odpowiednią do normy, którą może sprzedać bez opłaty akcyzy. Można także pędzić okowitę bez normy, lecz w tym razie przemysłowiec traci prawo do superaty. Ustanowienie norm dla skarbu ma wielkie znaczenie,

w wysokim bowiem stopniu zapobiega nadużyciom, to jest utajeniu spirytusu przed akcyzą. Wpływa też znakomicie na udoskonalenie techniki, aby z danego zacieru jak najwięcej otrzymać alkoholu. Lecz mimo to wszystko normy mają i złe strony, gdyż szkodliwie oddziałują na gospodarstwo rolne. W zasadzie, gorzelnia powinna przerabiać materiały pośledniejsze, a lepsze winny być przedmiotem handlu, tymczasem normy zachęcają do pędzenia alkoholu z materiałów najlepszych, tak, że na sprzedaż, a co ważniejsza na zasiew pozostają często materiały gorsze. Aby temu zapobiedz, należało obniżyć skalę norm lub superaty, prawodawca obniżył tę ostatnią w następującym stosunku:

	niższej	średniej	wyższej
4 dziennéj przeróbki	2 ⁰ / ₀	2 ¹ / ₂ ⁰ / ₀	4 ⁰ / ₀
3 „ „	3 ⁰ / ₀	3 ¹ / ₂ ⁰ / ₀	{ 7% z pier. miliona stopni { 5% z pozostałej ilości

Jeżeli okowita pędzi się bez normy, wyłącznie podług aparatu kontrolującego, to na korzyść gorzelnii odlicza się tylko 2% dla pokrycia strat przy transporcie i z wyschnięcia. Zwyczajka, czyli superata bardzo ważną rolę odgrywa przy pędzeniu okowity, zwraca bowiem straty z niskich cen, remontu, oraz licznych ścieśnień akcyznych, a nawet nieraz była jedynym zyskiem na fabrykacji osiągniętym. Zmniejszenie ilości superaty na korzyść gorzelnika, nie pozostanie bez wpływu na całą gałąź przemysłu. Dla Królestwa Polskiego obniżenie superaty mniejsze ma znaczenie, bo jak powyższe liczby wskazują, przy normie wyższej dla pierwszego miliona stopni zachowano skalę 7%. Milion stopni odpowiada 10,000 wiadrom spirytusu bezwodnego, nasze zaś gorzelnie średnio wypędzają 5,641 wiader, z tej więc przyczyny z małym wyjątkiem, prawie wszystkie gorzelnie korzystać będą z 7% superaty. Jak ważną rolę odgrywa superata przekonywa ilość 2,232,235 wiader, odliczonych w kampanii 1883/4 r. na korzyść przemysłowców bez opłaty akcyzy, któraby wyniosła 17,857,880 rubli.

Niewątpliwie podwyższenie akcyzy i obniżka superaty będzie ważną pobudką do nadużyć ludzi złej woli, aby ukryć pomimo aparatu kontrolującego rzeczywistą ilość wypędzonej okowity. Skarb, zapobiegając temu, przedsięwziął rozmaite sposoby usunięcia nadużyć, już to przez ustanowienie obowiązujących godzin fabrykacji, już przez oznaczenie mocy minimalnej pędzonej okowity. Dotąd minimum tęgości nie istniało, i każda gorzelnia mogła pędzić okowitę dowolnej mocy, obecnie zaś ustanowiono, aby średnia tęgość wyprodukowanego spirytusu w ciągu dwóch tygodni nie była mniejszą od 70°, a pojedynczych partii minimum 45°. Nakoniec ostatnie rozporządzenia zwiększają znacznie nadzór urzędów akcyzy nad gorzelniami. Pomimo tych wszystkich ścieśnień i ograniczeń prawodawczych, gorzel-

nictwo w Królestwie Polskiem ma wszelkie warunki dla rozpoczęcia okresu pomyślnego rozwoju. Chyliło się ono coraz bardziej, bo konkurencya z przemysłnictwem stawała się niemożliwą raz dla braku zbytu, a powtórę z powodu niskich cen okowity. Znakomite zwiększenie straży granicznej i akcyzno-karczemnej niewątpliwie zmniejszy przemysłnictwo do małych rozmiarów, stawiając przez to gorzelnictwo w naturalniejsze warunki. Przyczyni się także do rozwoju tój gałęzi przemysłu w Królestwie bliskość granicy i portów morskich, a ztąd łatwość wywozu zagranicę. Dlatego też z radością witamy zawiązującą się spółkę dla rektyfikacyi i wywozu zagranicę spirytusu wysokiego gatunku. Nie mając zakładów rektyfikacyjnych, któreby spirytus oczyszczały i do możliwój tęgosci doprowadzały, Królestwo pozbywało się całego zysku z handlu międzynarodowego na korzyść Niemiec, a głównie Hamburga; nowa zatém spółka wielkie może oddać usługi gorzelnictwu, jeśli naturalnie właściciele gorzelni szeroki przyjmą udział w nowém stowarzyszeniu.

Mamy jeszcze i inną przewagę nad gorzelniami w głębi cesarstwa. Tam pędzi się okowita prawie wyłącznie ze zboża, gdy u nas z kartofli, to jest z produktu względnie tańszego, nie mogącego być przedmiotem handlu na rynkach oddalonych, a tak niezbędnego w systemie płodozmienym. Zwracamy też uwagę ziemian - gorzelników na tę okoliczność, że gdy w Królestwie Polskiem podczas kampanii 1881/2 r. gorzelnie dały superaty 10,61%, to w gubernii inflanckiej zwyżka wynosiła 18,63%, a estlandzkiej 26,58%. Obie te gubernie pędzą okowitę również przeważnie z kartofli, należałoby więc ziemianom zbadać, co wpływa na tak wielką różnicę, czy doskonalsza technika, czy gatunek kartofli, czy też jedno i drugie.

Przemysł gorzelniany w Królestwie Polskiem tak się przedstawia:

	w kampanii 1882/3 r.		w kampanii 1883/4 r.		na jedną gorz. przyjda wiader
	ilość gorzelni	wypędzono spir. bez. wiader	ilość gorzelni	wypędzono spir. bez. wiader	
w gub. Kaliskiej	64	632,002	51	445,037	8,726
" Siedleckiej	64	396,721	58	305,556	5,268
" Płockiej	58	344,129	49	291,521	5,949
" Warszawskiej	52	291,397	50	237,679	4,753
" Lubelskiej	51	320,562	47	244,306	5,195
" Kieleckiej	36	205,082	34	137,579	4,046
" Radomskiej	30	103,511	27	87,539	3,242
" Łomżyńskiej	28	140,482	28	150,222	5,365
" Suwałkowskiej	28	82,852	29	74,283	2,578
" Płockiej	15	122,886	13	103,720	7,978
razem	426	2,639,624	386	2,077,442	5,641

Jak szybkim krokiem gorzelnictwo w Królestwie Polskiem chyli się do upadku, można się przekonać z następującego zestawienia, i tak:

w 1881/2 r. było czynnych gorzelni	457	z produkcją	3,023,927 w. bezwod. spir.
1882/3	"	426	" 2,639,624 "
1883/4	"	386	" 2,077,442 "

zatem w ciągu dwóch lat, ubyło 71 gorzelni, a wytwórczość zmniejszyła się o 946,485 wiader. A jednak gorzelnictwo wielką jeszcze rolę odgrywa w gospodarstwie rolném, ze względu na zbyt kartofli i innych artykułów, w ostatniej bowiem kampanii gorzelnie zużyły:

		stosunek do ogólnej ilości mater.
kartofli	11,972,974 pudów	88,47%
słodu zielonego	678,392 „	5,01%
żyta	324,203 „	2,39%
prosa	193,163 „	1,42%
słodu suchego	134,140 „	1, „
kukurydzy	120,760 „	0,89%
patoki	108,644 „	0,82%
razem zużyto mater.	13,532,276 pudów	100,—

Również doniosłą rolę odgrywa gorzelnictwo na Litwie i Rusi, które podczas kampanii 1883/4 tak się przedstawia:

wypędzono spirytusu na jedną gorzelnię			
	ilość gorzelni	wiader	przypada wiader
w gub. mińskiej	135	533,552	3,952
„ mohylewskiej	87	435,688	5,006
„ grodzieńskiej	93	371,547	3,995
„ wileńskiej	79	351,423	4,448
„ witebskiej	55	199,928	3,635
„ kowieńskiej	31	123,832	3,994
„ podolskiej	108	1,579,418	14,624
„ kijowskiej	95	1,579,370	16,624
„ wołyńskiej	109	725,619	6,657
razem na Litwie i Rusi	792 gorzel.	5,900,377,	które w ciągu téjże kampanii przerobiły:

		stosunek do ogólnej ilości mater.
kartofli	7,382,092 pudów	36,32%
żyta	5,920,817 „	29,13 „
słodu suchego	1,610,693 „	7,90 „
patoki	2,389,994 „	11,76 „
kukurydzy	1,456,363 „	7,15 „
prosa	1,073,786 „	5,33 „
słodu zielonego	432,010 „	2,12 „
mąki jęczmien.	47,559 „	0,23 „
pszenicy	12,349 „	0,06 „
mąki owsianej	1,673 „	—
razem zużyto mater.	20,326,736 pudów	100,—

Z powyższych obliczeń widzimy już znaczną różnicę w przerobionych materiałach w gorzelniach Królestwa Polskiego oraz na Litwie

i Rusi. U nas kartofle stanowią główny materyał w ilości 88%, na Litwie i Rusi zaś tego produktu gorzelnie przerabiają tylko 36%, — u nas żyta 2%, tam zaś 26% i t. d. Nadmieniamy jednak, że na właściwej Litwie kartofle jeszcze przeważają, gdy na Rusi pierwszorzędne miejsce w pędzeniu okowity zajmuje żyto i patoka.

W ogóle w całym państwie rosyjskiem w ciągu kampanii 1883/4 r. było czynnych 2,446 gorzeln, które wyprodukowały 33,584,234 wiader spirytusu bezwodnego. W roku zeszłym dochód z akcyzy przyniósł skarbowi państwa 217,705,048 rubli, — p. minister skarbu przewiduje, że skutkiem podwyższenia akcyzy o rubel na wiadrze oraz w skutek środków przedsięwziętych dla ukroczenia przemysłnictwa, dochód z akcyzy w 1886 r. zwiększy się przynajmniej o 22 miliony rubli.

Wierni metodzie porównawczej, mającej tém większą doniosłość, im mniej u nas jest znany zagraniczny ruch ekonomiczny i przemysłowy, podajemy tu bliższe wiadomości o gorzelnictwie w niektórych ważniejszych stronach świata.

Prawodawstwo w Niemczech dzieli gorzelnie na: przemysłowe, mające charakter fabryczny, gospodarczo-rolne, przerabiające materyały własne (dominium) i specjalne, pędzące okowitę z jednego głównego materyału np. z patoki, kwaśnego piwa i t. p. Gorzelnie gospodarczo-rolne, mogą być czynne tylko w okresie od 1 listopada do 16 maja, z dziennym zacierem nie przenoszącym 1,030 1/2 litrów, (83,78 wiader). Akcyzę skarb niemiecki pobiera albo stosunkowo do objętości kadzi (Maisbottichsteuer) przy pędzeniu okowity ze zboża, kartofli, buraków, patoki, — albo téż względnie do ilości zużytych materyałów, (Materialsteuer), jeżeli spirytus otrzymuje się z drożdży, winogron, owoców, jagód i t. p. Gorzelnie przemysłowe płacą 30 pfen., a rolniczo-gospodarcze 25 pfen. od każdego 22,9 litrów objętości kadzi, co czyni 5,09 kop. i 4,14 kop. od wiadra objętości. Podczas kampanii 1882/3 r. było czynnych gorzeln:

	przemysł.	gosp.-rol.	specyal.	razem	dochód z akcyzy rubli
w W. Ks. Poznańskim	424	4	2	430	2,753,394
„ Prusach zachodnich	264	2	1	267	1,359,818
„ „ wschodnich	244	126	—	370	780,038
„ Szlązku	857	106	6	969	3,053,611
w reszcie Niemiec	3,691	1,296	1,206	6,193	10,117,655
ogółem w Niemczech	5,480; 1,534; 1,215;			8,229;	18,064,516

Prócz tego w Alzacyi i Lotaryngii było czynnych 19,972 małych gorzeln, pędzących spirytus przeważnie z winogron, wyciżyn, oraz innych owoców. Powyższa tabela pokazuje, jak silnie jest rozwinięte gorzelnictwo w sąsiednich Królestwu Polskiemu prowincjach, które z jednej strony wielką jest podporą dla rolnictwa dla i chowowi in-

wentarza, lecz z drugiej strony, w obec różnicy w opłacie akcyzy, jakżeż wielce ułatwia przemysłnictwo. Nie mamy danych o sile wytwórczej niemieckich gorzelni, łatwo jednak możemy skombinować, pamiętając, że związek niemiecki zwraca 16 marek za hektolitr wywożonego za granicę spirytusu, co odpowiada 60,7 kop. za wiadro bezwodnego spirytusu. W ten sposób obliczając, okazuje się, że przypada:

	na jedną gorzelnię przeźreni kilometrów	na jednego mieszkańca wiader spirytusu
w Królestwie Polskiem	292	0,27
„ gub. północ. zachod.	630	0,26
„ „ połudn. zach.	528	0,56
„ W. Ks. Poznańskim	66	2,66
„ Prusiech zachodnich	95	1,59
„ „ wschodnich	99	0,66
„ Szlązku	41	1,25

Z powyższego widzimy, że np. W. Ks. Poznańskie względnie do przestrzeni ma cztery razy więcej gorzelni i wytwarza dziesięć razy więcej na mieszkańca niż Królestwo Polskie. Również Szląsk ma stosunkowo siedem razy więcej gorzelni z produkcją pięć razy większą niż Kongresówka. Księstwo Poznańskie zajmuje przestrzeń mniejszą od gubernii siedleckiej i lubelskiej, wytwarza jednak spirytusu wiader 4,536,000; to jest przeszło dwa razy więcej niż całe Królestwo Polskie, bez względu na znaczną różnicę ceny ziemi. Oto jeszcze jeden dowód, że gorzelnictwo w Kongresówce, na Litwie i Rusi, powinno być zacząć nowy okres świetniejszego rozkwitu. Zwyżka akcyzy nie może być przeszkodą, bo zresztą położenie geograficzne sprzyja produkcji na wywóz za granicę. Przepisy nowe akcyzne ścieśniają wytwórcę, często może nawet zbytecznie, bo z drugiej strony, niewątpliwie w praktyce okażą się znakomitym środkiem ukrócenia przemysłnictwa, tego kreta, podtaczającego całą gałąź przemysłu i tak szybko demoralizującego całą niemal nadgraniczną ludność Kongresówki.

Tak jak w Królestwie Polskiem, na Litwie i prowincjach nadbałtyckich—tak i w Niemczech okowita pędzona jest przeważnie z kartofli, i tak w kampanii 1882/3 r., przerobiono:

kartofli	{	puarów	135,628,973
		czetwierti	1,070,066
zboża i mąki	{	„	185,555
		puarów	20,089,246
patoki	„	2,590,786	
drożdzy winnych i t. p.	wiader	2,668,396	

innych zaś materyałów spotrzebowało gorzelnictwo w Niemczech stosunkowo nieznaczne ilości.

Gorzelnictwo we Francyi inne ma tradycye. W pierwszej połowie bieżącego stulecia, a nawet i później dobywano tam spirytus, prawie wyłącznie z owoców, drożdży winnych i różnych odpadków przy produkcji wina. Zgodnie z tém, z ogólnej ilości spirytusu otrzymanego w 1850 r. przeszło 91% wypędzono z powyższej wymienionych produktów. Później stosunek ten znakomicie się zmienił, tak że wytwórczość alkoholu z winogron i t. p. wynosi zaledwie 3—4% ogólnej ilości. Zmianę tę spowodował rozwój wywozu wina za granicę, skutkiem udogodnionych komunikacyi, a z drugiej strony przeróbka innych, tańszych materyałów, jak np. kukurydzy, patoki, buraków i t. d. Gorzelnie we Francyi, dzielą się na przemysłowe (bouilleurs et distillateurs de profession), będące pod kontrolą akcyzy, oraz gorzelnie ogrodnicze, (bouilleurs de crû), uwolnione z pod nadzoru.

W ogóle wypędzono spirytusu bezwodnego we Francyi:

	w 1873 r.	1878 r.	1883 r.
	h e k t o l i t r ó w		
z art. mącznych i kart.	100,505	180,469	561,932
„ patoki	710,646	646,715	750,637
„ buraków	322,828	331,716	629,998
„ owoców, winogron i t. p.	225,728	254,831	61,124
„ różnych innych mater.	62,809	3,496	7,325
razem	1,422,516	1,417,227	2,011,016
czyli wiader	11,565,055	11,522,025	16,349,560

Co się tyczy handlu międzynarodowego spirytusem, to we Francyi z każdym rokiem wzmaga się przywóz, a zmniejsza wywóz i tak:

	przywieziono	wywieziono
	h e k t o l i t r ó w	
1873 r.	47,246	534,132
1878	133,121	302,760
1882	272,705	242,543
1883	156,859	265,221
czyli w 1883 r. wiader	1,275,263	2,156,247

W 1883 r. zmniejszył się znacznie przywóz spirytusu do Francyi, wyłącznie z przyczyny zwrócenia się niemieckiego wywozu na inne targi, głównie do Hiszpanii. Nasz więc spirytus, należycie oczyszczony i doprowadzony do wysokości mocy, mógłby z korzyścią dla wytwórców znaleźć większy zbyt we Francyi i innych państwach południowych.

Włochy za przykładem innych państw także odznaczały się wielką ilością gorzelnii małych, które z postępem czasu i współzawo-

dnictwem zakładów czysto fabrycznych, w większej części zamknięto. I tak w roku zeszłym było we Włoszech:

	czynnych	nieczynnych	otrzymano spirytusu hektolitrów
wielkich gorzeln	24	6	174,381
średnich, których naczynia destylacji nie przenoszą 10 hektolitrów	417	207	27,772
małych niżej 10 hekt.	2,092	5,053	
razem w 1884 r. było gorz.	2,532	5,266	z produkcją 202,153 hek.

We Włoszech więc zaledwie trzecia część gorzeln była czynną. Co się tyczy rozmiaru działalności, to w roku zeszłym każda gorzelnia

I kategorii (wielka) wypędziła 59,077 wiader i opłaciła akc. 163,482 r.

II „ (śred. i mała) „ 91 „ 214 „

Właściwie więc gorzelnictwo we Włoszech ogranicza się tylko na 24 zakładach istotnie wielkich, gdyż małe, wytwarzające średnio zaledwie 91 wiader, mają nader ograniczone znaczenie. W ogóle dochód z akcyzy we Włoszech przyniósł skarbowi w roku zeszłym 18,179,918 lir. nie licząc dochodu od 212,116 wiader spirytusu, przywiezionego w tymże czasie z zewnątrz państwa.

Gorzelnictwo w Stanach Zjednoczonych stanowi zupełnie oddzielną gałąź przemysłu, nie mającą żadnej bezpośredniej łączności z rolnictwem. Okowita pędzi się wprawdzie z produktów rolnych, ale nie własnych, lecz nabytych w sąsiednich fermach lub na targach, nawet odpadki, mianowicie wywar, są na miejscu zużywane na pokarm dla bydła, chodowanego przez właścicieli gorzeln. Gorzelnictwo mało jeszcze rozwinięte, zwłaszcza pod względem techniki stoi znacznie niżej od europejskiego, przytém rozrzucone jest nie na całej przestrzeni, ale tylko we wschodniej części, pomiędzy oceanem Atlantyckim, Florydą i rzeką Mississipi, głównie w stanach północnej Karoliny, Kentucky i Pensylwanii. Ogólna liczba gorzeln czynnych w Stanach Zjednoczonych podczas kampanii 1882/3 r. była 5,210, z których 1,240 pędziło spirytus ze zboża, 7 z patoki, a z owoców reszta lub wyrabiała wódki. Gorzelnictwo atoli amerykańskie ma przez to donioślejsze od naszego znaczenie, że przerabia artykuły niższego gatunku, niezdadne dla wypieku chleba lub dla międzynarodowego handlu, gdy u nas ma się rzecz przeciwnie. W ciągu kampanii 1882/3 r. przerobiono:

kukurydzy	13,428,469 buszli
żyta	2,987 473 „
słodu	1,478,971 „
pszenicy	291,368 „

owsa	122,583 buszli
jęczmienia	73,380 „
innych materyałów	262,543 „
razem	<u>18,644,788 buszli</u>

czyli 28,899,420 pudów.

Oprócz tego zużyto 2,373,106 galonów, czyli 730,205 wiader patoki prawie wyłącznie dla otrzymania rumu. Lecz i w Ameryce gorzelnictwo w upadku, gdyż liczby powyższe znacznie są mniejsze niż w poprzednich kampaniach, tak np. w 1880/1 r. przerobiono przeszło 31, a w 1881/2 r. tylko 27 milionów buszli materyałów. Łącznie z upadkiem gorzelnictwa zmniejszyła się także ilość wypędzonego spirytusu i tak:

gdy w 1879 r. otrzymano rocznie spir. 99,854,500 galon. t. j. 30,724,230 wiad. 50°
to w 1883 r. „ tylko „ 74,013,308 „ „ 22,773,995 „

Zmniejszenie więc znaczne bez względu na wzrost ludności i spożycia. Oto jeszcze jeden dowód, że spirytus polski znajduje drogi zbytu, byleby tylko wytworcy zastosowali się do potrzeb i zwyczajów rynków zagranicznych. Że gorzelnictwo w Stanach Zjednoczonych, pod względem techniki ustępuje europejskiemu, pokazują wyniki z trzech ostatnich kampanii, mianowicie.

	otrzymano z puda	
	patoki,	kukurydzy i zbóż
	stopni spir.	
w 1880/1	37,14	36,6
„ 1881/2	38, 2	37,6
„ 1882/3	36, 1	38,4

Dochody z akcyzy, w 1883 r. przyniosły skarbowi 74,368,775 dolarów, czyli 99,431,052 rubli metalicznych.

W ścisłym związku z gorzelnictwem w Stanach Zjednoczonych, stoi chów trzody i bydła opasowego, gorzelnie bowiem w ogóle nie sprzedają ani wywarów lub innych odpadków, lecz na miejscu spożytkowują, i tak, podczas kampanii 1882/3 r. znajdowało się przy gorzelniach:

	przyrost ogólny		przyrost na jedną sztukę
	p u d ó w		
bydła rogatego sztuk	63,272	377,575	5,96
świń	53,396	158,586	2,97
razem sztuk	<u>116,668</u>	<u>536,161</u>	<u>4,59</u>

Co się tyczy chowidli trzody i bydła rogatego przy gorzelniach w Kongresówce, na Litwie i Rusi, oraz innych prowincjach polskich, statystyka urzędowa nie daje nam żadnych liczbowych danych. Powszechnie jednak wiadomo, że co się tyczy Królestwa Polskiego, to

z upadkiem gorzelnictwa, znikł prawie chów bydła opasowego, tak, że np. Warszawa żywi się prawie wyłącznie bydłem stepowym, które nie będąc należycie odkarmione, daje mięso bez porównania niższej wartości aniżeli to, które się spożywa w pierwszej lepszej restauracji Wiednia, Berlina lub Hamburga.

Równoległe z podwyżką akcyzy szerzyło się przemytnictwo okowity szczególnież z Prus i Austrii, podrywając gorzelnictwo w nadgranicznych prowincjach. Ludność wiejska i miejska w szerokim pasie granicznym porzuciła uprawę roli, rzemiosła i inne zajęcia, a oddała się wyłącznie przemytnictwu wódki i nieodłącznemu od niego pijaństwu i demoralizacji. Za każdym powiększeniem akcyzy następowało zwiększenie kadrów przemytników, zorganizowanych w oddziały często po 100 ludzi uzbrojonych i nierzadko krwawe staczających bójki ze strażą graniczną.

Przemytnictwo stało się rzemiosłem zyskowném, gdy bowiem obecnie skarb obłożył spirytus po 9 kop. od stopnia, to akcyza za tęż samą ilość wynosi w Prusach 1—1¼ kop., a w Austro-Węgrzech nie wyżej 1½ kop., zatem licząc 1½ rubla wartość wiadra spirytusu w Królestwie i doliczając 9 rubli akcyzy, cena sprzedażna wiadra spirytusu bezwodnego nie może być niższą w Kongresówce od r. 10 k. 50

tymczasem też sama ilość kosztuje w Austrii	4 —
a w Prusach tylko	3 — 50

różnica zatem w cenie wiadra w porównaniu z Austrią wynosi 6½ r., a z Prusami 7 rubli. Przemytnik przenosi zwykle 1½ wiadra bądź w pęczkach lub też blaszankach, a że cena wiadra spirytusu przemyconego wynosi zwykle 6—7 rubli, więc kontrabandzista zyskuje na każdym transporcie 3—5 rubli, a choćby nawet tylko połowę tego, to jeszcze pokusa jest zbyt wielką, aby nie mogła oddziaływać na ciemną i zdemoralizowaną ludność. Ryzyko przemytnika było bardzo małym w obec niedostatecznej straży granicznej i w obec faktu istnienia tajnych towarzystw ubezpieczeń od ujęcia kontrabandy, które, pobierając za ledwie od 3—5 kopiejek premii od wiadra, zabezpieczyły kontrabandzistę od straty.

Przemytnictwo okowity szczególnież dla Królestwa Polskiego doniosłe ma znaczenie, albowiem zdemoralizowało ludność nadgraniczną, silnie poderwało całą gałąź przemysłu i znacznie umniejszyło dochody skarbu, który przez to zmuszony był wynajdywać inne źródła dochodu dla pokrycia niedoborów. Trudno naturalnie obliczyć ilość przemycanego spirytusu, chociaż załączający się niżej rachunek da nam przybliżone o tém pojęcie. W 1870 r., przy normie 4 kop. od stopnia, dochód akcyzy w Królestwie Polskiem był w ilości 11,015,859 rub.

w 1882 r. przy stopie zdwojonej t. j. po 8 kop.	13,039,283 „
zatem w obec zwiększenia akcyzy o 100%, dochód powiększył się tylko o 18% czyli o	2,023,424 rub.

Konsumpcya wódki w Królestwie w tymże czasie bezwarunkowo zmniejszyła się nie mogła w obec faktu, że w tymże okresie wzrosła ludność przeszło o milion i powiększyła się zamożność w klasach najniższych skutkiem reformy włościańskiej, powstania wielu fabryk, kolei i t. p. Nie ulega zatem wątpliwości, że okowita przemycana z każdym rokiem coraz dalej odsuwała na wschód produkcją krajową, przyczyniając się do szybkiego zamykania gorzelni. Podług naszych dosyć prawdopodobnych obliczeń, ilość przemycanej okowity w granice Królestwa wynosiła w ostatnich latach 1,200,000—1,500,000 wiader, co przy normie 8 kop. stanowiło 9—12 milionów rubli straty dla skarbu.

W celu ukrócenia przemytnictwa w ogóle, a szczególnie okowity, ministryum skarbu zarządziło szereg środków, które naszym zdaniem okażą się bardzo skutecznymi, ograniczając kontrabandę do minimum. Na czele tych środków stoi zwiększenie straży karczemnej, o którego doniosłości wykazują liczby poniższe, i tak:

	w pasie granicznym 21 wiorst	
	dawniej	obecnie
	w i o r s t	
na jednego nadzorcę przypadało	360	150
„ komisowego strażnika starszego	66	20
„ „ „ młodszego	41	4
„ strażnika pieszego	20	2

Tym więc sposobem, gdy dawniej na całej rozciągłości granicy zachodniej t. j. na długości 3,200 wiorst, straż karczemną stanowiło 295 osób, to dziś na przestrzeni tylko 2,485 wiorst, od Połagi do Nowosielic (t. j. Prus i Austrii) też straż liczy 2,003 osób, t. j. prawie siedm razy więcej. Jednocześnie zwiększono straż graniczną o 65 oficerów i 5,782 niższych stopni, tak, że ogólne zwiększenie straży wynosi około 8,000 ludzi, co bezwątpienia nie będzie bez wpływu na zmniejszenie przemytnictwa, a ztąd i na zmniejszenie demoralizacji, oraz na zwiększenie dochodów skarbowych.

Nowe przepisy o składach hurtowych spirytusu i okowity są nader ważne dla gorzelni w Królestwie. Dotąd istniała masa składów hurtowych nominalnie tylko, w rzeczywistości były to proste szynki w celach przemytnictwa. Te to składki fikcyjno-hurtowe posiadały zwykle zaledwie po kilka wiader całego zapasu, a otwierano je głównie dlatego, że miały prawo wydawać świadectwa na przewóz okowity. Agenci skupowali przemycaną okowitę, naturalnie po niskich cenach, którą, aby przewieźć dalej od granicy, należało zaopatrzyć w świadectwa, wykazując jej legalne pochodzenie, — otóż składki hurtowe dopełniały fikcyjnych sprzedaży i wydawały świadectwa, biorąc po 30—50 kop. od wiadra. Tym sposobem uprawiano z jednej strony przemycaną okowitę, a z drugiej strony składki ciągnęły znaczne

zyski z przywileju wydawania świadectw. Dlatego też po małych miasteczkach polskich, często w sąsiedztwie gorzelni, widzimy po kilka i więcej składów. Tak, że gdy np. w pasie granicznym 21 wiorst szerokim, gdzie składy nie miały prawa wydawania świadectw, istniało w r. z. w Królestwie składów 42, to już w następnym pasie 28 wiorstowym było tychże składów 216. Obecnie, aby ukrócić nadużycia i dać możność gorzelniom bezpośrednio sprzedaż okowity w małych ilościach, postanowiono, aby składy hurtowe, począwszy od 1-go stycznia 1886 r., otwierano tylko w miastach (w guberniach nadgranicznych), w miasteczkach zaś i osadach tylko w tym razie, gdy w odległości 25 wiorst niema ani jednej gorzelni. Przytém oznaczono, aby w składzie hurtowym znajdowało się okowity minimum 500 wiader. Zrównano też opłaty patentowe od dystylarni i składów hurtowych z pobieranemi w Cesarstwie. Tym więc sposobem patentowe w Królestwie Polskiem:

	od dystylarni		od składów hurtowych		
	wynosiło dawniej		dawniej		
	r	u	b	l	i
w miejscowościach I klasy	200	600	300		600
„ II „	100	300	100		200
„ III „	75	225	50		100

Podwojenie przeto i potrojenie opłat patentowych, oraz oznaczenie minimum 500 wiader, niewątpliwie wpłynie na zmniejszenie fikcyjnych składów hurtowych, utrudni przemysłnictwo, zwiększy bezpośrednio drobną sprzedaż wprost z gorzelni, a tym sposobem dzielnie przyczyni się do podniesienia całej upadającej u nas gałęzi przemysłu. W ogóle cała reforma akcyzna, łącznie z ukróceniem przemysłnictwa i uporządkowaniem handlu trunkami, jest wielkiej doniosłości głównie dla Królestwa Polskiego, oraz części bliższej Litwy i Rusi, a to z przyczyny geograficznego położenia, dla Cesarstwa zaś ma ona bez porównania mniejsze, podrzędne znaczenie. Witamy ją też jako fakt doniosły nie tylko dla gorzelnictwa krajowego, ale i dla całej ludności nadgranicznej, tak silnie zdemoralizowanej wzrastającym przemysłnictwem, które, jeżeli już nie wypełni się zupełnie, to przynajmniej zejdzie do mikroskopijnych rozmiarów.

W związku z gorzelnictwem wielką ma doniosłość nowy akt prawodawczy, sankcjonowany przez władzę najwyższą w d. 26 maja r. b. Mówimy o zmianie dotychczasowych przepisów o handlu trunkami (prawita o targowle krępkimi napitkami). Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że wzrost fabryk, wielkich przedsiębiorstw, rozwój handlu, a co najważniejsza wzrost dobrobytu u włościan, jeżeli nie idzie równoległe z rozszerzeniem oświaty, to przyczynia się wielce do rozkwitu pijaństwa w warstwach najniższych. Szczególniej widzimy ten objaw w wielkich centrach fabrycznych, z ludno-

ścią napływową, oderwaną od rodzinnego ogniska. Nie dosyć bowiem jest dać ludziom możność zarobkowania, trzeba ich jednocześnie nauczyć najkorzystniejszego użycia dochodów, oraz rozszerzyć krąg potrzeb cywilizacyjnych, aby robotnik lub rzemieślnik przewyżkę, pozostałą po zaspokojeniu głodu, obrócił na polepszenie i zabezpieczenie swego bytu. Potwierdzenie tego znajdujemy też i u włościan np. na Ukrainie, gdzie pomimo nadzwyczajnej urodzajności gleby, pieniądź jest rzadkością u kmiecia. Tamtejszy włościanin nie zna wartości pieniędzy, codzienne swe potrzeby zaspakaja płodami żyznej ziemi, któremi się karmi i zamienia na te nieliczne, konieczne przedmioty, których ziemia nie daje. Pieniądź potrzebny mu jest tylko na opłacenie podatków i na gorzałkę, jeżeli więc ziemia nie obrodzi, to przedewszystkiēm powoduje niedobory w podatkach, oraz w dochodzie z akcyzy. Fakt ten urzędowo stwierdzony, popiera nasze zdanie, aby dobrobyt i reformy socyalne koniecznie były w harmonii z rozwojem oświaty. Półbiedy jeszcze, kiedy ludność przepija tylko zwyżkę dochodów, pozostałą po opędzeniu koniecznych potrzeb; o ileż jednak pijaństwo ma większe znaczenie, gdy pochłania cały niemal zarobek robotnika? Pijaństwo w niektórych zwłaszcza stronach rozległego państwa przybrało tak wielkie rozmiary, że w tym razie interwencya władzy prawodawczej stała się koniecznością.

Czy Królestwo Polskie lub nawet Cesarstwo jest klasyczną ziemią konsumcyi alkoholu? Bezwarunkowo nie potwierdzają to bowiem liczby, i tak, przyjmując nawet, że cała produkcya gorzelnii w kampanii 1883/4 r. była na miejscu wypitą, wypada na mieszkańca 0,33 wiadra i że tenże mieszkaniec podług zamierzenia budżetowego na rok bieżący, ma przysporzyć państwu dochodu z trunków w sumie rs. 2 kop. 47. Tymczasem każdy mieszkaniec:

	galon. spir.	obłoż. akcyz.	becz. piwa	obł. ako.	Ogółem
	szyling.		szyling.	placi ako.	
w Anglii wypija rocznie	0,48	4,8	0,89	5,6	10,4
„ Szkocyi „	2,16	21,6	0,28	1,7	23,3
„ Irlandyi „	1,47	14,7	0,44	2,7	17,4.

Widzimy więc, jak wielka ilościowo zachodzi różnica pomiędzy konsumcyą trunku w Rosyi i W. Brytanii, a zwłaszcza Szkocyi i Irlandyi. A jednak pijaństwo bezporównania więcej jest rozwinięte w Cesarstwie niż w Anglii. Naszēm zdaniem, dwie są główne przyczyny tego faktu: 1) syn Albionu pije prawidłowo, to jest trunek uważa jako napój konieczny dla swego organizmu, pije więc codziennie, ale po trosze, gdy tymczasem u nas i w Cesarstwie gorzałka jest przedmiotem rozkoszy, używanym tylko peryodycznie w chwilach posiadania pieniędzy, to jest przy wypłacie miesięcznej, dwutygodniowej, tygodniowej, stowem, w chwili realizacyi zarobku, — i 2) anglik pije po zaspokojeniu głodu, gdy u nas, a zwłaszcza na wschodzie, wódkę piją na czczo, lub też przy mikroskopijnej drażniącej zakąsce. Pierwot-

nie nie umieliśmy sobie zdać sprawy dla czego anglik, pijąc bez porównania więcej i mocniejszych trunków, nie upija się tak szybko jak np. wielko-rosyanin, który po paru kieliszkach rozwodnionej cuchnącej siwuchy tak łatwo popuszcza cugle swojej szerokiej naturze. Dopiero przyjrząwszy się bliżej sposobowi życia i pijaństwu, potrafiliśmy objaśnić ten fakt, jako następstwo picia na czczo.

Skoro więc nie średnia ilość trunków, ale sposób picia szerzy u nas pijaństwo, to i prawodawstwo musiało przede wszystkim zwrócić uwagę na przyczynę złego. Kilka lat trwały prace przygotowawcze nim nareszcie kwestya trunkowa choć częściowo została rozwiązana. Bezwątpienia nowe przepisy nie mają cechy doskonałości, pozostawiają wiele jeszcze do życzenia, lecz w każdym razie są ważnym i doniosłym krokiem rozstrzygnięcia tak trudnej kwestyi. Nie należy bowiem zapominać, że akcyza jest dotąd główną podstawą systemu budżetowego, stanowiącą trzecią część dochodów państwa. Nie można więc było przedsiębrać środków zbyt radykalnych, aby nie poderwać i tak już chwiejnej równowagi budżetowej.

Główną zasadą nowych przepisów jest zniesienie szynku (kabaka), który oprócz szczenia pijaństwa, był niejako uprawnionem miejscem różnorodnej demoralizacji. Większość szynków w obec wysokich opłat akcyznych, a małych stosunkowo dochodów, egzystencją swoją opierało głównie na fanciesarstwie, kupnie i przechowywaniu rzeczy skradzionych, na tajnym nierządzie i t. p. Zasłużony więc los spotkał te schroniska wszelakiego występku, lecz z drugiej strony szynk i karczma — to ludowe kluby, miejsca zebrań dla wzajemnej rozrywki i wymiany myśli. Tu więc zbłądziło prawodawstwo, zamykając ludowi jedyne miejsca wspólne, nie wytworzyło nic takiego, coby najniższemu warstwowi mogło zastąpić szynk i karczmę w lepszym ich znaczeniu.

Z nowym rokiem handel trunkami dla konsumpcji na miejscu (raspiwocznaja prodaża) może istnieć tylko *a*) w jadłodajniach, zajazdach i karczmach, *b*) w bawaryach (tylko piwo, miód i porter), *c*) na wystawach, *d*) na stacyach pocztowych i dróg żelaznych, i *e*) w handlach, sprzedających wyłącznie rosyjskie wina.

Sprzedaż na konsumpcją zewnętrzną (prodaża na wynos) oprócz miejsc powyżej wymienionych dopełniać się będzie ze składów wódek, które prawodawstwo dzieli na cztery kategorie stosownie do rozmiaru i zakresu sprzedaży.

Pozwolenie na otwarcie handlu trunkami (z wyjątkiem w miastach składów dla sprzedaży zewnętrznej oraz bawaryj) udziela w miastach rada miejska, a w innych miejscowościach urząd powiatowy do spraw trunkowych (ujezdnoje po pitiejnym dietam prisutstwieje). W skład powiatowego urzędu do spraw trunkowych wchodzi: marszałek szlachty, jako prezydujący, oraz prezes lub członek zarządu powiatowego ziemskiego, członek urzędu do spraw włościańskich, sędzia

pokoju powiatowy, isprawnik i urzędnik akcyzy. Wyższą instancją jest urząd gubernialny do spraw trunkowych (gubernialne po pitiejnym diełam prisuststwie) pod kierunkiem gubernatora, złożone: z vicegubernatora, gubernialnego marszałka szlachty, prokuratora, z prezesów: izby skarbowej, zarządu akcyzy, zarządu ziemskiego, gubernialnego i prezydenta miasta. Tam, gdzie nie ma marszałków szlachty, minister powołuje na ich miejsce obywatele ziemskich, a w miejsce przedstawicieli zarządu ziemskiego (ziemskiej uprawy) gubernator mianuje członków również z pośród miejscowych właścicieli ziemskich. Organizacya urzędów do spraw trunkowych jest ważną, uwzględnia bowiem żywioły miejscowe; — ma jednak tę słabą nader stronę, że faktyczne kierownictwo należyć będzie do przedstawicieli akcyzy, którzy niewątpliwie zawładną pozycyą i będą sędziami w własnej sprawie.

Urzędy do spraw trunkowych mają władzę rozległą, do nich bowiem należy główny nadzór nad sprzedażą trunków, baczenie, aby jadłodajnie (traktiry) były niemi rzeczywiscie, a nie zamieniły się na proste szynki. Oprócz tego nadano im prawo zamykania handli w skutek nadużyć.

Cząstkowa sprzedaż trunków w jadłodajniach, zajazdach i karczmach, nie może być wzbronioną w miejscowościach mających ludności wyżej 5,000, oraz przy traktach, przystaniach u rzek spławnych, stacyach kolei i poczty, miejscowościach handlowych i fabrycznych i w ogóle tam, gdzie się gromadzi lub przejeżdża znaczna liczba mieszkańców. Co się tyczy wsi i osad wiejskich, to tam, gdzie ludność nie przewyższa 500, liczba handli trunkami (winnych ławok — wyłącznie do sprzedaży na zewnątrz) może być ograniczoną do jednego. Mieszkańcom wsi (sielskim obszczestwam) przysługuje prawo starania się, aby na ich terytorium wzbroniono sprzedaży trunków, lecz tylko w tym razie, jeżeli dana miejscowość liczy mniej niż 5,000 ludności i nie należy do tych, gdzie sprzedaż trunków nie może być wzbronioną. Jednak prawodawstwo ten przywilęć ścieśniło licznemi zastrzeżeniami, z których zwłaszcza jedno ma szczególniejszą doniosłość i może zawsze sparaliżować najlepsze chęci ludności. Mianowicie urząd do spraw trunkowych może nie uwzględnić życzenia mieszkańców, jeżeli ono nie jest wywołane chęcią przeciwdziałania pijaństwu, a tylko innemi okolicznościami. Wiadomo powszechnie, co znaczą te inne okoliczności, że przy odrobinie złej woli podrzędnych organów, łatwo jest dojrzeć w każdym objawie życia społecznego buntowniczych „stremlenij.“ Mieliśmy tego dowody na gospodach chrześciańskich, które pewne organa samobytnicze tak gorliwie denuncyowały, jako jaskinie buntu przeciwko prawowitej władzy. Zdaje nam się przeto, że ścieśnienie ludności wiejskiej jest niepotrzebne, gdyż ludność wiejska wszędzie, a témbardziej u nas jest tradycyjnie zachowawczą.

Sprzedaż trunków nie może zaczynać się przed godziną siódmą rano i trwać dłużej jak do godziny 11 wieczorem w miastach, a 10

w innych miejscowościach. Nie może być też spełnianą w czasie procesyj, a w niedziele i święta przed ukończeniem nabożeństwa.

Pomimo licznych niedostatków, ustawa trunkowa jest ważnym krokiem na drodze uporządkowania handlu napojami w celu zmniejszenia pijaństwa. Powtarzamy: zarząd skarbowy był w trudnym położeniu, bo akcyza jest dotąd podstawą budżetu i to nam tłómaczy pewną chwiejność i bojaźliwość, jaką spotykamy w całej osnowie nowych przepisów o handlu trunkami. Z tém wszystkiém przyznajemy nowemu aktowi prawodawczemu wielką dodatnią doniosłość, która w praktyce okaże się tém ważniejszą, im gorliwiej zarządy miejskie i urzędy do spraw trunkowych spełniać będą swoje obowiązki. Zwracamy się tu głównie do członków z pośród ludności miejscowej, nie wątpiąc, że w poczuciu obywatelskiém nie będą tylko przedstawicielami nominalnymi, ale ziszczą nadzieje pokładane na nich tak przez współobywateli, jak i przez prawodawcę.

Ostatnia międzynarodowa wystawa wynalazków w Londynie niezmiernie jest ważną i pouczającą nie tylko dla techników, inżynierów, technologów i t. p., ale i dla badaczy postępu ekonomicznego w różnych stronach, a głównie w Anglii. Tymczasem zatrzymamy się na jednym z głównych działów, którego ogólna wytwórczość w większej połowie jest dziełem maszyn i rąk angielskich i którego wyroby mają zbyt od Londynu do Patagonii i przyładka Dobrej nadziei, oraz od Manchesteru do St. Francisco, Sydnéj, Kalkutty i Marokko. Mówię tu o tkactwie angielskiém z wszelkiemi jego poddziałami.

Głównemi materiałami włóknistemi w tkactwie używanemi są: bawełna, len, wełna, oraz jedwab'. Ani jedna z gałęzi przemysłu, przerabiającego powyższe materiały surowe — nie powstała w Anglii, ani też same materiały surowe nie były produkowane w znacznej ilości w tym kraju, a jednak W. Brytania w ciągu niespełna jednego wieku tak olbrzymio rozwinęła tkactwo, że dziś sama jedna więcej produkuje aniżeli wszystkie inne kraje razem wzięte. Rezultat ten osiągnęli Anglicy, naszém zdaniem, przez wyższość techniki, przez obfitość maszyn i węgla kamiennego, oraz przez tolerancją polityczną i religijną w ubiegłych stuleciach. Niektóre bowiem z gałęzi tego przemysłu zaszczerpione zostały przez wychodźców z Francji i innych krajów, chroniących się przed prześladowaniem religijném.

Tkactwo znane było jeszcze w głębokiej starożytności, a jakkolwiek było wykonawane całkowicie rękami ludzkimi, doszło do takiej doskonałości np. w Indyach i Chinach, że i dziś jeszcze maszyny sprostać mu nie mogą. Najnowsze maszyny angielskie lub francuzkie nie są jeszcze tak doskonałe, aby ich wyroby mogły współzawodniczyć z drogocennymi tkaninami indyjskimi, lub wyrobić tak wytworne dywany, jakie tylko wschodnia cierpliwość może wyprodukować w Persyi lub Bucharze. Lecz te tkaniny, dzieło wyłącznie rąk ludzkich, są bar-

dzo kosztowne, dostępne dla nie wielu tylko wybranych, gdy tymczasem dziś wszystkie stany dążą do komfortu i zbytku. Przemysł musi ten prąd uwzględnić i to właśnie jest przyczyną, że ogólnie biorąc, mamy dziś powierzchownie coraz wytworniejsze tkaniny i coraz tańsze, ale przytém i coraz więcej nietrwałe. Boć z drugiej strony, czy np. tkanina bawełniana, której najniższe gatunki kosztują dziś zaledwie 9—10 groszy łokieć, może być długotrwałą? Zresztą i sam konsument nie bardzo się dziś troszczy o trwałość, minęły już czasy, kiedy odzież przechodziła z ojca na syna, z matki na córkę, moda się tak często zmienia, a tak jój wszyscy hołdujemy, że wystarcza nam, aby tkanina przetrwała kilka miesięcy tylko. Anglicy i Rosyanie rozwijają tkactwo właśnie w tym kierunku, to jest starają się przedewszystkiem wyprodukować jak najwięcej i jak najtaniej, nie wiele się troszcząc o dobroć. To téż w Anglii wyższe gatunki tkanin stanowczo są w upadku i na tém polu palmę pierwszeństwa wydarły im Francya, Belgia, a obecnie i Niemcy. Co się zaś tyczy Rosyi, to tkactwo pod względem dobroci zajmuje ostatnie miejsce, bez względu na znaczną ilość olbrzymich fabryk; bo główny kontyngens ich konsumentów znajduje się na rynkach wschodnich, to jest w miejscowościach nie zbyt jeszcze zarażonych europejską cywilizacją.

Przemysł bawełniany wziął początek w Indyach wschodnich, które przez długie wieki były wyłącznym dostawcą tkanin bawełnianych dla ludów starożytnego świata. Od nich przeszedł do Fenicyan, Greków i Rzymian. Za czasów Kolumba ludność amerykańska powszechnie nosiła tkaniny bawełniane, lecz od jak dawna ten przemysł tam istniał nie wiadomo, gdyż pierwotne dzieje téj części świata są nieznanne. W świecie chrześcijańskim znano wyroby z bawełny, lecz w Europie ich nie wyrabiano. Dzieje zapisały rok 1298 dopiero jako początek wyrobu knotów bawełnianych. Zdaje się więc, że dopiero po odkryciu Ameryki przemysł bawełniany zaszczerpił się w nowszych czasach w Europie. Lecz trzy wieki upłynęły, zanim ten przemysł szerzej się rozwinął, i dopiero w XVIII stuleciu zajął wybitne stanowisko w Europie, przez grupowanie pojedynczych warsztatów w zakładach fabrycznych, przez wynalazek różnych mechanizmów, oraz przez zastosowanie pary (około 1790 r.) do przemysłu bawełnianego. W 1760 r. tym przemysłem zajmowało się w Anglii 43,000 ludzi, obecnie zaś na 2,674 fabrykach znajduje się 44,206,690 wrzecion, 514,911 warsztatów tkackich, przy 494,000 robotnikach. Wywóz wyrobów bawełnianych z Anglii wynoszący w 1701 r. zaledwie 23,253 £., dosięgnął w roku zeszłym sumy 72,736,555 £., t. j. przeszło 464 milionów rubli.

W ogóle w 1883 r. liczone wrzecion:

w Wielkiej Brytanii	42,000,000	tj. 53 % ogóln. sumy
na kontynencie	22,500,000	„ 29
w Stanach Zjednoczonych	12,660,000	„ 16
w Indyach wschodnich	1,700,000	„ 2
razem	78,860,000	100.

Fabryki angielskie zużywają i bawełny więcej niż cały kontynent, gdy bowiem w 1882/3 r. w Anglii przerabiano tygodniowo 72,000, to w reszcie Europy tylko 66,100 bel bawełny.

W związku z przemysłem bawełnianym jest koronkarstwo, reprezentowane w Anglii przez miasto Nottingham i okolice. Wynalazek w 1809 r. maszyny do robienia franek i t. p., udoskonalonej głównie w 1837 r., spowodował zupełny przewrót w tej gałęzi, pozabawiając odrazu zarobku 150,000 ludzi, zajętych wyszywaniem wzorów na tiulu. Liczą obecnie 1,040 maszyn udoskonalonych, z których 860 znajduje się w Anglii i Szkocji, a tylko 180 we Francji i Niemczech.

Egipt jest ojczyzną lnu, z którego wyroby były w powszechnym użyciu u starożytnych Egipcyan. Przemysł lniany w nowszych czasach rozwinął się w Irlandyi, szczególnie w końcu XVII wieku za sprawą wygnanych z Francji hugonotów, licznie tu osiadłych. Lecz dopiero zastosowanie udoskonalonych mechanizmów i pary nadało tej gałęzi przemysłu obecne znaczenie. Przemysł lniany w W. Brytanii przerabia 20,000 tonn własnego i 90,000 tonn lnu obcego, głównie egipskiego i rosyjskiego na 575 fabrykach, posiadających 1,575,000 wrzecion, 52,000 warsztatów tkackich i dających zarobek 150,000 ludziom.

Przemysł jedwabny, znany Chińczykom jeszcze na 2,700 lat przed narodzeniem Chrystusa, nie rozwinął się w Anglii w całej rozciągłości. Dotąd Francya trzyma palmę pierwszeństwa, lubo w ostatnich czasach Szwajcarya i Niemcy poważnemi stały się współzawodnikami. Z tém wszystkiém, tą gałęzią zajmuje się w Anglii 706 fabryk (głównie przędzalni) z 919,000 wrzecion, 12,500 warsztatów tkackich i 41,000 robotników.

Olbrymiego wzrostu dosięgnął w W. Brytanii przemysł wełniany, gdzie na 2,867 fabryk liczone 6,308,000 wrzecion, 146,000 warsztatów tkackich przy 193,000 robotnikach. W roku zeszłym przerobiono wełny 676 milionów funtów, z których tylko 132 mil. f. własnej, resztę zaś przywieziono z różnych części świata.

W ogóle przemysł tkacki w W. Brytanii zajmuje 7,105 fabryk, 53,102,528 wrzecion i 725,714 warsztatów tkackich, dając zarobek bez mała milionowi robotników. Anglia więc rzeczywiście jest klasyczną ziemią tkactwa, z którą co do ilości wyrobów żadne państwo mierzyć się nie może. Wywóz też przedmiotów tego dzieła dosięgnął rzeczywiście olbrzymich rozmiarów; podług *Annuaire de l'Économie politique* wywieziono z Anglii w 1883 r.:

wyrobów bawełnianych	za	76,448,000	£.	
„ wełnianych	„	21,587,000	„	
innych wyrobów tkackich	„	7,940,000	„	
	razem	za	105,975,000	£.

czyli przeszło za 667 milionów rubli. Gdy weźmiemy na uwagę te potężne liczby, dotyczące tylko jednego działu przemysłu angielskiego, i uwzględnimy fakt, że głównym rynkiem zbytu fabryk angielskich są

Indye wschodnie, to łatwo zrozumiemy politykę średnio-azyatycką Anglii, że państwo to w obronie Indyi otworzy wszystkie swe skarbnice i walczyć będzie z tą energią, zaciętością i wytrwałością, jakie wykazało w początku bieżącego stulecia przeciwko Napoleonowi I. Tłactwo angielskie daje zarobek milionowi robotników, nie licząc stanu kupieckiego i przyrodziewa mieszkańców połowy globu ziemskiego, lecz i ono znajduje coraz niebezpieczniejszych konkurentów, mianowicie w wyrobie najwyższych gatunków. I tak w przemyśle jedwabnym ma silną współzawodniczkę Francją, w wełnianym Niemcy, a lnianym Belgią, maleńkie państewko, które dla zbytu wyrobów lnianych (płóciennych) nie ogranicza się już dzisiaj na rynkach angielskich, lecz coraz bardziej wypiera wyroby angielskie z targów amerykańskich. Pomimo więc tak olbrzymio rozrosłego tłactwa w W. Brytanii, przywóz wyższych gatunków wyrobów tkackich do Anglii dosięgnął w roku zeszłym 25 mil. £. głównie:

	wyrobów bawełnianych za	2,235,000 £.
	" wełnianych "	8,600,000 "
i	" jedwabnych "	11,554,000 "

nie licząc wyrobów lnianych, konopnych i t. d.

Do wielkiego rozwoju tłactwa w Anglii przyczyniła się jak powiedzieliśmy wyżej wyższość techniki, doskonałość maszyn, oraz taniać paliwa, lecz są jeszcze i inne powody tak świetnych rezultatów, mianowicie iście angielskie wyspecjalizowanie przemysłu, oraz wyższość robotników angielskich. Robotnicy angielscy nie są to ludzie świeżo oderwani od roli, ów proletaryat wiejski, szukający w pewnych porach roku, mianowicie w zimie, zarobku po fabrykach. Robotnicy angielscy to od kilku pokoleń wytworzona niejako kasta ludzi, wyłącznie tylko przemysłem zajęta i z ojca na syna przelewająca wiadomości i uzdolnienie. Dla tego też w żadnym państwie robotnicy nie są tak wysoko płatni, w obec mniejszej liczby godzin pracy jak w Anglii. Jakaż to różnica np. w urządzeniu sanitarném fabryk angielskich w porównaniu z naszymi, a tém bardziej rosyjskimi. Anglik buduje fabrykę przedewszystkiém fundamentalnie, nie żałując czasu i pieniędzy na najnowsze wynalazki w tém przekonaniu, że ta fabryka przejdzie z czasem na jego synów i wnuków, gdy tymczasem w Rosyi rzecz ma się wprost przeciwnie. Tam dotąd w ogóle istnieje system kułacki, aby w jak najkrótszym czasie jak największe osiągnąć zyski, dla tego też nikt nie dba o warunki sanitarne. Większość tkalni, przędzalni, farbiarni i t. p. to istne jaskinie, w których pracować może tylko rosyjski robotnik, mający świeże jeszcze tradycje niewoli (krjapostniczestwa).

Dosyć jeszcze powszechne jest u nas mniemanie jakoby rolnictwo angielskie, lubo w wysokiej kulturze będące, w ogólnej jednak wytwórczości Anglii podrzędniejsze zajmowało miejsce. Że zatem produkcyja rolna tego kraju stanowi zaledwie cząstkę tego, co spożywa-

ją Anglicy. Tymczasem statystyka i dokumenty urzędowe wykazują, że tak nie jest, bo wytwórczość rolna Anglii zajmuje pierwsze miejsce i znacznie przewyższa ogólny wywóz angielski.

James Caird, prezes towarzystwa statystycznego w Londynie, w znakomitęm swém dziele „The landed interest“ oblicza wytwórczość W. Brytanii i Irlandyi w następującej ilości, którą spróbujemy ustosunkować do powierzchni kraju i liczby mieszkańców:

	h e k t o l i t r ó w	na jeden kilom. □	na jednego mieszkań.
pszenicy	32,000,000	102	0,90
jęczmienia	30,000,000	95	0,83
owsa	64,000,000	204	1,77
grochu i bobu	9,000,000	29	0,25
kartofli	95,000,000	302	2,67
razem	230,000,000	732	6,42

Podług „Statistical abstract of the United kingdom“ znajdowało się pod uprawą:

zboża	10,320,000	akrów
kartofli, turnipsu	14,700,000	„
łąk	25,300,000	„
razem	50,320,000	akrów

Z powyższego widzimy, że łąki zajmują większy obszar ziemi aniżeli wszelkie inne rośliny i to właśnie powoduje wielką chodowlę inwentarza, i tak liczono w Anglii 1883 r.:

	s z t u k	na jeden kilom. □	na 100 mieszkań.
koni	2,900,000	9	8
bydła rogatego	10,090,000	32	28
owiec	28,300,000	90	78
świń	3,980,000	12	11
razem	45,270,000	143	125

Licząc podług cen angielskich konia średnio po 250 rs., bydło rogate po 125 rs., owce po 12 rs., a świnie po 25 rubli, wartość inwentarza angielskiego dosięga olbrzymiej sumy 2,425,000,000 rubli, czyli 67 rubli na jednego mieszkańca. W porównaniu z Francją ilość inwentarza w Anglii znakomicie jest większą, bo opierając się na liczbach podanych przez p. Armanda Lalande, ekonomistę i deputowanego, a uwzględnwszy rozległość, okaże się we Francyi brak:

koni	1,950,000	sztuk
bydła rogatego	2,508,000	„
owiec	25,000,000	„
świń	1,000,000	„
razem	30,458,000	sztuk.

Co się tyczy konsumpcji mięsa to Anglia spożywa rocznie:

mięsa własnego	615,000,000 kilogr. za	87,000,000 Ł.
„ przywiezion.	160,000,000 „	22,050,000 „
razem	775,000,000 kilogr. za	109,050,000 Ł.

czyli każdy Anglik spożywa rocznie mięsa 21 kilogr. za 19 rubli. W ogóle wytwórczość rolną Caird oblicza na 300 mil. Ł., czyli 6,019 rubli na 1 kilom. □, a 52 rs. 50 kop. na jednego mieszkańca. Gdyby Królestwo Polskie miało równą kulturę, to wytwórczość nasza rolna, przyjmując za podstawę rozległość kraju, osiągnęłaby sumy 777 mil. rs., uwzględniając liczbę ludności, 400 mil. rubli rocznie.

Pracą około roli zajętych było w Anglii w 1881 r. 1,500,361 osób, czyli 4,3 % ogólnej liczby mieszkańców.

W ostatnich czasach następujące ważniejsze dzieła z zakresu ekonomiki opuściły prasę drukarską:

Birnbaum H. „Der Chech.“ Köln, str. 38.

Brecht T. „Reform-nicht Revolution. Nüchterne Vorschläge e. Reform der Arbeiterverhältnisse.“ Stuttgart (str. III, 71).

Goldwährung u. Valutaregulierung in Oesterreich-Ungarn. Wien, str. 45.

Gumpłowicz L. „Grundriss der Sociologie.“ Wien, str. VI i 246.

Scherr J. „Die Nihilisten.“ Leipzig, str. 224.

Sociale Zeitfragen. „Eine Sammlung v. gemeinverständl. Aufsätzen Hrsg. von E. Hinrich-Lehnsmann.“ 1—8 Heft.

Block M. „Dictionnaire de l'administration française. Supplément général: 1878—1884.“ Nancy, str. 450 à 2 col.

France D. „La loi sur l'enseignement primaire.“ Tarbes, str. 23.

Morley J. „La Vie de Richard Cobden.“ Paris, str. XXX i 438.

De Mun. „La question ouvrière.“ Louvain, str. 80.

Ely R. T. „Recent American socialism.“ Baltimore, str. 74.

Hill D. J. „Principles and fallacies of socialism.“ New York, str. 96.

Stepniak „Russia under the Tzars.“ London, 2 vol., str. 560.

„Annuario statistico italiano, anno 1884.“ Roma, str. XII i 753.

Colajanni N. „Socialismo e sociologia criminale. I. Il socialismo; appunti.“ Cattania, str. VIII i 396.

Morpurgo E. „La democrazia e la scuola.“ Torino, str. 300.

Pisałem 12 sierpnia 188 r.

F. Fendi.

POJĘCIE PRZYCZYNOWOŚCI

w „Systemie Logiki dedukcyjnej i indukcyjnej“

J. St. Mill^a *).

PRZEZ

Aleksandra D-ra Raciborskiego.

W dalszym rozbiórce zajmującego nas przedmiotu, następcza się kwestya następująca: czy przyczyna może choćby na chwilę poprzedzić skutek?

Mill odpowiada na to pytanie w tych słowach: „Badanie: czy jest nieodzownie potrzebném, żeby przyczyna czyli połączenie warunków, poprzedzała choćby o najkrótszą chwilę powstanie skutku, nie ma znaczenia dla naszego celu. Są niezawodnie wypadki, w których skutek następuje bez żadnej przerwy, dostrzegalnej przez nasze zmysły; jeżeli zaś jest jaka przerwa, to nie możemy orzec, ile pośredniczących, niedostrzegalnych dla nas ogniów, rzeczywiście ją wypełnia“ ¹⁾. Mill mówi o téj kwestyi w sposób wymijający, chociaż ona jest właśnie dla teorii poznania nadzwyczaj ważną; bliższy bowiem rozbiór tego pytania, chociażby nie rozwiązał całości zagadnienia, doprowadziłby przynajmniej do jasnego sformułowania innego znów pytania, mianowicie kwestyi co do przedmiotowego znaczenia pojęcia łączności przyczynowej, którą, wiedzeni pewną aprioryczną skłonnością ducha naszego, upatrujemy w niektórych zjawiskach następujących po sobie. I tu znówu mówi Mill o wypadkach, w których skutek tak szybko następuje po przyczynie, że nie możemy dostrzec chwili, dzielącej go od niej.

Zwrot ten każe się domyślać, że Mill przypuszcza istnienie takich wypadków, gdzie możnaby dostrzedz tę chwilę. W następującym zwro-

*) Ciąg dalszy—patrz zeszyt za m. sierpień r. b.

¹⁾ B. III, Chap. V, § 8, str. 397.

cie tegoż samego zdania wspomina znowu — na wypadek gdyby taki odstęp czasowy istniał — o jakichś ogniwach, stanowiących przejście od przyczyny do skutku. W ogóle wyraża się tu Mill chwiejnie, gdzie właściwie samo logiczne myślenie powinno było usunąć wszelką wątpliwość w zapatrywaniach i wszelką chwiejność w wyrażaniach. Przypuszczenie jakichś łączników, jakichś stopni przejściowych między przyczyną a skutkiem jest tylko zagmatwaniem pytania. Szeregi bowiem tych stopni przejściowych muszą być znowu tylko szeregami przyczyn i skutków; chyba że chcielibyśmy przypuścić istnienie jakiej chwili czasu, dzielącej pewną przyczynę od jej skutku, zapełnionej przejściowemi stopniami, nie zostającymi w przyczynowej łączności, ani względnie do siebie, ani też względnie do przyczyny i skutku, między którymi mają pośredniczyć. Pomysł to nielogiczny. Pozostaje więc tylko przypuszczenie, że pomiędzy pewną znaną przyczyną, a pewnym znanym skutkiem istnieje jakaś chwila czasu, zapełniona niedostrzegalnemi dla naszych władz spostrzegawczych, przejściowemi stopniami, z których pierwszy jest bezpośrednim skutkiem owej znaniej przyczyny, sam zaś jest bezpośrednią przyczyną następującego po nim stopnia i tak dalej, aż dojdziemy do ostatniego z tych przejściowych stopni, który, będąc sam skutkiem przedostatniego stopnia, jest bezpośrednią przyczyną owego znanego skutku, przy którym postawiliśmy pytanie: czy dzieli go jakaś chwila czasu od pewnej znaniej nam przyczyny. W takim jednak razie odsunęliśmy tylko pytanie, musimy bowiem pytać dalej: czy te przypuszczone, dla nas niedostrzegalne, przejściowemi szeregami być mające przyczyny i skutki, następują po sobie bez żadnych oddzielających przerw czasowych, czy też przeciwnie są jakieś chwile czasu, dzielące każdą z tych przyczyn od następującego po niej skutku? Powrócilibyśmy więc do dawnego pytania! Cała ta długa droga byłaby zbyteczna, gdyby Mill, trzymając się ściśle wyrazów, przez przyczynę i skutek rozumiał bezpośrednią przyczynę i bezpośredni skutek. Takiego rozumienia domaga się już samo pytanie: czy między przyczyną a skutkiem upływa jakaś chwila czasu? Pytanie to ma pewne tylko wtedy znaczenie, jeżeli chodzi o bezpośrednią przyczynę i bezpośredni skutek, ponieważ, jeźlibyśmy dopuszczali jakiegokolwiek bezpośrednie przyczyny i skutki, to już przez to samo zaznaczamy, że pośrednie te przyczyny i skutki zająć musiały pewien ustęp czasu — pytanie zatem zbyteczne! — chyba że przypuścilibyśmy jakiś bezzczasowy, żadnej chwili czasu nie zajmujący, pośredniczący szereg przyczyn i skutków! O bezpodstawności, a raczej o bezmyślności takiego przypuszczenia mówić nie potrzebuję. Powróćmy więc do pierwotnego pytania: Czy po przyczynie następuje skutek, bez upływu żadnej chwili czasu, czy też jakaś chwila upływa między przyczyną a skutkiem? ¹⁾ Na to odpowiadamy: po przyczynie następuje zdziałany przez nią skutek, bez upływu żadnej

¹⁾ Pytanie to rozbiera także Wundt: Logik. Tom I, str. 237, do 544.

chwili czasu! Przypuściwszy bowiem, że między podziałaniem przyczyny a skutkiem, jaki to podziałanie wywołuje, upływa jakaś chwila czasu, w takim razie jest to podziałanie z początkiem owéj chwili bezskuteczne. Cóż czyni je po upływie téj chwili skuteczném? Cóż nadaje podziałaniu przyczyny po upływie owéj chwili moc działającą? Co wpływa na długość téj chwili czasu? Czy długość téj chwili jest niezmienna, czy téż zmienia się stosownie do okoliczności? Czy, aby to wszystko wytłómaczyć, należy przypuszczać znowu jakąś nową przyczynę? czy téż znowu jakiś szereg pośredniczących przejściowych stopni działania? Przypuszczanie atoli takich stopni, jak wiemy, do niczego nie doprowadza, i jest przy ściśłym wyrażaniu się zbyteczne. Jeżeliby więc z początkiem owéj chwili, mającej dzielić przyczynę od skutku, podziałanie przyczyny mogło być bezskuteczne, byłoby ono bezskuteczne i z wpływem jéj, a skutek byłby w takim razie po upływie owéj chwili bezprzyczynowy.

Takie jest jedynie logiczne, jedynie właściwe znaczenie i rozwiązanie tego pytania, które Mill uważa za mało ważne, którego rozwiązanie pozostawia w zawieszeniu, zadawalając się naiwném stwierdzeniem téj prawdy że „w żadnym razie skutek nie poprzedza przyczyny“¹⁾

Zadowolenie się takim rozwiązaniem kwestyi robi wrażenie tém komiczniejsze, gdy sobie przypomnimy sposób, w jaki Mill pojmuje przyczynowość. Mill utożsamia to pojęcie z prostą jednostajnością następstwa: „Nieodmiennie poprzedzające zjawisko nazywamy przyczyną, nieodmiennie następujące skutkiem.“

W obec takiego określenia, nie potrzeba rozwodzić się nad tém, że „jeżeli wątpimy, które z dwóch współistniejących zjawisk jest przyczyną a które skutkiem, słusznie uważamy pytanie jako rozwiązane, jeżeli możemy orzec, które z nich poprzedziło drugie“²⁾. Stosownie więc do powyższych określeń przyczyny i skutku, całe rozwiązanie tego pytania, polegałoby na tém tylko, że poprzedzające zjawisko na zwali byś my „przyczyną“ następujące zaś „skutkiem.“ Że do takiego wyniku doprowadza w ten sposób pojęta przyczynowość, zdaje się Mill sam uznawać, zaraz bowiem w następującym paragrafie³⁾, mówiąc o tém, że odnosimy pewne skutki do działania ciał kosmicznych, że uważamy jako przyczyny pewnych zjawisk rozmaite siły np. ogólne ciśnienie, ciepło, światło, magnetyzm, że wreszcie rozróżniamy rozmaite własności ciał i t. p., odzywa się nakoniec w te słowa: „...mówimy zazwyczaj, że każdy odrębny rodzaj skutku, powstaje z odrębnej własności przyczyny... są to jednak tylko słowa, które nic nie tłómaczą i nic nie dodają do naszej znajomości przedmiotu, ale uważane jako oderwane nazwy, oznaczające związek pomiędzy rozmaitemi wy-

1) B. III, Chap. V, § 7, str. 397.

2) Tamże.

3) 8-mym, rozdziału V-go, księgi III-oiej.

tworzonemi skutkami i przedmiotem, który je wytwarza, są potężnym środkiem do skrócenia i przyspieszenia przebiegu myślenia...“¹⁾).

W ustępie tym mieści się zaprzeczenie pojęciu przyczynowości wszelkiego przedmiotowego znaczenia, tkwi w nim pewien rodzaj nominalizmu i to wypowiedzianego w sposób bardzo skrajny. W żadnym razie nie pojmujemy, w jaki sposób Mill, odmówiwszy przedmiotowego znaczenia naszemu pojęciu przyczynowości, które jest u niego tożsame z jednostajnością biegu przyrody, mógł o kilka wierszy dalej, wypowiedzieć z całą pewnością zdanie, że gdyby się raz tylko powtórzył stan całego wszechświata, powtórzyłyby się po nim, tym samym i nie odmiennym porządkiem, wszystkie przyrodnicze i dziejowe zdarzenia tak jak już raz się były dokonały.

Skąd tu znowu tak silne przekonanie, że naszemu w tój mierze zapatrywaniu, odpowiadałby tok zdarzeń w całym wszechświecie?! Skąd tak stanowcze nadanie przedmiotowego znaczenia naszemu pojęciu o przyczynowém powiązaniu wszystkich zmian w całym wszechświecie?!

Wskazując na trudności, na jakie naraża Milla powyższe nominalistyczne zdanie, w obec innych zdań, które przedtém wypowiedział o znaczeniu naszego pojęcia przyczynowości, chciałem tylko dać nowy dowód, jak trudno mu uniknąć sprzeczności. Oparłszy teorią poznania na ściśle i bezwzględnie przeprowadzonym empiryzmie, jak to uczynił Mill, nie śmiałbym jednak występować bezwzględnie przeciw pewnemu ograniczeniu przenoszenia naszych pojęć o łączności przyczynowej następujących po sobie zjawisk, na stosunki zewnętrznego świata, mianowicie o ile to przenoszenie tyczyłoby się ukrytj przed nami istoty rzeczy.

Podjmując przerwane na chwilę moje wywody, wyjaśnię zapatrywanie nasze w tój sprawie. Skończyłem na stwierdzeniu logicznj konieczności uznania natychmiastowego, żadną, choćby najdrobniejszą chwilą czasu nie oddzielonego następowania po przyczynie skutku, wytworzonego jój podziałaniem. Ponieważ zaś, jak nas o tём codziennie poucza doświadczenie, szeregi zjawisk, które pojmujemy jako łańcuchy skutków i przyczyn poruszają się w czasie, czyli innemi słowami, ponieważ trwanie, ponieważ czasowość, jest jedną z ich głównych właściwości, przeto tём co w nich jest trwającóm, czasowém, co czas wjałmuje, są właśnie same przyczyny i skutki, one są ogniwami tego łańcucha; przejścia bowiem od przyczyn do skutków są natychmiastowe, nie mają żadnego trwania, są bezczasowe. Jakże mamy sobie przedstawić te przyczyny i skutki, trwające przez pewną chwilę, mimo to jednak bezczasowo w siebie przechodzące? Czy w tym łańcuchu przyczyn i skutków powstałe zjawisko, będące wynikiem pewnych zjawisk, które je poprzedziły, a przyczyną innych zjawisk, które po nim następują, pozostaje niezienne od chwili swego pojawienia

¹⁾ B. III, Chap. V, § str. 8, 398.

się jako skutek, aż do chwili działania jako przyczyna, czy też się zmienia? Jeżeli przypuścimy, że się nie zmienia, pozostaje do wytłómaczenia, dlaczego natychmiast nie wywołuje następującego po nim skutku, jeżeli od pierwszej chwili swego powstania jest już uposażone we wszystko, co je ku temu uzdolnia? Jeżeli nie wywołało skutku natychmiast, co pobudza je do wywołania tegoż skutku po chwili przetrwania w niezmiennym stanie? czy może jakaś nowa przyczyna, pobudzająca do działania tę świeżo, jako skutek, wyłonioną przyczynę?

Popadliśmy tu w dowolne wplatanie nowych ogniw w nasz łańcuch przyczyn i skutków! Nie pozostaje więc nic innego jak tylko, przypuszczenie natychmiastowego działania każdej przyczyny i wytwarzania bez wpływu choćby najdrobniejszej chwili czasu następującego po niej skutku, który w beczasowym przejściu działa jako przyczyna, wytwarzająca następujący po niej skutek! Ponieważ zaś te wszystkie natychmiastowe, beczasowe przejścia, również beczasowych przyczyn, nie mogą utworzyć czasowego trwania, tak jak nieskończona ilość zer nie może utworzyć jakiejś liczby, lub nie skończona ilość matematycznych punktów nie może utworzyć linii lub bryły, dochodzimy więc w drodze logicznego rozumowania do przypuszczenia beczasowego szeregu przyczyn i skutków! ¹⁾ Dochodzimy więc do pomysłu, któryśmy już raz jako bezmyślny nacechowali, do pomysłu, któremu sprzeciwia się codzienne doświadczenie, wszędzie bowiem spotykamy się z szeregami przyczyn i skutków, zajmujących pewne okresy czasu, — innych nawet szeregów przyczyn i skutków wcale nie znamy! Wyjścia z tych sprzeczności nie otworzy nam nawet użytkowanie pojęcia nieskończoności, którym równie chętnie jak matematycy, posługują się także filozofowie i fizycy, nadużywający go często i zastępujący nieraz brak rzeczywistego wytłómaczenia zjawiska jakiegoś przebiegu, brak jasnej myśli, dogodnym słowem, ciesząc się nim i wysoko je ceniąc. Dla wytłómaczenia łączności przyczynowej, a przytem dla usunięcia sprzeczności, na które wskazałem, potrzebaby chyba przypuścić, że każdy szereg przyczynowo połączonych zjawisk, składa się z nieskończonej ilości nieskończenie krótko trwających i nieskończenie drobnych zmian, z których każda poprzedzająca zachowuje się do następującej jako przyczyna do skutku, t. j. że każda poprzedzająca, wytwarza następującą, tak, że gdyby nie istniała poprzedzająca, nie byłoby też następującej. Tłómaczenie jednak takie uważam tylko za pozorne: przedewszystkiem dla tego, że pojęcie nieskończonej małości uznaję wyłącznie tylko w matematyce jako uprawnione i mające pewne przedmiotowe znaczenie. Przeczę, jakoby w rzeczywistym świecie istnieć mogły nieskończenie małe, a jednak jeszcze działające natężenia sił, nieskończenie małe a jednak

¹⁾ Myśl taką znajdujemy już u Hume'a: *Treatise on human nature*. B. I, part III, section II, mianowicie: w środkowej części tego ustępu.

jeszcze odrębne stopnie w jakimś przejściu, nieskończenie małe, a jednak jeszcze wyróżniające się i odrębne od siebie przyczyny i skutki. W rzeczywistym świecie istnieje tylko ciągłość taka, jaką nam przedstawia czas i przestrzeń, ciągłość, której uznanie jedynie chroni od sprzeczności, ciągłość, która jedynie umożliwia matematykę; albo też istnieją w nim tylko pewne, jakkolwiek bardzo małe, ale zawsze skończenie małe, odrębne od siebie wielkości. Zresztą przypuszczenie przyczyn i skutków, trwających wprawdzie nieskończenie krótko, ale zawsze jeszcze pewną chwilę czasu, nie usuwa powyżej przytoczonych logicznych trudności. Chcąc je usunąć, musimy wraz z ciągłością czasu i przestrzeni przypuścić także ciągłość owych szeregów zmian, o których powiadamy, że są ze sobą przyczynowo połączone ¹⁾. Jeżeli więc tam, gdzie mówimy o odrębnych zjawiskach, o odrębnych przyczynach i skutkach, zamiast rozdzielności (Discretheit), istnieje rzeczywiście tylko ściśła ciągłość (strenge Stetigkeit), wtedy znika także odrębność przyczyn i skutków. Usunąwszy zaś z rzeczywistego przedmiotowego świata tę odrębność przyczyn i skutków, jakżeż w nim utrzymać przyczynową łączność? A jednak sędzę, że mimo to, nie ma sprzeczności w przyznawaniu przedmiotowego znaczenia naszemu pojęciu o przyczynowości, w połączeniu następujących po sobie zmian w otaczającym nas świecie ²⁾. Przyczynowość bowiem oznaczać może w takim razie pewien rodzaj połączenia i działania następujących po sobie zjawisk, które nam się przedstawiają jako rozdzielne szeregi, (discrete Reihen), jakkolwiek w istocie są one tylko ciągłą zmianą (ein stetiger Wechsel). Nazwy: przyczyna i skutek, są tylko temi wytycznymi punktami, które obieramy odpowiednio do właściwości naszych władz spostrzegania

¹⁾ Myśl tę wypowiedział bardzo stanowczo już Kant: Kritik der reinen Vernunft, str. 218, 221, 222, później Riemann: Gesammelte Werke, str. 490 i Venn: Logic of chance. Chap. IX, str. 224, wyd. 2. Na nich też powołując się, przyjmuje ją także i Riehl: Causalität und Identität (Vierteljahrschrift f. wiss. Phil. I, 1877, str. 375, 376, 377, 378, 381, 382).

²⁾ W tym względzie powiada Riehl: „Glücklicher Weise jedoch, oder wie wir lieber sagen würden, aus einem uns nicht näher erkennbaren metaphysischen Grunde, stimmen die allgemeinen Thatsachen der Natur mit den logischen Annahmen, die wir zum Zwecke ihres Begreifens machen müssen, überein und auf dieser Uebereinstimmung allein, nicht aber auf einer Apriorität der causalen Begriffe gründet sich die objective Giltigkeit der letzteren“. „Der Zusammenhang der Dinge, gleichsam die Art wie die Natur folgert und die logische Verbindung der Begriffe entsprechen sich. Unser Verstand ist so zu sagen das Gegenstück der Natur; auf dieser Correlation, die überall auf eine tiefere, aber für uns transcendente Einheit hindeutet, beruht die Möglichkeit, unser Causalitätsbedürfniss, dem das Princip des Denkens die Identität, die Norm giebt, zu befriedigen“. (Causalität und Identität. Vierteljahrs. f. wiss. Phil. I, 1877, str. 383, 384).

i które nam ułatwiają oznaczanie szeregów zmian, w istocie rzeczy ciągłych, dla nas zaś rozdzielnych.

Nazwy: przyczyna i skutek i odpowiadające im pojęcia, są dla filozofa tém samym, czém są dla fizyka ostoje sił (Kraftmomente) i niedziałki, (Atome), czém są wreszcie dla matematyka linie o nieskończeniu drobnych załamach, zastępujące w rachunku linie o ciągłej krzywiznie (stetige Krümmung) i w ogóle nieskończenie małe ilości, które często dopiero umożliwiają przeprowadzenie rachunku. Ta jednak zachodzi ważna różnica pomiędzy znaczeniem pojęcia nieskończonej małości w matematyce a témże samym pojęciem w fizyce, że w matematyce jest ono środkiem do oznaczania i wymierzania stosunków przestrzennych, w fizyce zaś, jeżeli przestaje być przypuszczeniem, ułatwiającém rachunek, staje się przez błędne nadawanie mu rzeczywistości, (eine falsche Hipostasirung) podstawą również błędnych pojęć o istocie materji, ztąd też staje się punktem wyjścia dla metafizycznych spekulacji o ustroju całego wszechświata, odpowiadającym takiej istocie materji. Jak rozmaite w dążnościach swych i sprzeczne w ostatecznych wynikach mogą być takie spekulacje, dowodzi z jednej strony teoria atomistyczna ¹⁾ z materjalizmem, który się na nię najchętniej opierał od czasów Stratona aż do Büchnera, z drugiej zaś strony systemy filozoficzne, opierające się na monadologii z Leibnizem na czele. Przyczyną, dla której materjaliści chwytają się tak chętnie atomistyki, spirytualiści zaś monadologii, jest ta okoliczność, że teorie te ułatwiają wytlómaczenie porządku świata, odpowiadającego naszym władzom poznawania. Okoliczność ta jest mianowicie ważna dla materjalizmu, który—jak mniema Lange, stoi lub upada z pewnością o możliwości pojęcia świata (Axiom von der Begreifbarkeit der Welt). Wzmianką tą jednak nie myślę rozstrzygać trudnego pytania: czy ciągłości przestrzeni i czasu, którą tu przyjmuję, odpowiada także ciągłość materji, tudzież ciągłość działania jawiących się nieodłącznie od nię sił, jakkolwiek przyznaję, że teorie, tłómaczące istotę i wewnętrzny ustroj materji w sposób nie-atomistyczny wicęjby odpowiadały i zgodniejszeby były z mojm powyższem zapatrywaniem na istotę przyczynowości. Pytanie to zaznaczam tylko, nie rozwiązując go w téj chwili. Łączność przyczynową zjawisk można pojąć bez narażenia się na popełnienie sprzeczności logicznych, jeżeli przyjmujemy ciągłość przestrzeni czasu i ciągłość działania sił przyrody, co znowu godziłoby się bardzo dobrze z przypuszczeniem także ciągłości materji ²⁾.

¹⁾ Obszerniej pisałem o niej w pracy p. t.: „Etyka“ Spinozy, krytycznie rozebrana i z towarzyszym Materjalizmem zestawiona. Lwów, 1882.

²⁾ Światło na dynamiczny sposób pojmowania materji mogą rzucić następujące prace: Fechner: In Sachen der Atomistik. (Zeitschrift für Philosophie und philosophische Kritik, 1857, tom. 30).—George: Kritik der bisherigen Theorien der Materie. (Zeitschrift für Phil. und phil. Kritik.

To zapatrywanie na ciągłość łączności przyczynowej w jakimś szeregu zjawisk będę się starał uwydatnić i niejako uzmysłowić przez porównanie. Oto weźmy namagnetyzowaną sztabę żelaza: w jakimkolwiek miejscu ją przełamiemy, wszędzie okaże się, że jeden z końców ze złamania powstałych jest dodatnio, drugi zaś ujemnie magnetyczny. Podobnie w przyczynowo połączonym szeregu zjawisk; gdziekolwiek w tym szeregu zmian nasza badawcza uwaga się zatrzyma wszędzie każda, choćby najdrobniejsza zmiana przeszła okaże się być przyczyną, bezpośrednio zaś po niej następująca okaże się być jej skutkiem. Podobnie jak w magnetyzowanej sztabie, zmiana miejsca złomu nie zmienia powyżej wzmiankowanego zachowania się obu końców, tak też w szeregu przyczynowo połączonych zjawisk, nie ma żadnego zjawiska, ani też żadnego przejściowego stanu w témże zjawisku, gdzie możnaby schwycić pewną stałą granicę między jakąś bezwzględną „Przyczyną“ a jakimś bezwzględnym „Skutkiem“¹⁾.

Przyczyna i skutek mają dla filozofa, podobnie jak nieskończona małość dla matematyka i fizyka, tylko znaczenie ułatwiające rozpoznanie toku zdarzeń i wskazujące niejako—że się tak wyrażę—kierunek ich postępu²⁾. Odmawiając poniekąd w ten sposób przedmiotowe znaczenia pojęciom przyczyny i skutku, sądzę jednak, że pojęcie przyczynowej łączności zachowuje o tyle przedmiotowe znaczenie, o ile rozumiemy przez tę przyczynową łączność pewną konieczność, a co więcej: pewną prawidłowość następstw. O ile w ten sposób pojmując przyczynową łączność, nie jesteśmy w błędzie, przekonywa nas znana możliwość sprowadzania z mniej lub więcej przewidzieć się dającą dokładnością, pewnych skutków, wprawivszy w grę działanie pewnych przyczyn. Działanie wielu przyczyn da się nawet ująć w rachunek, tak, że można skutek do pewnego stopnia dokładnie obliczyć. A jakkolwiek nie śmiałbym wraz z Millem utrzymywać „że wszystkie przyczyny działają podług praw matematycznych“, zaznaczyć jednak muszę, że poucza nas o pewnej prawidłowości w tej mierze, cały postęp nauk przyrodniczych i cechująca obecne usiłowania naukowe ogólna dążność do objęcia rachunkiem dzia-

Tom. 29, 1856.).— George: Zeit, Ort, Bewegung und Agregatzustände. (tamże, Tom 31).—Lange: Geschichte des Materialismus. (Tom II, str. 193 do 207).—Schaller: Zur Kritik des Atomismus. Zeitschrift für Phil. 1857, Tom 31). —Drossbach: Ueber die Wahrnehmung und das sich aus ihr ergebende Verhältniss von Kraft und Stoff (tamże Tom 45.). — Hartmann, Philosophie des Unbewussten. (Tom II, str. 99 do 106).

¹⁾ Podobną myśl wyraża także Carrau: Le dualisme de Stuart Mill. (Revue philosophique. Tom VIII. 1879, str. 153).

²⁾ Prawo przyczynowości i prawo jednostajności przyrody nazywa Benno Kohn „bloss Leitfäden“, „formaler Leitfaden“, „Postulat“. (Untersuchungen über das Causalproblem auf dem Boden einer Kritik der einschlägigen Lehren J. St. Mills. str. 67, 72, 75).

łania przyczyn, nawet w dziedzinie objawów psychicznych i społecznych. Gdzie jednak (stosownie do „niefilozoficznego“, jak powiada Mill, sposobu wyrażania się) „przyczyna“ i „skutek“ występują jako jakieś rzeczywistione istoty, (hypostastische Wesen); rzekłbym niemal osoby z ciałem i krwią, tam wszędzie istnieje w filozoficznem rozumieniu, przyczynowa łączność w szeregu ciągłej zmiany (in einer Reihe stetigen Wechsels). Sama jednostajność następstwa, oparta na przypuszczeniu wytwarzania zjawisk następujących przez zjawiska poprzedzające, nie tłumaczyłaby konieczności takiego następstwa, nie dałaby nam owój pewności—o której Mill pisze— że gdyby się raz tylko powtórzył jakikolwiek miniony już stan całego wszechświata, powtórzyłyby się także wszystkie zdarzenia, które po owym stanie następowały; śmiało też rzec można, że owa ogólność i konieczność prawa przyczynowości, w które Mill „wierzy“, o którym jest „przekonany“, że jest stanowczym i rażącym odstępstwem od empirystycznych podstaw jego teorii poznania, samo doświadczenie bowiem nie może nas wyprowadzić poza stwierdzenie jednostajności następstwa w pewnej ograniczonej liczbie znanych wypadków.

Poddawszy rozbirowi zapatrywanie się Milla na pojęcie przyczynowości, powróćmy raz jeszcze do sposobu, w jaki on te zapatrywania swoje uzasadnić i wyłącznie na doświadczeniu oprzeć usiłuje; poznajmy rozdział XXI księgi III, p. t. „O dowodzie prawa ogólnej przyczynowości“, na który Mill powoływał się, ile razy potrzeba było wskazać na ostateczne podstawy twierdzeń, które wypowiadał ¹⁾. Już przy rozbirozie rozdziału III zapowiedziałem, że ostatecznych dowodów spodziewać nam się należy w rozdziale XXI. Z pewnym też zdziwieniem spostrzegamy, że w rozdziale XXI, powtarza się najzupełniej tok myśli rozdziału III. W obu tych rozdziałach znajdujemy powołanie się jako na ostateczne usprawiedliwienie całego sposobu rozumowania, na odrębną teorią syllogizmu, którą Mill w księdze II rozwinął. Zadziwiający wreszcie wrażenie sprawia ta okoliczność, że Mill tak jak się w rozdziale III powoływał na rozdział XXI, tak znowu w rozdziale XXI powołuje się na rozdział III.

Na wstępie rozdziału XXI stwierdza Mill, że „ważność wszystkich indukcyjnych metod zależy od przypuszczenia, że każde zdarzenie czyli początek każdego zjawiska, musi mieć jakąś przyczynę, coś poprzedzającego, po czém nieodmiennie i bezwarunkowo następuje. Ogólność prawa przyczynowości przypuszczamy we wszystkich indukcyjnych metodach. Ale czyż przypuszczenie to jest uzasadnione?—rzucą sam Mill pytanie— „...Jeżeli bowiem postępowanie, które przydziela pewne wypadki do tego samego działu wraz z innemi, wymaga

¹⁾ W rozdziale III, księgi III, „O podstawie indukcji“ w § 1, str. 358 i w § 2, str. 361. Prócz tego zaś w § 1, str. 356 powołał się tam Mill słowami: „jak to już widzieliśmy“ na swoją teorią syllogizmu.

przyjęcia ogólności tego samego prawa, które na pierwszy rzut oka nie zdaje się do nich stosować, czyż nie jest to *petitio principii*? czy możemy uzasadnić jakieś twierdzenie dowodem, który je uważa jako pewne? ¹⁾

Pomimo tak śmiałego i jasnego wypowiedzenia zarzutu, jaki tu tak słusznie wskazać można, nie zdołał go Mill odeprzeć ani nawet osłabić ²⁾ w § 2-im bowiem tegoż rozdziału, powoławszy się znowu na rozdział III, utrzymuje, że opierając jedne indukcyje na drugich i dochodząc w ten sposób do coraz obszerniejszych uogólnień i dalej sięgających praw, dochodzi się nareszcie do najogólniejszego prawa powszechnej przyczynowości, której ostateczną podstawą okazuje się być indukcyja per enumerationem simplicem. Sprzeczność—zdaniem Milla—jest tu tylko pozorna. Gdyby bowiem, indukcyja przez proste wyliczenie była nieważnym postępowaniem, żadne postępowanie, oparte na niej nie mogłoby być ważne, zupełnie tak jak nie moglibyśmy pokładać zaufania w teleskopach, gdybyśmy nie mogli zawierzyć naszym oczom. Ale chociaż indukcyja taka jest postępowaniem uprawnionem, jest ona jednak zawodna i to w bardzo różnych stopniach; jeżeli więc możemy zastąpić więcej zawodną formę tego postępowania działaniem, opartem na tém samym postępowaniu w mniej zawodnej formie, przeprowadziliśmy bardzo ważną poprawę“.

(d. n.).

1) B. III, Chap. XXI, § 1, str. 95, 96.

2) Zarzuca mu to między innemi także Courtney: *The Metaphisios of J. S. Mill*, str. 100 do 107.

KRONIKA PARYZKA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Dzieło p. Fustel de Coulanges, profesora Sorbony: „Recherches sur quelques problêmes d'histoire.—Delegacya francuzka w Peszcie. — Autorka portugalska panna Guiomar Torrezao. — „Penseroso,“ przez panią Edgar Quinet.—Wspomnienia Aresina Houssaye.—Korespondencya poufna Ludwika Veillot. — Biesiada Celtycka w Quimper, pod prezydenoyą Renana. — Dzieło Lucyana Biard o Astekach. — Życie w Chinach, przez p. Daryl. — Henryk Milne Edwards.— Helenista Egger.

Na polu badań historycznych ukazała się w druku nowa praca p. Fustel de Coulanges, profesora Sorbony, pod tytułem: „Recherches sur quelques problêmes d'histoire.“ Uczony profesor poruszył tu kilka ważnych kwestyi ekonomicznych i politycznych, mogących rzucić pewne światło na dawne społeczeństwo nasze w wieku XIV i XV. Wprawdzie p. Fustel de Coulanges nie zajmuje się bezpośrednio światem słowiańskim, gdyż w nowo wydanym tomie jego dzieła, główną rolę odgrywają ludy, które stanowiły starożytną Germanią; ale po owęj Germanii starożytnej tułało się w wielkiej części bardzo wiele ludów słowiańskiego rodu.

Wiadomo, że Słowianie z nad Wisły i Odry od II-go do VI wieku w skutek rewolucyi, których przyczyny nie są dotąd dostatecznie zbadane, zmusili Gotów i inne ludy do migracyi za Odrę a nawet za Elbę, jak to szczegółowo wykazał Szafarzyk a za nim inni uczeni. Fustel de Coulanges, nie trudni się przecież tymi mieszkańcami starożytnej Germanii: on bada Germanów z epoki Cezara i Tacyta. Ten to właśnie peryod Germanii uważali niektórzy uczeni nasi za stanowczy w ustroju społeczeństwa polskiego. Nie możemy się zapuszczać w tém miejscu w rozbiór objawianych na tém polu poglądów, począwszy od Naruszewicza aż do W. A. Maciejowskiego, tłumaczonych różnicę ustroju społecznego mieszkańców Naddnieprza od ustroju okolic nadreńskich—nie przez wpływ prawa magdeburckiego; ale przez owe fakta

etnograficzne z owęj najstarszej epoki dziejów tych krajów, które w historii nazwę Germanów przyjęły; ale nadmieniamy, że jedną z ważniejszych spraw w dziele p. Fustel de Coulanges jest kwestya pojęcia własności.

W sprawozdaniu naszym z poprzednich prac p. Fustel de Coulanges, mianowicie z jego badań nad społeczeństwem Sparty, okazaliśmy, że p. Fustel de Coulanges zbija błędne dotychczasowe mniemanie o komunistycznym ustroju tej republiki greckiej, dowodząc, że wszystkie narody cywilizacji europejskiej miały skłonności fizjologiczno-psychiczne do indywidualizmu, nawet w czasach ruchów czyli tak zwanych migracji przed ostatecznym swym osiedleniem; że ustrój ich komunistyczny, pokazujący się w tém lub w owém pokoleniu, wywołany był tylko przejściowym stanem rzeczy. Aby to zrozumieć, potrzeba stawić te ludy obok plemion prawdziwie pasterskich, u których ustrój równości komunistycznej był stałym i objawia się dotąd w instytucjach wprost przeciwnych cywilizacji europejskiej.

Maciejowski uderzony hipotezą Haxthauzena o podziale Słowian na rolników i na pasterzy w czasach grupowania się ludów przed ich osiedleniem w Europie, wziął charakter pasterski, — komunistyczny za cechę rodową Słowian, gdy tymczasem ludy właściwie germańskie odziedliły się od nich silnym wyrobem indywidualizmu. Podług tej teoryi ustrój indywidualistyczny Słowian nadwiślańskich, naddnieprzańskich i południowych, był skutkiem późniejszych wpływów niemieckich na te ludy.

Pogląd taki stał się prawie synonimem obrony zasad anti-europejskiej cywilizacji. Jakoż w rzeczy samej stronnictwa demokratyczno-socyalne europejskie, mianowicie paryżkie, opierały swe wywody na powadze autora prawodawstw słowiańskich, który widział w urządzeniach komunistycznych najwyższy rozwój społeczeństwa, w indywidualistycznych zaś barbarzyństwo.

Przyszedł wreszcie czas poważniejszej krytyki naukowej. Maciejowski i inni uczeni w wywodach swoich powoływali się na sąd Libuszy; dziś większość uczonych czeskich uznaje w tym pomniku literackim podrobiony apokryt. Co się zaś tycze ustroju ludów germańskich, w których Cezar i Tacyt zdaniem wielu widzieli komunistów, ten punkt najważniejszy w formacji tak germańskiego jak i naszego społeczeństwa, wyjaśnia obszernymi dowodami dzieło pana Fustel de Coulanges.

Jeżeli Naruszewicz tłómaczył Tacyta, bo w nim przeczuwał wyjaśnienie wyrobu społeczeństwa naszego, toé spodziewamy się, że dzieło profesora Sorbony, jako najważniejszy komentarz do owych dzieł Cezara i Tacyta, o ile te dotyczą starożytniej Germanii, znajdą wkrótce tłómacza polskiego. — Przekład takiej pracy uważalibyśmy za pożyteczny, nie tylko dla wyjaśnienia formacji społeczeństwa naszego pod względem czysto naukowym, ale i dla zastosowań praktycznych, dziś

szczególniej, kiedy nowe doktryny ekonomiczne, tak krzywią pojęcia o własności osobistój.

Dzienniki tyle już pisały o wyprawie delegacji francuzkiój, na wystawę do Pesztu, o tych grzmiących Ellienach, jakimi madiarzy przyjmowali znakomite grono akademików, artystów i dziennikarzy, o tych owacyach posuniętych do apoteozy na cześć dramaturgów Coopego i Dreifusa, kompozytorów Deliba i Masseneta, nie mówiąc już o dostojnym prezydencie delegacji Lessepsie; tyle już, powtarzamy, pisano o tém w ostatnich czasach, że musimy pobieźnie tylko zaznaczyć fakt wielkiej doniosłości, w rozwoju stosunków międzynarodowych. Fakt to ważny zapewne dla Madiarów, ale zdaniem naszym, ważniejszy dla paryżan, mieli bowiem sposobność przekonać się, że świat nie zamknięty cały w obrębie bulwarów, że jeśli inne ludy nie sprostały im może w tym lub owym objawie inteligencji, przerosły ich za to o wiele żarem ducha i miłością tradycyi narodowych.

Młody poeta węgierski Abranyi, przyjął gości francuzkich pełną zapału pieśnią — dajemy tu jej przekład:

Wielki narodzi! ty nie masz korony,
Lecz sam koroną przyświecasz nad światem,
Niż dyademem — cudniej uwieczony
Wdziękiem rozumu, myśli majestatem.

Twa nam obecność otuchy udziela,
Rozprasza troskę, pogodę nam wróży,
Bóg ciebie stworzył z uśmiechu wesela,
Jak zorzę ranną stworzył z blasku róży.

Wy nam niesiecie promień waszój chwały,
A my, z miłością mienimy was braćmi.
Nasze serca szczerze ukochały,
Bo nigdy czoła pycha wam nie zaćmi.

Inni wielkością ranią nas i gniotą,
Wy, pohani naprzód szlaki promiennemi,
Podobni słońku, co swą tarozę złotą
Z końca do końca roztacza po ziemi.

My was miłujem gorąco i stale,
Podłem odstępstwem Madjar się nie splami;
Kiedy was losy zdradziły zuchwale,
Świat wam urągał, — my byliśmy zwami.

Ty żyjesz Francyo! ach! daremna trwoga,
Prąd cudotwórczy znów wytryska z ciebie;

Twarda pogromcy ośmieli-ż się noga
Zgnieść jasną gwiazdę błyszczącą na niebie.

A ty, Lirniku twój ziemi ojczystej ¹⁾,
Petoefiego tyś po duchu bratem,
Wasza pobudka, jak grom płomienisty
W jeden chór złana niech pomknie nad światem.

Przyjm od nas wawrzyn z miłością podany,
Drugim uwieńczmy Suezu olbrzyma:
Jak on ramieniem sprzął dwa oceany,
Tak pieśń twa jedność dwóch ludów utrzyma.

Francyo! cześć tobie! w tym świecie schorzałym,
Tyś żywą płonką, co barwy nie zmienia;
Przyświecasz kwiatem ideału białym,
Symbolem wdzięku, zwiastunem z bawienia.

Pierwsza w pochodzie, natohnieniem bogata,
Budzisz narody podzwaniaasz im hasło;
Torujesz drogę — tyś pochodnią świata
Młodością ludów — nadzieją niezgasłą.

Z kilkudniowego pobytu francuzów w Peszcie, najżywiej zajęła nas chwila, kiedy przy gorącym poklasku tłumów, literaci francuzcy ponieśli ze czcią olbrzymi wieniec do posągu Petoefiego, którym słusznie chlubią się madiary, jako najgenialniejszym z liryków narodowych. Franciszek Coppée wypowiedział u stóp posągu kilka pełnych uczucia zwrotek. Przytaczamy je w tłumaczeniu:

Gdy ogrzany płomieniem ciepłego ogniska,
Wędrowiec dom gościnnęj opuszcza rodziny;
Żaloszny, bo godzina odjazdu już bliska,
Kładzie z miłością usta na czoło dzieciny.

Tak my Francuzi, goście szlachetnych madyarów,
Ku tobie pośpieszamy z dłońmi róż pełnemi;
O żołnierzu-poeto! słynny z pieśni czarów,
Coś śpiewał i krew stoczył dla ojczystej ziemi!

Poległeś chlubnie w boju z czołem spromienionem,
Odbierasz hołdy bratnie w spizowym pomniku;
Czyj los z twym bohaterским porówna się skonem?
O! jakże ci zazdroszczę, bracie mój lirniku!

¹⁾ Poemat cały poświęcony Franciszkowi Coppéemu.

Tam, kędyś wstąpił żywo w próg nieśmiertelności,
Gdy padło pod przemocą twoje ramię młode,
Wyrósł krzak dzikiej róży z prochu twoich kości,
Pceto, coś opiewał miłość i swobodę!

Nad tym krzakiem tajemnie dusza twa ulata,
A kiedy z wonnych pączków téj cudownej róży
Kochanek dla kochanki koronę zaplata,
To miłość mu wzajemną i szczęście mu wróży.

A jeśli w noc majową, on lirnik skrzydlaty,
Słowiczek, na cudownej przysiadzie krzewinie,
Pieśń jego z wonią róży uleci nad światy,
I po gwiazdy promienne do niebios popłynie.

Gdy umilkł Coppée, jeden z artystów dramatycznych odczytał wobec tłumów pieśń jego przełożoną na język madiarski przez Abrahama. Przyjęto ją z najwyższym zapalem.

Wdzięczność publiczna za hołd, złożony wielkiemu poecie, objawiła się w dziennikach peszteńskich pełnemi żaru słowy. Między innymi Sandor Telchi podziękował serdecznie francuzkim gościom.

„Nam to głównie przystoi, mówi on, mnie i Jokayowi, dwom pozostałym przyjaciółom Petoefiego, złożyć wam szczerze dzięki za owocną szlachetnie wyprawioną naszemu piewcy narodowemu.

W moim to zamku Kolto, po zawartém małżeństwie z Julią Schendrey, przebył lirnik miesiąc miodowy, tu w téj małej wiosce, jak mówi sam, czuł się poraz pierwszy w życiu szczęśliwy, wielkim niewysłowioném szczęściem! Mam zatem prawo podziękować wam imieniem Petoefiego!

Shczęśliwy lirnik, ciągnie dalej Telchi, nie był świadkiem klęski narodu! Serce jego pękłoby od boleści. Skonał pełen otuchy z wiarą w przyszłość! Widziałem go po raz ostatni w bitwie pod Legeswarem; w kilka godzin potem już nie żył. Mam prawo, powtarzam raz jeszcze, podziękować wam imieniem Sandora Petoefiego.

„Trzydzieści sześć lat upłynęło od dnia bohaterskiej jego śmierci a wy przybywacie do nas; przynosicie z sobą inteligencją francuzką, pierwszą w świecie, za którą muszą iść sami nieprzyjaciele wasi! Przynosicie nam zasady solidarności i braterstwa ludów! Serdeczne przyjęcie nasze odpłacacie równie serdecznym hołdem u posągu tego męczennika, najpopularniejszego poety narodu węgierskiego. Dzięki wam za to, dzięki wam z głębi duszy.“

Po wyjeździe z Pesztu, kiedy goście francuzcy zatrzymali się na stacyi pod miastem Arad, wręczono im dziennik Alföld. Zamieszczony w nim poemacik, przełożono na język francuzki. Zaczyna się tą zwrotką:

Gdzie ty podążasz, wesola drużyno,
 Wysłańcy ziemi przez nas ukochanej?
 Łzy co strumieniem z pod powiek nam płyną
 Świadcami w sercu niezgojonej rany.
 Smętne te miejsca, opuścić tym raczěj
 Którym łni gwiazda na drodze żywota,
 Kto dni przeboleł we łzach i rozpaczy,
 Niech tu przystąpi: to nasza gulgota!

Podróźni zatrzymali się w Arad. Rzecznie opisuje tę wycieczkę jeden z delegatów francuzkich Badin, powtarzamy tu jego słowa skreślone pod świeżem wrażeniem.

„Tłumnie zebrany lud czekał nas koło dworca. Mer miasta Arad powitał nas węgierską mową. Z głębokiego wzruszenia obecnych i powtarzanego raz po raz wyrazu *Golgota madiarska*, łatwo było domyślić się, że mówił o pomniku wzniesionym na cześć trzynastu ofiar egzekwowanych w Arad, 6-go października 1849 roku.

„Zwiedziliśmy ten pomnik, zbudowany w bliskości miasta, wśród pola falującego kukurydzą. Jest to prosta piramida, wsparta na granitowym piedestale; dwanaście wschodów prowadzi do podnóża. Tłum ludu torował nam drogę — liczniejszy tłum oczekiwał nas w miejscu. Weterani z roku 1849 stali poniżej wschodów. Tuż u stóp piramidy, starzec w stroju narodowym trzymał w ręku sztandar pokryty czarną krepą.

Śpiew narodowy rozległ się szeroko na polach, poczem jeden z weteranów wstąpił na wschody odczytał wiersz madiarski. Błade oblicza, łzy tryskające z pod powiek, były dla nas świadectwem że słowa mówcy wyrwane z serca wszystkich są wyrazem powszechnego uczucia. Gdy umilkł, Lesseps wstąpił na wschody, zbyt poruszony, aby wyrzec słowo, ukląkł w milczeniu u stóp piramidy, złożył pod nią garść kwiatów. Wszyscy poszliśmy w ślady za nim.

Z ściśniętém sercem wróciliśmy do miasta.

Zaprawdę, w ciągu tej czarodziejskiej podróży, widzieliśmy wiele rzeczy nadzwyczajnych, doznaliśmy wielu wzruszeń to wzniosłych, to pełnych najmiłszego uroku. Przybycie do Pesztu Dunajem, wycieczka w Karpaty, widok cudnego jeziora Czorba, lodowej groty w Dobczyńie; owacye jakie nas spotykały w miastach Szentes i Szeged, wyrwały się w pamięci naszej niezatartym śladem, ale co najgłębiej poruszyło nam serca, to energia tego rycerskiego ludu, który po trzydziestu sześciu latach zachował tak żywą cześć dla swych poległych bohaterów.“

Rok bieżący odkrył przed oczyma francuzów bogate zasoby intelektualne, ukryte na dwóch przeciwległych krańcach Europy. Kiedy z jednej strony przyjrżeli się madiarom w ich własném gnieździe, z drugiej Portugalia zabłysła im w osobie najznakomitszej swjej au-

torki, panny Guiomar Torrezao. Autorka ta czasowo przebywająca w Paryżu, zajmuje dziś pierwszorzędne stanowisko wśród powieściopisarek swego kraju. Imię jej stało się zarówno popularnym w Portugalii jak i w Brazylii. Wszystkie pisma ilustrowane dały poznać jej portret, dołączony do życiorysu; najsurowsi krytycy rozbiegają każdą jej pracę ze czcią i wysokim uznaniem.

Pracowita pisarka, rozwinęła działalność literacką na każdym niemal polu. Do głównych dzienników i przeglądów pisuje kroniki, nowelle i studia literackie. W teatrze przedstawiono z powodzeniem jej oryginalny dramat p. t. „Miłość córki.“ Przerobiła niemniej dla sceny kilka sztuk francuzkich, a między niemi „Dyonizę“ Dumasa. Od lat kilku wydaje pismo zbiorowe „Noworocznik dla kobiet,“ ze współudziałem najpierszych autorów portugalskich. Wydała przytém kilka tomów „Nowelli;“ z tych dwa zbiory p. t. „Błede róże“ i „Komedia miłości“ szczególną zwróciły uwagę. Główną cechę jej talentu stanowi oryginalność, pełna wdzięku poetycznego. Język jej wytworny, spostrzeżenia trafne, pogląd na życie głęboki: wszystko to połączone z werwą, zaprawne humorystycznym dowcipem.

Wiadomo jak przeważnie literatura francuzka oddziałała w ostatnich czasach na literaturę portugalską. Panna Torrezao nie mogła uniknąć tego wpływu; usiłuje przeciw w ostatnich utworach oddziaływać przeciw naśladownictwu, wprowadzając typy czysto narodowe i opierając się na tradycjach miejscowych. Pierwsze jej powieści zaprawne były idealnym liryzmem. W jednej z nich, najwięcej cenionej, kreśli obraz młodej panienki, która poświęca się dla ukochanego, oddaje rękę innemu i umiera z tęsknoty. W ostatnich nowellach przedstawia życie z mniej idealnej a bardziej rzeczywistej strony. W zbiorze p. t.: „Komedia miłości,“ najwięcej ceniona powiastka: „Dziewczyna grająca na cytrze.“ Biedne to dziewczę przechodzi przez wszystkie szczeble nędzy ludzkiej; po śmierci ojca sama jedna dostarcza chleba licznej rodzinie. Podżegana do złego przez nikczemną matkę, aby ująć hańby odbiera sobie życie. Z prawdziwym talentem autorka maluje scenę przerażającą, kiedy biedaczka czuwa nad łóżem umierającego ojca. W pamięci jej przesuwają się obrazy doznanych upokorzeń i zniewag. Ten konający łazarz nie obdarzył jej nigdy słodkim słowem, ani rodzicielską pieczęcią. Przypomina sobie bolesną chłostę, ilekroć z próżnemi rękami powróciła do domu. A potem rozmyśla, co też i on przecierpieć musiał, on, biedny grajek uliczny, skoro uśmiech nie rozjaśnił nigdy tych ust zwiędłych i posiniałych, skoro nigdy radość nie zabłysła w tém gasnącém już oku! I głęboka litość budzi się nagle w jej sercu; pragnie ocalić go, żyć jedynie dla niego, miłością i poświęceniem osłodzić mu dni pozostałe.

Poraz pierwszy pomyślała nieboga, jak ta grająca skrzynka musiała ciężać ojcu! i czemuż ona nie wzięła jej na własne barki? Odtąd sama nosić ją będzie za nim... Odtąd wypełni każdą wolę starca... Gotowa uśmiechać się do ludzi, udawać wesołą i szczęśliwą! I żyć będą w miłości i pokoju, jak żyje Bóg w pośród aniołów swoich!

„I złamana w duchu głęboką litością, która poraz pierwszy przepełniła zbolaną jej duszę, pochyliła głowę nad wezgiem i ucałowała bladą twarz konającego ojca. Pierwszy to był jej pocałunek— dawniej zabrakło jej na to odwagi!“

Panna Torrezao, powtarzamy, wyrobiła sobie w kraju własnym wysokie stanowisko: potrzeba było na to niesłychanej energii i niepospolitego talentu. W Portugalii kobieta pracująca umysłowo walczyć musi z zastarzałym przesądem: kuchnia, gospodarstwo domowe, były tam i są dotąd jedynym polem, otwartym bezkarnie dla jej działalności. Z całą też siłą utalentowana autorka pragnie zwalczyć ten zastarzały przesąd, pracując nad ukształceniem naukowym rodaczek. Nie występuje ona do walki wstępnym bojem, ale pracuje z wolna w raz obranym kierunku. Noworocznik dla kobiet stał się w ręku jej silną bronią, dostarcza bowiem kobietom coraz nowego pokarmu duchowego i rozszerza stopniowo ich umysłowy widnokrąg. Dzienniki portugalskie wspierają dzielnie utalentowaną autorkę. Jeden z nich „As Justituições“ podaje myśl założenia wzorowej szkoły dla pańien, pod kierunkiem panny Guiomar Torrezao.

Pani Edgar Quinet, po kilkuletnim milczeniu, wystąpiła z rozprawą o dzisiejszym stanie literatury i sztuki we Francji. Wdowa po słynnym autorze, przejęta na wskroś jego filozoficznymi zasadami, pozostała jedną z gorliwych zwolenniczek republikańskiego idealizmu, jaki panował w r. 1848 pod sztandarem Quineta i Micheleta. Materyjalizm, rozpowszechniony dziś w literaturze i sztuce, pociągający za sobą upadek w obyczajach, przeraża idealistkę, z zapalem też powstaje przeciwko nowym prądom.

Rozprawie swojej autorka nadała tytuł „Penseroso.“ W cudnym utworze dłuta Michała Anioła przedstawia idealny typ myśliciel: przez spiżowe usta posągu chłoszcze dzisiejszy kierunek, ostrzega o niebezpieczeństwie.

„Któż go nie zna? mówi wymowna autorka. Któż go nie widział we Florencji, lub przynajmniej odtworzoną jego postać w paryżkim Muzeum sztuk pięknych? Czoło jego przycienione hełmem, broda podparta ręką... oblicze niewidzialne w części, potrzeba je odgadnąć. Z wierzchu spiż twardy, milczący, pierś bez tchu, usta bez ruchu; nic nie zwiastuje twórczej iskry geniuszu, gotowej wybuchnąć płomieniem. Bohaterska moc ducha widoczna jedynie w postawie.

„Michał Anioł zamknął w tej piersi człowieka, w tym mózgu bohatera, całą potęgę woli, zdolną ocalić kraj zagrożony. Żywy to obraz Włoch XVI-go wieku, co więcej nieśmiertelny symbol myśliciel.

„Świat szamocze się u jego nóg, ale on nie patrzy nań wcale. Wlepił oczy w ten ideał, co pobudza do wielkich dzieł, do czynu bohaterskiego lub wickopomnej księgi. Ten ideał spoczywa w jego ser-

cu. Tam szuka on prawd, które uszlachetniają zawód ludzki, szuka pięknych form w sztuce, natchnienia w poezji, wdzięcznych obrazów w powieści, bozkich melodyi w muzyce. Wy wszyscy miłośnicy ideału, filozofowie, historycy, moralści, patrzcie na postać „Penseroso!“ On was nauczy jak tworzyć arcydzieła!“

Po takim wstępie, pani Quinet ogarnia wzrokiem dzisiejszy świat literacki i artystyczny. Jednych zachęca i podnosi, drugich ostro potępia. Wszyscy pytają dziś, dla czego serca tak zimne, umysły tak jałowe? posłuchajmy jak na to odpowiada „Penseroso.“

„Usiłowano zatrzeć do szczytu tradycją, zerwać węzeł, łączący przeszłość z czasem obecnym. Młodzi rzucają się naprzód, torują własne drogi, zapominając o tych, którzy ich poprzedzili. Przetrwane kłęski głównym tego powodem; gorączkowa pogoń za sławą i znaczeniem przemogła nad poczuciem sprawiedliwości, nad wdzięcznością ku tylu szlachetnym, co weszli już do grobu. Nie zrywać nam bezkarnie węzłów intelektualnych! Czémby stać się mogły drogi piaszczyste, przypalone słońcem, gdyby wyrąbano stuletnie drzewa, które chronią głowę pielgrzyma koroną liści swoich, młode płonki nie miały czasu rozwinąć dobroczynnych konarów!“

Autorka przez usta posągu wyrzuca z serca żal osobisty. Boli ją widocznie głucha cisza, rozpostarta dziś nad imieniem Edgara Quineta, nad imieniem, które w czasach romantycznego idealizmu świeciło takim blaskiem! Jakkolwiek bądź spostrzeżenia jej nad epoką obecną trafne są, pełne oryginalności.

„Szał literacki, mówi pani Quinet, ogarnął ostatnie lata wieku naszego. Po wieku kamiennym, brązowym i żelaznym, przyszedł wiek papierowy. Więcej dziś pisarzy niż czytelników. Wkrótce nie będą już orać ziemi, ani posiewać ziarna. Jakże przeraża ta ilość zużytego papieru! Druki położone na szali wkrótce gotowe przeważą połowę kuli ziemskiej!“

„Pisarstwo stało się głodem nienasyconym, prawdziwą epidemią, nie zaś umyślowym powołaniem. Każdy,—czy to na chłodno, czy w gorącej, zasiada przed białą ćwiartką papieru, postanowiwszy zaczerpnąć ją, by wyprzedzić sąsiada swego. I jakiż cel, bądź ukryty, bądź jawny tylu pism różnorodnych? Jest-li to chęć rzucenia w świat jakiej nowej myśli? Wyświetlenia jakiej dobroczynnej idei? Zwrócić na siebie uwagę! wszystko dzisiaj polega na tém. Szukając nowości, każdy potrącić musi o przedmiot znany i wypowiedziany już oddawna.“

„Talenta roją się, ale brak smaku, a powiedzmy prawdę: brak uczciwości. Od lat trzydziestu, ów brak uczciwości cechuje literaturę. Przechyla się ona ku szkole materialistycznej; pragnie zatknąć sztandar naukowej negacji, aby nadać sobie cechę emancypacji nowoczesnej, pokryć stare zepsucie i brzydotę.“

„Azaliż wyczerpały się do dna źródła wyobraźni? czyż powieściopisarze dzisiejsi czerpać je muszą tylko z głębi cuchnących bagnisk społecznych, albo na ławach kryminalnego sądu?“

„Biedny ludu, nie dosyć że pracujesz, że w pocie czoła zaspakajasz potrzeby i wymysły szczęśliwych tego świata, nie dość, że orzesz ziemię, posiewasz ziarno, pieczesz chleb, budujesz, rzeźbisz, zdobisz; wszystko to nie dosyć! dostarczasz jeszcze próżniakom przedmiotu do rozrywki, częstokroć smutnej i złowrogiej.

„Dziś już Jacques Bonhomme nie pobudza do niewinnych żartów, jak dawniej; czernią go, spotwarzają i dramaturgowie wywołują go na scenę, ostrzą na nim swój dowcip; malują go potwornymi farby; przy nim Kaliban wytwornym jest dandysem!

„Największe niebezpieczeństwo zagraża biednemu ludowi, gdyż ten niema innych książek do czytania. Stawiają mu przed oczy najobrzydliwsze obrazy i mówią mu: ty jesteś takim! Ludzie bogaci i ukształceni mogą wybierać sobie dzieła; lud ma tylko bezecny feuilleton, widzi w nim własną postać, ale zeszepeconą, ohydzie skarykaturowaną, jakby odbitą w niewygodnym metalu“.

Pani Quinet wpatrzyła się głęboko w rany społeczne i przyznać musimy, odmalowała je z niepospolitą werwą.

Nie szukajmy tej głębokości w czterotomowych wspomnieniach Arsen Houssaye, wydanych parę miesięcy temu, a obejmujących długą przeciąg lat pięćdziesięciu. Paryżanie rozczytują się w nich z żywym zajęciem, znają bowiem autora, widują go codziennie na bulwarach, gdzie otoczony świetnym dworem, króluje od pół wieku. Tu biegły żeglarz wiosłując zręcznie pomiędzy Scyllą a Charybdą, umiał utrzymać berło, podczas gdy monarchie i republiki wznosiły się i upadały pod jego bystrem okiem. Arsen Houssaye należy do tych wybranych, którym życie dało wszystko, co tylko dać może. Wzrostem wysokim i dorodną postawą chwycił za oczy; istny don Juan, pożerał serc tysiące. Dziś nawet ósmy krzyżyk nie ciąży mu na barkach; długa biała broda zmieniła tylko charakter jego niepospolitej urody. Od młodu, rozsiewał złoto pełną garścią a czynił to tak zręcznie, że z posiewu wyrastały zawsze złote plony. Wyprawiane przezeń bale i maskarady przyciągały do siebie cały Paryż. Ilekroć pochwyił za pióro zdobywał grzmiący poklask. Sonety jego i liryczne zwrotki przebiegały z ust do ust, rozprawy literackie i nowelle, tryskające werwą, zaprawne sarkazmem, trafiały do smaku paryżan. Ci nawet, których boleśnie zadrasnął, przebaczeni chętnie urazy. Nie przebaczyła mu tylko Akademia francuzka ostrego pamfletu, rzuconego jój w oczy książką pod tytułem: „Czterdziesty pierwszy fotel”, wylicza tu bowiem i ocenia tych wszystkich, którzy mimo położonych zasług, skutkiem koteryjnych intrygi i uprzedzeń, nie znaleźli miejsca w pośród czterdziestu nieśmiertelnych. Czytamy tu imiona Bereniera, Dumasa ojca, i wielu innych niemięniej utalentowanych.

Za czasów Ludwika-Filipa Arsen Houssaye objął dyrekcją Teatru francuzkiego, i podniósł go do nieznanej dotąd świetności. Przez lat z górą dwadzieścia utrzymał się na stanowisku, dzięki pierwszym

koryfeuszom, których umiał sobie zniewolić. Ilekróć artyści, ulegając wpływowi zawistnych, sprzysięgli się przeciwko niemu, Houssaye składał natychmiast łaskę dyrektorską, ale słynna Rachel groziła natychmiast ustąpieniem ze sceny i wszystko wracało do porządku.

Wielką część pamiętników ogarnia te czasy: znajdujemy tu mnóstwo ciekawych anegdot i wspomnień: przytoczymy z nich jedno. Słynny komik Vivier, pozwolił sobie w jednym z wielkich salonów przybrać postać cesarza Napoleona. Ucharakteryzował się tak doskonale, że przez godzinę całą pozostawił w błędzie obecnych, przez tę godzinę sypał hojnie łaski i obietnice, czém uszczęśliwił wielu. Otóż nazajutrz potem wiadomość dochodzi cesarza, powołują komika do Tuilleries; Napoleon przyjmuje go łaskawie, żąda usilnie powtórzenia sceny. Vivier rad nie rad odgrywa rolę swoją. Uśmieł się cesarz, a co więcej potwierdził wszystkie łaski, obiecane w jego imieniu.

Mnóstwo podobnych rysów znajdujemy w pamiętnikach Arsena Houssaye. Z pełną życia fantazją przebiega on od jednego przedmiotu do drugiego, sypie błyszczące fajerwerki; niekiedy porusza, a zawsze umie rozśmieszyć i zaciekawić. Dla cudzoziemców nie w tajemniczonych w życie bulwarowe dzieło to nie przedstawia tak wielkiego zajęcia, ale dla paryżan jest to wyborny obraz drugiej połowy dziewiętnastego wieku.

Wydana świeżo w trzech tomach poufna korespondencyja Ludwika Veuillot, stała się dla wielu prawdziwą niespodzianką. Ogół przywykł widzieć w Veuillocie zagorzałego polemistę, nieprzebranego szermierza, walczącego w imię swęj idei. On sam przedstawia się takim w jednym z najwymowniejszych listów, określając obowiązki dziennikarza.

„Zdaniem mojem, mówi, dziennikarz katolicki jest pozostałym szczątkiem dawnęgo rycerstwa. Nie wypuszcza oręża z ręki, idzie prosto naprzód, głosząc wiarę, wspierając słabych. Zadaniem jego nie popełnić nigdy niesprawiedliwości, i nie ścierpieć jęj względem drugich, wyjąwszy chyba względem siebie. Jeśli ją popełni, naprawia ją natychmiast. Jeśli widzi jak ją drudzy popełniają, zmusza ich wstępnym bojem do naprawienia krzywdy. Ś-ty Grzegórz VII-y cytował często werset Jeremiasza: przeklęty człowiek, który utrzymuje miecz, aby nie wytaczać krwi, albowiem poszanowanie sprawiedliwości, które jest prawem Bóżem, ma iść przed innymi względami, jakie człowiekowi należą“.

Ten werset był dla Veuillotta wskazówką w postępowaniu. Nie dbał on o popularność, wolał raczję stać się antypatycznym, przykładał do tego niejako miłość własną. „Co do mnie, pisał podczas ostatniej choroby, wierzyłem zawsze, iż jestem żołnierzem i sędzią. Nie szło mi oto, aby okazać się przyjemnym i nie wiele zapewne kosztowało mnie pracy, aby nie przedstawiać się w pięknem świetle, kró-

tko mówiąc, nie byłem przyjemnym; opinia w tym względzie ustalona, nie odrobuję jój nigdy“.

Otóż pomylił się Veuillot: pośmiertna jego korespondencya pokazuje go z nową zupełnie strony; daje go bowiem poznać przy ognisku domowém, w charakterze tkliwego ojca, kochającego brata, wiernego przyjaciela.

Mimo gorących uczuć religijnych, Ludwik Veuillot nie czuł się powołanym do stanu duchownego. Pojął żonę, był ojcem pięciorga dzieci. Żona umarła młodo; troje dzieci poszło za matką; pozostały dwie córki. Wówczas to siostra jego, panna Eliza Veuillot, zamieszkała przy nim, objęła rząd domu, wychowywała bratanki, stała się powiernicą brata i prawą jego ręką. Energiczna ta kobieta, lubo młodsza, rozciągnęła nad nim macierzyńską, nawet despotyczną nieco opiekę. Samowolę tę nagradzała hojnie przywiązaniem. W książce pod tytułem „Ça et là“ (To i owo), Veuillot oddał jój najchlubniejsze świadectwo.

„Zamknęłaś życie twoje, mówi, w pełnieniu drobnych obowiązków, zostałam wierną sługą brata, troskliwą matką sierot. Oddałaś wszystko, odbierasz zaledwie pół zapłaty; poświęciłaś twoje młode lata, życie swobodne, przyszłość całą. Przestałaś być sama sobą, jesteś tą, która już nie istnieje, zmarłą żoną, matką pogrzebaną. Jesteś dziewicą-wdową, zakonnicej bez welonu, małżonką bez praw, matką bez imienia. Poświęcasz dnie i noce dzieciom, które nie nazwą cię matką; wylewasz łzy macierzyńskie na grobach tych, które nie były dziećmi twemi.“

Czasem oddalony od siostry Ludwik Veuillot pisuje do niej, powierza jój każdą myśl swoję. W żartobliwy sposób, a jednak z widocznym strachem wylicza swoje wydatki i rozrywki w podróży. Ilekroć oznajmia jakieś kupno lub jakąś jałmużnę, przechodzącą możność, używa rozmaitych wybiegów; wesołością pragnie rozbroić surową siostrę. Do jego braterskiej miłości mięsza się zawsze trwoga.

Ten człowiek zimny na pozór, zamknięty w sobie, gdy czuł się ogrzany ciepłem domowego ogniska, roztaczał nazewnątrz skarby ukryte w sercu. Oprócz brata, siostry, córek i kilku wybranych przyjaciół, nikt nie znał tego Veuillota, pełnego swobody, skorego do żartów, pod wstępną i nieprzedartą maską polemisty. W całej korespondencyi rozlana pełna serdeczności wesołość. W najrozmaitszy sposób umie wyrazić uczucia swoje ukochanym. To im nadaje słodki, dziwnie pieśzcotliwy charakter, to znów głęboki lub podniosły, lecz nigdy nie wpadnie w pospolitą czułośćkowość. W jednym liście z 1876 roku, tak opisuje zamężnej córce przechadzkę po lasku bułońskim.

„Zwiedziłem, pisze, lasek umajony świeżą zielenią. Byłem sam, zupełnie sam; puściłem się wązkami steczkami. Te same i g r a s z k i przyrody: kaskady, skały, są tu jeszcze jak dawniej; też same półgłówki, kreślą jak dawniej rozmaite napisy po ławkach. Bardziej nad to poruszyły mnie, cuda zbudzonej wiosny. Tarnina pokry-

ta białym festonem, pączki śnieżnych kwiatów na wierzchołku czarnego jeszcze drzewa, sroka na gałęzi, wróbel na krzaku, to mi prawdziwie piękne! Jaskry i stokrotki rozsiane już po murawie; są nawet i fiołki. Zerwałem kilka dla ciebie, przyniosłem ostrożnie do domu, i posyłam je w liście. Wcale nie pachną, ale ty odczujesz w nich sercem woń ojcowskiej miłości!“

Szczerą wesołość nigdy go w listach nie opuszcza. Nieraz cierpi i sercem i ciałem, ale umysł jego zawsze krzepki, pełen swobody. Przytaczamy tu list żartobliwy: opisuje rozmowę w wagonie.

„Bryła tłuszczu zasiada przy mnie, oddaje mi złowrogi pokłon. Zaledwie koła obróciły się z jakie dwadzieścia razy, sąsiad przemawia do mnie, prawi jak szczęśliwy, że podróżuje z taką znakomitością.

— Panie mój, odrzekłem, znakomitość to nieraz straszliwie poterała!

— Mniejsza o to, rzekł, czuję się bardzo szczęśliwym.

Miał torebkę podróżną przewieszoną przez ramię, kapelusz wysoki, rękawiczki zużyte, czarny surdut i bardzo śmieszne wąsy. Nie mogłem wyczytać z twarzy jego zawodu, spytałem go nakoniec.

— I cóż pan porabiasz na tym świecie?

— Jestem chirurgiem, panie.

Zwietrzyłem już coś podobnego, lecz miałem niejaką wątpliwość. Zapytałem czy powietrze téj okolicy pozwala zagajać się ranom.

Odpowiedział na to, że jest chirurgiem dentystą, że goi tylko rany na dziąsłach, nieraz wykrawa raka i dobywa kości ze szczęki, że go znają po wszystkich zamkach. Wyliczał nazwiska kilku markiz i hrabin, a nawet jednej księżny, w których otwarte usta wchodzi jak do własnego domu. Nie mogłem jednak dopytać się czy téż wrywa zęby. Wykręcał się zrećnie; dowodził, że dentystyka ważną jest częścią sztuki lekarskiej; opowiedział mi, iż zaślubił córkę sławnego lekarza, profesora z Kairu, autora wielu dzieł specjalnych. Rozwodził się długo nad niewdzięcznością ludów ku tym, co mu przynoszą ulgę, wystawiał duchowieństwo, rzucił kilka pięknych sentencji o Bogu, lecz nie przyznał, iż wrywa zęby. W obec téj śmiesznej pychy pocieszam się, że jestem poetą. Ja przynajmniej z pokorą to wyznaję.“

Veullot ukochał pracę literacką, tém gorętszą miłością, że sam o własnych siłach wyszedł na znakomitego pisarza. W szkole elementarnej w Bercy, do której posyłali go rodzice ubodzy rzemieślnicy, nie odebrał bynajmniej literackiego wychowania. Ale obdarzony żelazną siłą woli, zabrał się do czytania poważnych książek i bez żadnej pomocy przeszedł sam kurs nauk klasycznych. W korespondencji mówi ciągle o pracach swoich, kreśli plany coraz nowych dzieł, zapowiada artykuły dziennikarskie. Ilekroć wydał nową książkę, przegląda pilnie krytyki, cieszy się odebraną pochwałą, zwłaszcza, gdy wychodzi z pod pióra przeciwników.

Niestychanie téż cierpiał, kiedy w początkach cesarstwa, dzien-

nik jego „Univers,“ został chwilowo zawieszony. Myśl niewypowiedziana dławiała go, ciążyła mu na sercu ołowiem.

Przyjaciele, widząc zwichnięty jego byt materyalny, postanowili otworzyć subskrypcyą. Veillot oparł się temu w sposób stanowczy.

„Gdyby w tej chwili przyszli mi z pomocą, pisze w liście, ubliżyłbym najpiękniejszej sprawie, jaką zesłała mi Opatrzność. Utraciłbym strój odpowiedni mojej szlachetnej profesyi: odzież zużytą i wytartą; splamiłbym jedyną dekoracyą, odpowiednią tej sukni, to jest dziury na łokciach. Takie są prawdziwe tradycye literatury, powinieniem je uszanować.“

Rozmiłowany w pracy literackiej, Veillot cierpiał prawdziwe męczarnie, kiedy z upadkiem sił fizycznych musiał położyć pióro. Z najwyższą boleścią wyraża to w jednym z ostatnich listów.

„Miałem rozpocząć artykuł, po dwakroć zabrałem się do wykończenia go, po dwakroć zatrzymałem się w drodze, nie mogąc nakreślić jednej linii. Wiem jednak, co mam wypowiedzieć; artykuł cały leży w głowie mojej. Rzecz to zresztą najprostsza w świecie, trzeba ją tylko sformułować. Nie mogę przyjść do końca. To mnie okropnie dręczy. Ah! gdzie się podziała dawna łatwość! Nic już nie płynie, widzę, że źródło do dna wyczerpany!“

W całej korespondencji, jakby w zwierciadle odbija jednolita postać Veillota, jedna z najoryginalniejszych, jakie się w tych czasach pojawiły. Niezłomny w przekonaniach, głęboki chrześcianin, gorąco kocha przyjaciół i rodzinę; jeśli ostro chłłoszcze przeciwników, to przez miłość idei, której służy. On sam porównywał się czasem do Henryka Hejnego: jakkolwiek stali obydwa na dwóch przeciwnych krańcach, charakter ich przecie zbliżony: każdy z nich hołduje jedyniej myśli. „Hejne miał nienawiść do krzyża, mówi Veillot, ja ukochałem krzyż całą siłą mej duszy!“

Po listach poufnych, które obecnie wyszły z druku, nastąpi wkrótce wydanie korespondencji politycznej.

Myt starogalski uosobił wymowę w postaci bóstwa, z którego ust wybiegają łańcuszki złote, drugim końcem przyczepione do ucha słuchaczom. Żywy dowód, jak starzy galowie czcili biegłych swych oratorów. Cześć tę francuzi odziedziczyli po naddziadach. Słowo pięknie wypowiedziane wywiera na nich urok czarodziejski, chociażby to słowo było tylko brzęczącą miedzią, o której mówi św. Paweł. Tym sposobem tylko wytłómaczyć sobie możemy ową popularność, jaką Renan zjednał sobie między bretonami, tak przywiązanymi do tradycyi religijnych. Autor życia Jezusa, zręczną dyalektyką uwiódł ich, że jest jak oni szczerym chrześcianinem i od dwóch lat z sardonicznym zapewne uśmiechem na ustach, zbiera wśród nich wieńce i oklaski.

W wydanych niedawno „Wspomnieniach z lat młodości,“ p. Renan świętnie, jak zwykle, piórem skreślił piękny obraz Bretanii, ro-

dzinnego gniazda swego. Pochwyceni za serce bretonowie uprosili go w roku zeszłym na prezydenta zjazdu celtyckiego do miasta Treguies, gdzie się urodził słynny pisarz a gdzie ślad stóp jego zarósł oddawna trawą; nie był tam bowiem od lat trzydziestu. Wymowa prezydenta oczarowała obecnych. Pamiętni doznanego wrażenia, powtórzyli w tym roku zaprosiny na nowy, liczniejszy zjazd do miasta Quimper. Renan pospieszył na wezwanie: przyjęli go bretonowie z niestychaną gościnnością. Wśród mówców, kilku dało się słyszeć w języku bretońskim, zbliżonym do staro-celtyckiego; młodzież wiejska śpiewała chórem pieśni miejscowe, nacechowane swojską melodyą.

Nie będziemy tu powoływać wszystkich fajerwerków słowa, rzuconych w oczy bretonom przez najstynniejszego może z retorów tegożczesnych, za jakiego powszechnie uważany p. Renan. Przytoczymy tylko wyjątek z mowy, który da zrozumieć ów urok, jaki wywarł podczas uczyty na umysłach pięciuset biesiadników. Mieni się on krwią ze krwi, kością z kości bretonów, a co więcej ludu wiejskiego, tego najwierniejszego piastuna domowych tradycji.

„Jesteśmy wszyscy, rzekł, synami żołnierzy i marynarzy. Nasi ojcowie walczyli w boju i prowadzili okręta po morzach. Pragnąłem wysledzić, ilu też pozostało Renanów w Goelo, rodzinném gnieździe ojców moich. Dowiedziałem się, że istnieje cały klan. Pamiętają wszyscy, że pradziady ich od wieków wzięli sobie za cel zmiatać łby anglikom, nie oszczędzając też swoich własnych. Zadanie szlachetne, bo płacone odwetem.

„Na torpilowym statku, który przed kilku miesiącami przybył do Paryża i stanął przy moście Solferino, służył torpilarz nazwiskiem Renan: musi to być człowiek poczciwy, nie szukający reklamy, ponieważ mnie wcale nie odwiedził. Spełnijmy panowie czarkę cydru za zdrowie torpilarza Renana! Jakże to zgodny z naszym usposobieniem ów wynalazek torpil! Rzekłbyś stworzone dla nas. Wartość ich polega na dwóch danych, na inteligencji, to jest nauce i na odwadze osobistej. Radbym, ciągnie mówca żartobliwie, aby stan torpilarza stał się zawodem najchlubniejszym, zawodem wielkich idealistów. Jakże-to swobodnie mogliby przy nim oddać się poetycznym marzeniom, wzywać tylko do czynu w chwilach bohaterskich, z pewną szansą, że na pięciu jeden-by zaledwie ocalał!

Owóż, dodaje Renan, w kraju Goelo inne jeszcze uczyniłem odkrycie. Opowiadano mi o jednym Renanie który umierając zostawił oszczędzonych 50,000 franków. Zdziwiło mnie to, gdyż wszyscy Renanowie ubodzy jak Hiob. Była wieść, że całe mienie przekazał na kościół, co mnie bynajmniej nie zdziwiło. Pragnąłem tylko wiedzieć, jakim sposobem przyszedł do tak wielkiego kapitału. Mówiono mi, że łapał krety, za każdego płacono mu po susie. Słyszając to, zwróciłem na siebie uwagę i ja też zniszczyłem nie mało szkodników kryjących się po norach, co wiele wyrządziły złego; ja także byłem,

niezłym torpilarzem na mój sposób: iskrą elektryczną zbudziłem ludzi, którzy spokojnie zasypiali. Nie zaparłem się więc tradycyi owych poczciewiczów z Goelo!"

W dalszym ciągu mowy, Renan rzuca mimochodem zagadkę, z kąd powstają na świecie geniusze i dorywczto ją rozwiązuje.

„Ja nie jestem literatem, mówi, jestem człowiekiem z ludu, ostatniem ogniwem długiego łańcucha nieznanych światu chłopów i marynarzy. Karmię umysł oszczędzonym przez nich zasobem. Wdzięczny jestem tym biednym ludziom, że swoją wstrzeźliwością intelektualną sprawili mi tyle przyjemności. Co jest najlepszego w nas, pochodzi od tych, którzy nas poprzedzili.

„Plemię wydaje kwiat, kiedy wynurza się z łona niepamięci. Świetny rozkwit intelektualny wychodzi z głębin bezwiedzy, gotówbym nawet powiedzieć z szerokich rezerwoarów nieuctwa.

„Nie sądzicie jednak, abym chciał szerzyć nieuctwo między wami; chwast ten rośnie sam bez uprawy; mimo nauki przymusowej, będzie go zawsze dosyć. Ale zadrżałbym z trwogi o ludzkość w dniu, kiedyby świadomość przeniknęła wszystkie jej warstwy. Zkądżeby przyszedł geniusz, skoro prawie zawsze jest on wynikiem długiego snu poprzedników“?

Zdanie to jest li prawdą czy paradoksem, nie chcemy bynajmniej wyrokować; zostawiamy tę zagadkę do rozwiązania filozofom i pedagogom. Powiedzmy tylko, że trzeba wielkiego zasobu pychy, aby tak naiwnie przyznać się do geniuszu, i wykazać w sobie jego rodowód, z wieków ciemnoty chłopów i marynarzy bretońskich.

Nazajutrz po uczcie Renan z rodziną i gronem przyjaciół zwiędził zbiory przechowane w Muzeum miasta Quimper. Konserwator archiwów, uczony celtofil p. Luzel, który od lat wielu pracuje nad gromadzeniem tradycyi, legend i pieśni bretońskich, wzbogacił to muzeum pięknym zbiorem etnograficznych okazów i archeologicznych pomników.

Główne bogactwo owego muzeum, stanowi kolekcya odzieży, ja-kię w ciągu wieków używał lud we wszystkich stronach Bretonii. Po-ubierane w nie manekiny, których głowy ulepione z gliny, pomalowa-ne farbą, przedstawiają najwierniej typy miejscowych włościan. Stro-je kobiet odznaczają się wielkiem bogactwem. Są tam między innymi kostjумы ślubne panien młodych, zachowane od lat pięćdziesięciu: składają się ze szkarłatnej spódniczki sukiennój, z otwartego gorse-cika, i fartuszka z jedwabnej materyi w desen. Od szyi spada na piersi i na plecy podwójna klapka w rodzaju szkaplerza, zahaftowana bogato jedwabiami, złotem i srebrem. Cały kostjум ma jakiś pozór wschodni; kolory w nim harmonijnie dobrane.

Osobna grupa przedstawia całe wesele: biesiada odbywa się w gospodzie wiejskiej. Manekiny strojne z przepychem wyobrażają młodą parę, družbów i druchny, rodziców, dziewosłębów, słowem ca-

łą drużynę weselną. W głębi dekoracya, malowana na wielkiem płótnie, ukazuje w perspektywie krzyż i przedsionek kościoła, ocieniony lipami. W przyległej sali zebrano wszystkie sprzęty, jakich używają Bretonowie, ich ceramikę, tkaniny, narzędzia rolnicze i t. p. Etnografowie nasi powinni by zwrócić uwagę na te zabytki, wiadomo bowiem, że Bretony tak w stroju jak w obyczajach zbliżeni są wielce do Litwinów. Nie uszło to przed okiem uczonych badaczy francuzkich.

Znakomity antropolog Quatrefages wraz z etnografem Hancy, prowadzą ważne wydawnictwo pod tytułem Biblioteka Etnologiczna, poświęcona historii plemion ludzkich. Biblioteka składać się będzie z dwóch seryi, wychodzących równocześnie. Badania historyczne nad plemionami: białem, żółtém, czerwonym i czarném, stanowić będą pierwszą seryą; druga obejmie monografie ludów, które jakkolwiek pozostały za obrębem świata klasycznego, odegrały jednak ważną rolę w rozwoju ludzkości. Do owęj to drugiej seryi należy wydane świeżo dzieło Lucyana Biard o Aztekach.

Autor przez lat dwadzieścia przebywał w Meksyku, zbadał ten kraj gruntownie i wszechstronnie. Ciekawy też nakreślił obraz wielkiego państwa, kwitnącego nad lagunami Anahuaku w czasach, gdy Hiszpanie podbili je i zniszczyli w roku 1521. P. Biard rozpoczyna rzecz od topografii: opisuje położenie kraju, a następnie wyprowadza z ciemi tubylców, osiadłych w nim przed Aztekami. Przechodzi wreszcie do tego plemienia, które tak dziś żywo zajmuje świat naukowy. Daje poznać jego kosmogonią, obrzęda religijne, prawodawstwo, instytucje wojskowe, język, obyczaje i przemysł. Kreśli historią polityczną i społeczną tego narodu, opisuje charakter jego fizyczny i intelektualny, moralny i religijny, słowem przedstawia dokładny zarys cywilizacji Meksykańskiej, tak błyszczącej niegdyś w dziedzinie nauk, sztuk pięknych i literatury, jak świadczą pozostałe dotąd pomniki.

Praca p. Biard, oparta na źródłach oryginalnych, na miejscowych dokumentach i na odwiecznych rękopismach, wykazuje całą potęgę Azteków. Dzieło to, pełne erudycyi, wielką ma wagę dla uczonych, a pisane w łatwy i dostępny sposób zaciekawia również i ogół czytelników. Do spopularyzowania go przyczyniają się ryciny, reprodukowane ze zbiorów etnograficznych w Trokadero. Mapy i plany wzbogacają tę pracę.

Wśród licznych dzieł geograficznych, jakie w tych czasach wychodzą, zaznaczymy bardzo pożyteczną publikacyą Filipa Daryl pod tytułem: *La vie partout*. Sam tytuł pokazuje, że wydawca postanowił głównie dać poznać życie obcych ludów, tak pod względem politycznym jak i społecznym. Dwa pierwsze tomy poświęcone Anglii: jeden nosi tytuł „*En yacht*,” drugi „*Vie publique en Angleterre*.” W trzecim tomie opisane obyczaje berlińskie. Tom czwarty

obecnie wydany, wtajemnicza nas w świat chiński. Autor nie zwiędzał go sam, ale opiera się na świadectwach Europejczyków, którzy w ostatnich czasach dokładnie go poznali. Z tych licznych dzieł wyprowadza wnioski, że Europa, rządząc się dawnym uprzedzeniem, nie przyznaje Chińczykom stanowiska, jakie wyrobili sobie tak w politycznym jak w naukowym świecie. Kraj ten, zdaniem autora, uważać można jako bezcenne muzeum archeologii porównawczej, mieszkańców zaś jako ogromną aglomeracją ludzką, niemniej ważną pod względem liczby jak geniuszu praktycznego, zarówno godną uwagi dyplomatów jak i uczonych. P. Daryl rozbiera prace naukowe specjalistów i wyprowadza z nich niezbite dowody, dotyczące narodu chińskiego, jego rządowego ustroju, sztuk pięknych, literatury, teatru, przemysłu, finansów, prawodawstwa, obyczajów domowych, rodziny, siły zbrojnej tak lądowej jak morskiej, wreszcie stosunków ze światem. Z tych szczegółowych uwag autora odbieramy wrażenie, iż lud chiński od dwudziestu lat posunął się daleko na drodze postępu, że ma silne postanowienie wziąć od Europy wszystko to, co może stać się dlań pożytecznym, nie pozwalając jej przewodzić nad sobą. Tak Filip Daryl z dokumentami w ręku pokazuje ów naród, który niedawno minister francuzki poważył się nazwać żywiem godnym pogardy (*élément négligeable*). Wiadomo, jak drogo Francya przyplaciła to nierozważne słowo!

Francya w ciągu ostatnich dwóch miesięcy utraciła dwóch pracowników wielkiej zasługi, którzy w odrębnych wydziałach nauki wyrobili sobie pierwszorzędne stanowisko, a lubo nosili obaj nazwiska, świadczące o obcym rodowodzie, ukochali gorąco przybraną ojczyznę, przyczynili się do jej chwały. Jednym z nich znany przyrodnik Milne Edwards, drugim słynny helenista Egger.

Milne Edwards urodzony z początkiem wieku, z rodziny pochodzącej z Jamajki, przez lat pięćdziesiąt brał czynny udział w rozwoju nauk przyrodniczych we Francyi. Poświęcił się szczególniej badaniom anatomii porównawczej. W roku 1832 powołany na profesora szkoły centralnej, wydał Kurs Zoologii, przyjęty dotąd w wykładach szkolnych. W lat kilka potem Akademia nauk powołała go do gro-na swego, w miejsce zmarłego Cuvier'a. Odtąd dzięki coraz to nowym pracom imię jego coraz to większy zdobywało rozgłos. Kiedy w roku 1849 został profesorem w Sorbonie, cheiwa nauki młodzież garnęła się ze wszystkich stron Europy, aby służyć jego wykładów. Obok mozolnego zawodu profesorskiego, niez mordowany pracownik znalazł czas na dokonanie dzieła ogromnych rozmiarów, pod tytułem: *Leçons sur l'anatomie et la physiologie comparée de l'homme et des animaux*. Czternasty i ostatni tom tej pomnikowej publikacji wyszedł z druku w roku 1880. Od czasów Hallera żaden uczony nie dokonał tak olbrzymiego dzieła.

Przywiązany całą duszą do przybranéj ojczyzny, Milne Edwards służył jéj gorliwie w każdéj okoliczności. Podczas klęsk 1870 roku stworzył korpus wolontaryuszów z wydziału naukowego. Miał wtedy lat siedemdziesiąt. Sam na czele oddziału stanął w obronie fortów, narażał się na strzały nieprzyjacielskie. Dnia jednego pod gradem bomb, sprowadził zwłoki młodego inżyniera poległego na szan-cach w Issy.

Zmarły pozostawił w uczonym i głośnym już synu, godnego siebie następcę. Alfons Milne Edwards, zasłużony w świecie naukowym odkryciem podmorskich Zoofitów, których istnienia przypuścić nie chcieli uczeni, wyraźném jest zaprzeczeniem teoryi Renana „jakoby tylko z głębin bezwiedzy, z szerokich rezerwoarów nieuctwa wydobywał się na jaw rozkwit intelektualny.” Tradycya naukowa, przechowana w rodzinie, ma także swoje przywileje: świadczy o tém Alfons Milne Edwards, znakomity syn znakomitego ojca.

Drugi ze zmarłych koryfuszów Emil Egger, należał do ulubionych postaci w naukowym świecie paryzkim. Widywano go na każdym zebraniu: to egzaminował młodzież w Sobornie, to przydywował na kongresach i posiedzeniach akademickich, to przysądzał konkursowe nagrody, to w popularnych konferencyach podejmował najważniejsze zagadnienia i umiał uczynić je dostępnymi dla ogółu słuchaczy. Te rozliczne zajęcia które mogły zapełnić życie nie jednemu, były dla Eggera dodatkową tylko pracą. Główném jego zadaniem był zawód profesorski. Przez lat z górą czterdzieści wykładał literaturę grecką na katedry Uniwersytetu paryzkiego.

Jak świadczy samo nazwisko, Egger pochodził z rodziny niemieckiej. Dziad jego, ubogi krawiec, w początkach tego wieku przywędrował do Paryża z głębi Austryi, i zarabiał igłą na kęs chleba. Ojciec wyuczył się tapicerskiego rzemiosła, zebrał nie wielką kwotkę, którą roztrwonik na budowanie wymyślonych przez siebie machin. Umarł młodo, zostawiwszy w nędzy rodzinę. Ale w tych czasach, jak to często powtarzał Emil Egger, nie brakło nigdy wsparcia osieroconej dziatwie, zwłaszcza gdy ta okazywała wyższą zdolność. Pomieszczono go w Liceum S-go Ludwika, gdzie ukończył świetnie nauki. Rad przypominał Egger, ile zawdzięczał dobrym ludziom; uważał to za dług święty i przez całe życie wypłacał go ubogim dzieciom, ułatwiając im drogę i nadając właściwy kierunek, stosownie do ich zdolności.

W dwudziestym roku Egger, mianowany profesorem w jednym z kolegów paryzkich, pracą swoją utrzymywał matkę i rodzinę. Podczas gdy uczył drugich, pracował gorliwie nad własnym wykształceniem, usiłując doprowadzić je jak można było najwyżej. Już pozyskał stopień doktora, a jeszcze uczęszczał na kursa uniwersyteckie.

Znalazł wtedy dwóch światłych przewodników w uczonych członkach akademii. Helenista Boissonade rozbudził w nim miłość języka i literatury greckiej, znakomity starożytnik Hase otworzył przed nim skarby paleografii i archeologii.

W roku 1840, gdy nie miał jeszcze lat trzydziestu (urodził się bowiem w r. 1813), powołano go na zastępcę profesora literatury greckiej w Sorbonie. Kurs jego, znany w części z drukowanych lekcji, przedstawiał świat Heleński w nowym zupełnie świetle. Usiłował on przedewszystkiēm wykazać stronę moralną pisarzy starożytnych. Odznaczają się tē m szczególniej piękne lekcye o teatrze greckim, o Arystotelesie i Plutarchu. Spory polemiczne nad Homerem żywo go zajmowały. Wielokrotnie podnosił z katedry wątpliwość, rzuconą przez filologów niemieckich, azali śpiewak Iliady był żywą osobistością, czyli tēż postacią mityczną, skupiającą w sobie geniusz grecki. Wywody jego pełne erudycyi przyczyniły się wielce do obalenia hipotezy Wolfa, zaprzeczającej Homerowi rzeczywistego bytu. W tym względie wyprzedził ostatnie słowo dzisiejszej krytyki niemieckiej.

Przez lat czterdzieści, jak mówiliśmy wyżej, Egger wykładał w Sorbonie literaturę grecką. W ostatnich dopiero latach, zagrożony utratą wzroku zmuszony był ustąpić z katedry. Mimo to nie ustawał w pracy. Powołany do rady wychowania publicznego, w obec projektowanych reform okazywał wielkie umiarkowanie. Z boleścią zapewne słuchoł zagorzałych nowatorów, którzy radzi byli usunąć nauki klasyczne z programatu szkolnego. Nie tracił jednak otuchy. Gdy inni żyzmali się w skutek zmniejszenia liczby godzin w wykładach greckiego języka, odpowiadał na to spokojnie: „A więc potrzeba lepiej niż dotąd spożytkować czas, jaki nam zostawiono.” Gdy mówiono przy nim z goryczą: „Skończona rzecz! nie będzie już helenistów we Francyi!” Potrząsał na to głową: „a kiedyż to było ich tak wielu?” odpowiadał z uśmiechem. Stary humanista wierzył głęboko w żywotność nauk klasycznych; to go zaspakajało.

W rozwoju nauk, dotyczących słowiańszczyzny Egger zajmuje ważne miejsce o tyle, że w roku 1868 prezydował Towarzystwu lingwistycznemu, kiedy podniesiono pytanie o potrzebie reformy w pojmowaniu świata słowiańskiego. Pan Leger przedstawił wówczas tę sprawę, w *Revue des cours litteraires*, ale w świetle fałszywém, nakręcając rzecz do osobistych widoków. Prawdą jest, że Egger zgodził się na potrzebę reformy, żądał tylko, aby towarzystwo upoważniło go do zniesienia się z ministeryum. Przeszkodził temu p. Leger, ale przeszkodzić nie mógł do wdania się w tę sprawę parlamentu, skutkiem czego zmienione zostało prawo z r. 1840, co do tytułu katedry słowiańskiej w kolegium francuzkiēm.

Przed dwoma laty Egger ociemiał zupełnie. Z głębokim podaniem znosił ciężkie kalectwo. W kółku domowém, obok światłej żony i dwóch synów, oddanych jak on profesorskiemu zawodowi, czuł

się nawet szczęśliwym. Świat zewnętrzny zniknął przed zgasłym jego wzrokiem, ale w świecie ducha znajdował niezliczone bogactwa, nagromadzone wytrwałą a długoletnią pracą.

Sam spis bibliograficzny dzieł i rozpraw uczonego helenisty, przeszedłby ramy korespondencji naszej. Imię jego spotykamy bezustannie aż do lat ostatnich we wszystkich poważniejszych dziennikach i przeglądach, a szczególnie w sprawozdaniach z posiedzeń akademii napisów, której był najczynniejszym członkiem. Z jego to inicjatywy powstało w Paryżu towarzystwo Helenofilów, które wzięło sobie za cel pobudzenie młodzieży do nauki języka i literatury starogreckiej.

Rozmiłowany w pracy Egger, nigdy prawie nie opuścił Paryża. W tym roku dopiero, czując nadwątlone siły, za radą lekarzy udał się do wód Rogat, gdzie go nagle śmierć zaskoczyła. Pochowano go w Paryżu. Nad grobem, wśród wielu innych przemawiał uczony Grek Sarpoulos; nazwał go ze czcią patryarchą nauk greckich we Francji.

PISMIENICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Powstanie i rozwój pesymizmu w Indjach. Napisał Maurycy Straszewski. Kraków 1884, str. 103.

Rozwój pojęć religijnych i filozoficznych u indów starożytnych zatrudnia w literaturze europejskiej najbystrzejsze umysły, i to z nie słabnącym interesem od lat już bardzo wielu. Sto lat prawie już temu, jak francuz Anquetil Duperron przywiózł z Azyi pierwszą książkę o filozofii indyjskiej. Były to słynne upaniszady w przekładzie perskim, dokonany ze sanskrytu na rozkaz sułtana Daraszakoh w r. 1656. Tłómaczenie perskie przełożył Duperron dosłownie na język łaciński i wydał p. t. „Oupnekhat“ (Argantorati 1801—2), rozpoczynając niejako w ten sposób literaturę filozoficzną wieku XIX. Pierwszy to raz usłyszała nieco Europa o spekulacjach metafizycznych pokrewnego nam szczepu indyjskiego, o którym dotychczas zaledwie wiedziała, że żyje. Nie poprzestano jednak na tém. W ostatnich bowiem 50 latach pojawił się cały szereg publikacyi, poświęconych filozofii Indów starożytnych. Dobrano się do oryginalnych tekstów sanskryckich, porównano je z książką Duperrona, i zajęto się ich wydaniem, krytyką i egzegezą. Pracę poczętą przez francuza podjęli uczeni angielscy i niemieccy i prowadzą ją z chlubą coraz dalej. Filozofowie podali wnet rękę filologom, pragnąc z ich pracy skorzystać. Wiadomo, jaki wpływ wywarła już książka Duperrona na kierunek filozoficzny Szopenhauera. Témbardziej więc można się było spodziewać, że dokładniejsze poznanie metafizyki indyjskiej nie pozostanie bez wpływu na naszych europejskich myślicieli. A że tak jest w istocie, świadkiem cała bogata literatura filozoficzna

lat ostatnich. Nie dziw więc, że u nas pojawiła się książka, poświęcona jednemu z najciekawszych rozdziałów filozofii indyjskiej, mianowicie: dzieło prof. M. Straszewskiego, p. t. „Powstanie i rozwój pesymizmu w Indyach.“ Pracę tę dedykował autor uniwersytetowi edyńskiemu w uroczystość 300-letniej rocznicy jego założenia, zawiózkując ją sam do Edynburga, jako delegat uniwersytetu Jagiellońskiego. Z tego to więc powodu, jak i dla swjej treści ciekawej a w naszej literaturze tak niezwykłej, książka ta zasługuje, byśmy się jęj przypatrzyli bliżęj.

Filozofia pesymistyczna niemiecka stara się dziś, jak wiadomo, przekształcić się w religię, opartą na wierze, że istnienie jest tylko pasmem cierpień, od których jedynęm wybawieniem: zupełna bytu zatura. Hartman ogłosił już pesymizm wiarą przyszłości. Pesymizm bowiem, zdaniem jego, najlepiej odpowiada potrzebom ludzkości, skoro nawet tak optymistyczne pierwotnie społeczeństwo indyjskie tak wczesnie już doszło do pesymizmu, i jeżeli pesymistyczną religię Buddy wyznaje dziś prawie połowa ludzkości. Otóż prof. Straszewski postawił sobie za zadanie zbadać „w jaki sposób i na jakiej drodze doszło społeczeństwo indyjskie w tak odległej już starożytności, do wytworzenia pesymistycznych filozofii i religii,“ aby ztąd wysnuć wniosek, czy i o ile dzisiejszy pesymizm filozoficzny ma racją bytu. Po zagajeniu rzeczy rozbięra w dwóch rozdziałach swego dzieła życie Indów w epoce wedyjskiej i pierwiastki ich spekulacyi filozoficznej, w dwu następnych zajmuje się rozwojem indyjskiej metafizyki w epoce brahmańskiej, w dalszym zastanawia się nad buddyzmem, a w ostatnim przechodzi do Europy, porównując pesymizm staro-indyjski z najnowszą filozofią niemiecką. Rozczytując się w tekstach staro-indyjskich, wyrobiliśmy sobie odmienny nieco pogląd na rozwój poruszonych w tej pracy pojęć religijnych i filozoficznych, zwłaszcza w dobie wedyjskiej. Pogląd ten filologa może nie będzie tak bardzo przeciwny badaniom filozofa, dla tego ośmielamy przedstawić go w krótkości czytelnikom tak poważnego pisma naukowego, jakim jest „Biblioteka Warszawska.“ Nie zamierzamy rozbięrać krytycznie dzieła prof. Straszewskiego; ale pragniemy je uzupełnić materiałem źródłowym.

Wiadomo, że indowie są tak samo jak słowianie i germanowie, grecy i itałowie, oraz niektóre inne narody, szczepem indo-europejskim, czyli indo-aryjskim, dawniej indo-germańskim niewłaściwie zwanym. O najstarszej ich kulturze w epoce wedyjskiej mieliśmy już sposobność mówić na inném miejscu, podobnie o ich języku ¹⁾.

W najstarszych hymnach Rigwedy występują mieszkańcy z uad Indu, jako prawdziwe jeszcze dzieci natury, które od innych zjawisk przyrody różnią się prawie tém tylko, co stanowi istotną pomiedzy człowiekiem a wszelkimi niższymi tworamii różnicę. Otoczeni tak

¹⁾ Por. „Bibl. Warsz.“ 1885, lipiec i wrzesień; oraz „Przegląd Polski“ 1884, luty.

różnorodnemi zjawiskami przyrody, wiedzą z początku prawie to tylko, że jedne z nich są im pożyteczne, a drugie szkodliwe. Świadomość tę posiadają jeszcze i zwierzęta, ale po za nią nic więcej; przeciwnie, człowiek wznosi się coraz wyżej. Z początku uważa zjawiska przyrody za coś zupełnie równego sobie i pyta się np. z naiwnością: „czy też i dzisiaj światło zwycięży ciemności, i czy powróci nam jeszcze zorza poranna?“ A kiedy widzi, że i zorza codziennie powraca, i światło się codziennie zmienia z ciemnością, dziwić się temu wszystkiemu zaczyna. Dziwi go więc, że słońce wciąż wschodzi i zachodzi naprzemiennie z księżycem, i pyta się :

Jak nie podparte ani przywiązane,

A rozciągnięte ono w dół nie spadnie?

Dziwi się też: „że rzeki spieszenie do morza jednego sączące wodę go nie zapełniają.“

Wszystko to obudza w nim przecucie, że po za temi zjawiskami, muszą być przecież jakieś istoty, które tak samo mają wolę, tak samo myślą i tak samo działają jak on, tylko nierównie lepiej i mądrzej i wznioslej. A że symbolem wszelkiej wyższości, jest dla dziecka natury światło, zowie te istoty *devas*, t. j. „świecącymi“, „błyszczącymi.“ Pomału więc zjawiska stają się osobami, siły przyrody identyfikują się z tém, co się znajduje w naszej woli, i w ten sposób objawia się pierwsza mądrość człowieka. Naturalnym tego następstwem jest, że człowiek wchodzi w pewne stosunki z temi istotami. Z początku są te stosunki czysto egoistycznej natury; człowiek czuje się niejako zależnym od tych uosobionych sił przyrody; nie dziw więc, że stara się je sobie zjednać. Ucieka się więc do nich w potrzebie, błaga je o pomoc i prosi o dary, mówiąc: „daj mnie, to ja dam tobi,“ (*dēhi mē, dadāmi tē*). A kiedy prośba została wysłuchana, składa serdeczne dziękczynienia i poleca się znowu pamięci swego *bhaga* t. j. „bogacza,“ posiadającego i rozdzielającego działy, czyli „Boga.“ Wkrótce przystępuje do tego pewien element moralny, a mianowicie ważne prawo natury: czynić dobre a unikać złego. Człowiek wiedział już tyle, że w jego to leży woli być temu prawu posłusznym lub nie. A że za zjawiskami przyrody wyobrażał już sobie podobne do siebie istoty, musiał i im przypisywać to samo wrodzone prawo etyczne. Istoty te są jednak znacznie potężniejsze od niego, więc nie dziw, że uczynił je zarazem stróżami dobrego i złego. W ten sposób stają się dla niego siły przyrody także przedstawicielami prawa moralnego.

Cały ten rozwój stopniowy pierwszych ludzkich pojęć religijnych i filozoficznych możemy śledzić wybornie w najstarszych hymnach *Rigwedy*. Przyjąć więc trzeba, że u najstarszych naszych pod względem kultury braci z nad *Indu*, najwyraźniejsze zachowały się ślady pierwotnych pojęć indoeuropejskich. Pojęcia te wynieśliśmy bez wątpienia wszyscy z pierwotnej kolebki, tylko że ślady ich pod powłoką

kultury tylu wieków dają się ledwie odszukać. Doba historyczna rozmaitych narodów indoeuropejskich rozpoczyna się znacznie później niż u Indów wedyjskich więc też nie dziw, że ślady pierwotnych pojęć już są bardzo zatarte. Cała np. najstarsza religia naszych braci irańskich jest już tylko czystą spekulacją filozoficzną. Bogowie Awesty są to istoty bez ducha i życia; ani śladu już prawie u nich téj świeżej barwności, jaką się odznaczają uosobione zjawiska przyrody w Rigwedzie. Cały świat tu już podzielony na dwie połowy, dobrą i złą; na czele dobrej stoi bóg dobry, który ma sześciu adjutantów, ni mniej téż ni więcej ma ich bóg zły, który kieruje złą światą połową. Każdy z bogów wyższych, niższych i ich pomocników ma ściśle wymierzony sobie zakres władzy; wszystko tu obliczone z matematyczną regularnością, wszędzie już widać świadomą rękę reformatorską. Gdy zaledwie w kilku postaciach panteonu Awesty można dopatrzeć się resztek pierwotnej religii natury, to jakże poetyczne i pełne pierwotnej świeżości przedstawiają się nam postacie bogów wedyjskich! Darmobyśmy się tu oglądali za jakimś wyrobionym już i ustalonym systemem bogów! Bóstwa bowiem Rigwedy są to uosobione zjawiska przyrody, do których z ufnością zwraca się człowiek, odkrywając prawie co chwila przed nimi całą głębię swych uczuć. Który tu bóg jest najwyższym, nie wiedzieć; dla modlącego się bowiem mieszkańca z nad Indu ten był zawsze najwyższym, najlepszym i jedynym bogiem, do którego w danej chwili się zwracał. Modląc się dziś np. do jakiego boga jemu tylko dziękował za wszystko, jemu przypisywał rozmaite zasługi; jutro zaś to samo czynił z drugim zapominając niemal o innych. Jak wiadomo, Max Müller nazwał to „henoteizmem“. Stąd to tłumaczy się, dlaczego hymny Rigwedy wielu bogom te same przypisują czyny, i dlaczego to raz tego to znowu innego wielbią bogiem najwyższym. Zważyć przy tém należy, że hymny te powstawały przez długie a długie wieki, w różnych okolicach, wśród różnych szczepów aryjskich i przez wielu składane piewców. W ten sposób mniej się nam dziwne wydadzą rozmaite niekonsekwencje w religijnych i filozoficznych poglądach Indów wedyjskich.

Zjawiska przyrody widziano na ziemi, w powietrzu i jeszcze gdzieś dalej poza niem. Stąd to już w hymnach Rigwedy spotykamy pojęcie trzech wielkich światów: ziemi, powietrza i nieba. Na ziemi najwięcej imponował Indom wedyjskim ogień (Agni); on bowiem łączył ziemię z niebem, gdzie było źródło wszelkiego światła. On wszystko oświeca i rozjaśnia, a więc też bada wewnętrzną wszystkiego istotę. W ten sposób stała się siła ognia potężną istotą boską tak w znaczeniu fizycznym jak i moralnym. Uosobieniem wszystko „zwierającego“ sklepienia niebieskiego jest Waruna, „najmędrszy stwórca, opiekun i rządca światów, wszechwiedzący stróż dobrego a mściciel złego, święty i sprawiedliwy, lecz litościwy“. Ta istota boska należy niezawodnie do najstarszych w panteonie wedyjskim; początek jej bowiem należy odnieść zapewne do doby praindoeuropejskiej, jak tego wymaga identyczny z nim grecki *Οὐρανός*.

Irański Ahura-mazda zachował przynajmniej ślady tego samego indoeurop. pojęcia ¹⁾). Jak w Grecyi jednakże ustępuje z czasem *Ouranos* przed Kronosem, tak samo już w epoce wedyjskiej miejsce Waruny prędko zajmuje Indra, „władający“ dotąd w powietrzu. Z początku jest on tylko uosobieniem burzy tropicznej; zwalcza demonów, którzy zawaliwszy drogę nie puszczaają światła i deszczu na ziemię, a jako przedstawiciel walki elementów staje się ulubieńcem narodu, posuwającego się wciąż naprzód i walczącego o zdobycz i o nowe siedziby. Jako pogromca złych a opiekun pobożnych staje się pomału panem i władcą nieograniczonym, wodzem rodów boskich i ludzkich, stwórcą i opiekunem świata.

Obok tych głównych postaci, do których indowie wedyjscy najczęściej się zwracali, występuje w hymnach Rigwedy mnóstwo innych potężnych istot boskich. Każde niemal zjawisko przyrody było uosobione, ponieważ wiedza lub jakakolwiek spekulacya nie kępowała jeszcze fantazyi. Obok ognia czczono tedy na ziemi wody ²⁾, na niebie obok Waruny wielbiono wspaniałe słońce i prześliczną zorzę, jakoteż księżyc i gwiazdy, a wreszcie w powietrzu panowały burze i wiatry, które także niemałym respektem ludzi napawały. I długie czasy trwała ta wiara, tak pełna uczucia i wyobraźni, a więc prawdziwej poezyi; zawsze tak jednak pozostać nie mogło. Posuwając się bowiem z krainy „pięciu rzek“ wciąż dalej na Wschód, wchodzili indowie w styczność z dzikimi krajowcami, staczali z nimi walki i zawierali układy, a tém samém rośli wciąż w doświadczenie, kształcąc swe siły duchowe. Urocza fantazyja ustępuje pomału miejsca zimnemu rozumowi, naród zaczyna już wątpić, czy jest tam gdzie jaki indra ³⁾, i w ten sposób rozpoczyna się upadek religii wedyjskiej. Nie dosyć na tém, co w jednym z późniejszych hymnów ⁴⁾ nawet szydzi sobie widocznie mędrzec z bóstwa. Przedstawiony tam Indra jako egoista, który tak samo jak ludzie dba tylko o swoje dobro, a to w refrainie powtarzającym się po każdej zwrotce: „Indrze kropło ⁵⁾ o przyływaj“ (*Indrāya indō parisrava*). Najjawniejsze już zaś szyderstwo z kapłanów i z religii mamy w sławnym hymnie „do żab“ ⁶⁾. To też nie dziw, że jakiś piewca zwraca się nawet do *Wiary* ⁷⁾, by ludzi uczyniła wierzącymi. Nie wiele to jednak zdaje się pomogło; bo wraz

1) Myśl identyczności irańskiego Ahura-mazdy i indyjskiego Asura-Waruny zawdzięczamy W. F. Millerowi; por. A. Ludwig, *Dio philosoph. u. relig. Anschauungen des Veda*. Prag, 1875, str. 52, 58.

2) Por. wiersz „Do wód“ z Rigw. VII, 49, w wydawnictwie „Wisła“ Kraków 1884.

) Rigw. II, 12, 5, VIII, 89, 34.

4) Rigw. IX, 112.

5) Nb. boskiego napoju soma.

6) Rigw. VII, 103.

7) Rigw. X, 141.

z powątpiewaniem w istnienie bogów zrodziło się w rozumie indów dążenie do wytlómaczenia sobie tych wszystkich zjawisk przyrody, które im przecież wciąż imponowały. Rozpoczyna się więc już z końcem doby wedyjskiej spekulacja filozoficzna, szukanie za jakąś jednością; od której pochodzi cała ta różnorodność w przyrodzie, za ową jednością, która łączy niejako w sobie wszystkie dotychczasowe bóstwa.

„Indrą, Mitrą, Waruną, Agnim zowią,
Dalej ptak nieba ten o pięknych skrzydłach;
Co Jedno jest, mędrcy zowią wielością ¹⁾
Zowią Agnim, Jamą, Matariśwanem.”

Jak, wiadomo, niezależnie od indów przychodzą do tego samego zdania w kilka wieków później grecy, kiedy Ksenofanes z Kolofonu pierwotną wielość bogów sprowadza do jedności. Lecz nie dość na tém. Rozum chciałby zbadać bliżej tę jedność, chciałby się coś więcej o niej dowiedzieć, a więc się poeta odzywa:

„Nieświadom pytam się świadomych może
Mędrców, by się dowiedzieć, nie wiedząc:
Kto założył tych sześć przestrzeni świata,
Kto to Jedno w kształcie niezrodzonego? ²⁾,”

W ten sposób przechodzi zarazem rozum ludzki do zagadki stworzenia i radby ją rozwiązać. Pyta więc najpierw o pierwotną materią:

„Co to za las, co to za drzewo było,
Z którego niebo, ziemię wyiosano;
Rozmyślając w duchu to poszukajcie,
Na czym się oparł ten dzierżyciel świata? ³⁾.”

Dalej radby mędrzec wiedzieć, jak wyglądało pierwsze stworzenie, jakim był pierwszy, który miał kształt jakiś, więc zapytuje:

„Kto widział, jak pierwszego zrodzonego,
A kościstego niesie nie kościsty;
Gdzież bo też życie, krew i dusza ziemi,
Kto siedł za wiedzącym, by spytać o to? ⁴⁾.”

W drugiej połowie tego wierszyka pyta o pierwiastek życia i o wewnę-

¹⁾ Ekam sad vipra bahudha vadanti; Rigw. I, 164, 46.

²⁾ Rigw. I, 164, 6.

³⁾ Rigw. X, 81, 4.

⁴⁾ Rigw. I, 164, 4.

trzną istotę czyli duszę ziemi. Odpowiedź zaś niejako na te i tym podobne pytania daje sławny „hymn niebytu“ (Nāsadja-sūktam):

„Niebytu nie było ni bytu wtedy ¹⁾,
 Nie było przestrzeni, ni nad nią nieba;
 Cóż się ruszało, gdzie, w czyjś opiece,
 Czy była woda i przepaść głęboka?

Niebyła wtedy śmierć ni nieśmiertelność,
 Ni nocy ni dnia zjawiska nie było;
 Dychało bez wiania swą mocą Jedno;
 Nie było nad nie cokolwiek innego.

Ciemność była; ciemnością wprzód pokryte,
 Bez światła płynące było to wszystko;
 Czcznością żywotność gdy była pokryta,
 Pod ciepła mocą zrodziło się Jedno.

Miłość to najpierw w nim się obudziła,
 Co pierwaszém było rozumu nasieniem;
 W niebycie węzeł bytu wynaleźli
 Roztropni mędrce poszukawszy w sercu.

Sznur ich mierniczy w poprzek przeciągnięty,
 Cóż było pod nim, a co nad nim było?
 Były to siły, były nasienniki.
 Bierny u dołu a czynny u góry.

Któż wie zaprawdę: kto może to wyrzec,
 Skąd się zrodziło, z czego to stworzenie;
 Bogowie czy są z téj strony stworzenia?
 Któż zatém wie to, skąd ono powstało?

Skąd więc powstało to tutaj stworzenie,
 Czy (sam) je stworzył, czyli też nie stworzył,
 Wie tylko ten, kto jego stróżem w niebie
 Najwyższym, albo (i on) może nie wie.

Hymn ten należy do najczęściej przekładanych w literaturach europejskich, to też i my już mamy co najmniej dwa jego przekłady a mianowicie w książce ś. p. Szujskiego „Rys piśmiennictwa niechrześcijańskiego“ i w pracy niniejszej prof. Straszewskiego (str. 34—35). Mimo to jednak, nie wahaliśmy się ogłosić nowego przekładu, w którym staraliśmy się nie tylko myśl hymnu oddać jak najwierniej, ale i formę zbliżyć jak najbardziej do sanskryckiego oryginału. W tym

¹⁾ Nāsad āsinnō sad āsit tadānim, Rigw. X, 129.

celu zatrzymaliśmy wiersz jedenastogłoskowy oryginału i podział na zwrotki czterowierszowe (trištup), rzadko gdzie tylko zmieniając nawet porządek wyrazów. Co do myśli możnaby hymn ten podzielić na trzy części, a mianowicie 1) pierwsze trzy zwrotki malują nam jakiś pierwotny chaos, wśród którego powstaje najwyższa Jedność; 2) dwie następne zajmują się tworam i wyższymi, nadboskimi, jak miłość i rozum, niebyt i byt; 3) ostatnie dwie zwrotki mówią o stworzeniu i bogach. W rzeczach najwyższych czuje się mędrzec wedyjski dość pewnym; wie bowiem, że kiedy nie było jeszcze ni bytu ni niebytu, ni życia ni śmierci, ni dnia ni nocy, pod wpływem ciepła powstała Jedność najwyższa. W niej obudziła się najpierw miłość (kāma), jako nieświadomy popęd zmysłowy, który stał się nasieniem czyli początkiem wszelkiej świadomości duchowej t. j. rozumu (manas). Jak więc w nieświadomym sercu jest początek świadomego ducha, tak samo w niebycie jest początek bytu. A kiedy sobie mędrzec ten pierwotny chaos już tak rozłożył, zastanawia się dalej, jak te wyższe siły były w nim ugrupowane. W odpowiedzi na to daje obraz dość ludzki, wyobrażając sobie, że siły te, zaopatrzone w nasiona były dwojakiego rodzaju: u dołu bierne ¹⁾; u góry zaś czynne ²⁾. Wszystko to tyczy się rzeczy wyższych nadboskich. Lecz jakże sobie począć z bogami i stworzeniem? Tu już mędrzec traci grunt pod nogami. Skąd to stworzenie i czy bogowie także do niego należą, czy są to także istoty stworzone, tego on nie wie. Wie to ten tylko, od którego stworzenie pochodzi, a więc jakiś nieznan y pierwiastek wszech rzeczy, jakiś absolut, który zapewne przewyższa nawet i bogów. O inteligencji jego jednakże widocznie nie bardzo pochlebnie ma mędrzec pojęcie, jeżeli w ostatnich wyrazach hymnu przypuszcza, że i on może nie wie, skąd się wzięło to stworzenie.

To jest początkiem niejako filozoficznego pesymizmu u Indów. Nikt nie wie skąd to stworzenie, nikt nie wie, czy bogowie nie są także stworzeniem; przypuszcza się więc tylko istnienie jakiegoś pierwiastka wszechrzeczy, który przewyższa bogów a więc jest zapewne bogiem najwyższym. Jaki jest ten pierwiastek, także nikt nie wie, może i on bezwiedny. To też w innym hymnie ³⁾ poeta, malując wszelkie cuda stworzenia, pyta się niespokojnie po każdej zwrotce: „Co to za bogu służyć nam ofiarą“ (kasmai devāya havishā vidhēma)? Odpowiedź na to daje mu później jakiś mędrzec bramański w dołożonej przez się widocznie ostatniej zwrotce tego hymnu, mówiąc, że bogiem najwyższym jest tylko Pradžā-pati, „pan stworzenia“, pojęty jako stwórca opiekun i rządcza świata. Hymn ten, zwany „Hiranjagarbha-sūktam“ brzmi w całości:

¹⁾ Sva-dhā, sva=swój, dhā=kłaść, więc: położenie się.

²⁾ Prā-jati, natężenie; prajam=naprzód skierować, wyciągnąć naprzód.

³⁾ Rigv. X, 121.

Zarodek złoty powstał na początku,
 Jedynym panem świata był zrodzony,
 On ziemię i to tu utwierdził niebo;
 Co to za bogu służyć nam ofiarą?

Który życie i siłę daje, rozkaz
 Którego wszyscy szanują bogowie,
 Którego cieniem śmierć i nieśmiertelność:
 Co to za bogu służyć nam ofiarą?

Który przez wielkość jest królem jedynym
 Tego co żyje, usypia i chodzi,
 Który tu włada dwu- i czworo-nożnym;
 Co to za bogu służyć nam ofiarą?

W którego mocy te tu śnieżne góry,
 Którego—mówią—morze wraz z wodami,
 Którego światy te są ramionami;
 Co to za bogu służyć nam ofiarą?

Przez kogo niebo mocne, silna ziemia,
 Światło utwierdzone jest i sklepienie,
 Który w powietrzu wymiercą przestrzeni;
 Co to za bogu służyć nam ofiarą?

Na kogo patrzą dwa szyki wojenne,
 Ufając w pomoc, ale drżące w duchu,
 Tam, gdzie to słońce wschodzące promieni;
 Co to za bogu służyć nam ofiarą?

Gdy wielkie zaś wody niosąc plód wszystek,
 Jakotóż rodząc boga Agni przyszły,
 Aż wtedy to bogów powstało życie;
 Cóż to za bogu służyć nam ofiarą?

Który i wody potężnie przeglądał,
 Co sił nabrawszy rodziły ofiarę,
 Co był jedynym nad bogami bogiem;
 Cóż to za bogu służyć nam ofiarą?

Oby nie szkodził nam ten stwórca ziemi,
 Który też niebo świętym prawem zrodził,
 Co stworzył wody jasne i ogromne;
 Cóż to za bogu służyć nam ofiarą?

Pradża-pati, nikt inny oprócz Ciebie
 Tyoh wszystkich istot nie objął w opiekę;

Niech będzie nam, o co pragnąc wołamy,
Obyśmy więc byli panami skarbów!

W innym zuowu miejscu ¹⁾ próbuje mędrzec inaczej sobie przedstawić pierwiastek wszechrzeczy, mianowicie, jako „wszechstworcę“ (viśvakarman) o niezmierzonej sile duchowej i fizycznej,

„który się spuścił na te wsze istoty,
jak mędrzec, kapłan, ojciec nasz z ofiarą“ ²⁾.

„Jest wszędzie oko, wszędzie jego usta,
I ramię wszędzie, jak też wszędzie noga;
Bóg jeden ziemię i niebo stwarzając
Zbija skrzydłami je i ramionami“ ³⁾.

„Co ojcem naszym, rodzicem i rządcą,
Co miejsca wszystkie zna i wsze istoty;
Ten co jedyny daje imię bogom,
Tego się pytać idą inne twory“ ⁴⁾.

Inny mędrzec przedstawia sobie pierwiastek wszech rzeczy jako praczłowieka (puruša), który się dzieli jak świat ten na drobne cząstki. Z ofiary na nim spełnionej powstał świat cały, powstały cztery Wedy i cztery kasty. Wzmianka ta o zbiorach Wed i o kastach świadczy, że hymn ten, zwany „Puruszasūktam“ ⁵⁾, jest już bardzo późnego początku. Brzmi on w całości:

„Tysiącglowy był praczłowiek,
Tysiącoki, tysiącnogi;
Gdy on ziemię zawszą przykrył,
Wystawał w dal dziesięć cali“ ⁶⁾.

Bo praczłowiek jest tém wszystkiem,
Co już było i co będzie;
Panem on nieśmiertelności,
Co ofiarą w górę rośnie.

1) Rigw. X, 81, 82.

2) Tamże, 81, 1.

3) Tamże, 81, 3.

4) Tamże, 82, 3.

5) Tamże, 90.

6) Wiersz ten zowie się anuštup, t. j. strofy składają się z 4 wierszów ośmiogłoskowych.

Tak ogromna jest jój wielkość,
a pracłowiek jeszcze większy;
Stopą jego wszystkie twory,
a trzy stopy całe niebo.

O trzech czwartych poszedł w gó-
jedna czwarta tu została; [rę,
Ztąd rozszerzył się na wszystko,
co tylko jé albo nie jé.

Z niego prakról się urodził,
a z prakróla znów pracłowiek,
Ten zrodziwszy się wystawał
po za ziemię w tył i z przodu.

Gdy bogowie pracłowieka
jak napój ofiarowali:
Wiosna była jego tłuszczem,
lato drzewem, jesień trunkiem.

Tego najpierw zrodzonego
jak ofiarę pokropili;
Przezeń to ofiarowali
mędroce i skutoczne bogi.

Z téj to zupełnej ofiary
powstało kropliste masło;
zwierzęta stworzył powietrzne,
i leśne i te co swojskie.

Z téj to zupełnej ofiary
wiersze powstały i śpiewy,
z niéj wyszły pieśni na czary,
z niéj téż formułki ofiarne ¹⁾.

Hymn ten zamyka epokę wedyjską, wprowadzając nas zarazem do drugiej wielkiej doby w życiu indów starożytnych, mianowicie do epoki bramańskiej. Życie indów w téj dobie ma już charakter zupełnie odmienny. Wyruszywszy bowiem może około r. 1400 przed Chr. z Pendżabu, posuwali się coraz dalej na wschód i na południe, dopóki po wielu wiekach nie zajęli doliny Gangesu i całego Dekkha-

Z niéj konie powstały i to
co miewa z obu stron zęby,
Z niéj krowy się urodziły,
z niéj wyszły kozy i owce.

Pracłowieka gdy stwarzali,
ilekroć go przetwarzali?
Jak usta jego, ramiona,
biodra i nogi się zwaly?

Bráhm an em są jego usta,
Rá d ź a n j á ramiona stały,
Biodra jego oto W a i ś j a,
Z n ó g zaś Ś u d r a się urodził.

Księżyc z ducha urodzony,
z oka słońce się zrodziło,
Z ust Indra jako téż Agni,
a z oddechu wiatr się zrodził.

Z pępka więc było powietrze,
z głowy niebo zaś powstało,
ziemia z nóg, a z ucha kraje;
Tak to światy więc stworzyli.

Siedm płotów, trzy razy siedm,
pokładów drew ustawiono,
Gdy bogi czyniąc ofiarę
związały bydlę, pracłeka.

Ofiarą bogi przyniosły ofiarę,
To były więc pierwsze stałe zwyczaje;
Ci to potężni zajęli szczyt nieba,
Gdzie są prastarzy skuteczni bogowie ²⁾.

1) Cztery zbiory Wed: r čas, sāmāni, čhandāmsi, jadźus. Przez čhandas rozumieć tu należy Atharva-vedę; w ogóle zaś wyraz ten oznaczał według Ludwiga (Die philos. u. relig. Ansch., str. 4) wszystko, co miało formę metryczną.

2) Ostatnia zwrotka składa się z wierszy 11-tu zgłoskowych (trišṭup).

nu. Okupacya ta nie obeszła się bez utarczek i dłuższych nawet walk, o których wspominają nam nieraz późniejsze hymny Rigwedy. Poetyczne reminiscencye tych bojów służą także za tło dwu sławnym epejom: *Mahābhāratam* i *Ramājanam*. W nowych siedzi-
bach stosunki zewnętrzne indów znacznej uległy zmianie, więc téż i ich życie wewnętrzne inne musiało przybrać kształty. Przedewsz-
stkiem zmieniły się stosunki społeczne. Najpierw bowiem zdo-
bywszy aryowie ujarzmili sobie zupełnie pokonanych krajowców,
zrobiwszy ich swymi niewolnikami (*Śudra*). Równocześnie powstał
w łonie ich samych ważny rozdział. Od ogółu bowiem szczepu
aryjskiego (*Waśja*), oddzieliła się z jednej strony szlachta rycerska
z królami na czele (*Kṣatrija*, *rādźanja*), z drugiej zaś, rodziny ka-
płańskie (*Brāhmana*). W ten sposób powstały kasty indyjskie,
w których duchowieństwo najwyższe miało znaczenie. W jaki zaś
sposób do tego doszło, mieliśmy już sposobność gdzieindziej o tém
mówić¹⁾. W rodzinach kapłańskich przechowywała tradycya stare
hymny wedyjskie, z którymi w związku był cały kult religijny.
Umieli z tego skorzystać bramani i stali się niezbędnymi dla in-
nych współbraci. W stosunku do tego jak rosta zamożność kraju,
mnożyły się klasy kapłańskie a z tymi i kult religijny stawał się co-
raz bardziej skomplikowany.

Teraz to więc zebrano stare formułki „ofiarne“ w zbiorok *Ja-
dźur-weda*, pieśni przy nabożeństwie śpiewane utworzyły zbiór
„*Sāma-weda*“, a cały skarb „wierszy“ starożytnych, jaki się zachował
w rodzinach starych piewców, nazwano *Rig-wedą*. Nie wszystkie je-
dnak stare pieśni wcielono do tych zbiorów; niektóre z nich bowiem
treścią swą nie nadawały się do tego, inne zaś nie miały dostatecznej
powagi autorskiej. Do tych to pieśni dołączono jeszcze mnóstwo no-
wych i utworzono zbiór *Atharwa-weda*, który dopiero później uz-
nano za kanoniczny. Hymny te wszystkie przechodziły przez długie
wieki w ustnej tylko tradycyi z ojca na syna; to téż i zbiorów całych
uczono się tylko ustnie. Gdy jednak język hymnów stawał się coraz
bardziej niezrozumiałym, a rytuał coraz bardziej się zmieniał, poczę-
to się oglądać za takimi, którzy najlepiej umieli stare hymny wykła-
dać. Powstali więc rozmaici nauczyciele i rozmaite szkoły, w których
uczono starych pieśni i objaśniano ich treść i formę. Objaśnienia te,
zwane *brāhmana*, przechodziły przez długie wieki również tylko
z ust do ust, nim je nareszcie przelano na pismo. Wśród tych ko-
mentarzy treści najrozmaitszej, najważniejsze są dla nas objaśnienia
filozoficzne, zawarte w tak zw. *upaniszadach*. W nich bowiem
mamy niejako dalszy ciąg spekulacyi metafizycznych, których począ-
tek widzieliśmy już w niektórych hymnach Rigwedy.

Główną myślą wszystkich upaniszadów a więc i całej filozofii

¹⁾ Por. *Kultura indów w epoce wedyjskiej*, Bibl. Warsz., 1885, lipiec.

indyjskiej, jest identyczność pojęć brahman i átman, to znaczy: identyczność pierwiastka wszechrzeczy z najwewnętrzniejszą istotą człowieka. Po długich więc szukaniach za najwyższą jednością, znalazł ją człowiek we własnej duszy. Jakże do tego przyszło? W hymnach Rigwedy oznacza wyraz „brahman“ tylko „modlitwę“ jako „wezbranie,“ (brh—,farcire) uczuć, „wzniesienie się woli ludzkiej do Boga“¹⁾. Otóż potęgą modlitwy uniesiony mędrzec ujrzał w głębi własnej duszy to, co mu się wyższem zdawało nad wszystkie stworzenia, co rządziło światem i wszystkimi bogami. A że modlitwę (brahman), uważał już od dawna za „pokrzepienie bogów,“ bez którego się oni obejść nie mogli, nie dziw, że w czasach, kiedy bujna jego wyobraźnia, przeważając nad rozumem, każdą siłę ubierała w kształty, że w czasach tych i potęgę modlitwy uosobiono i jako „pana modlitwy“ (Brahmanas-pati, Brhas-pati) postawiono na równi z innymi bogami.

„Który w niskiej cieśni wszędzie się rozszedzszy,
pocieszając wielkich potężnie urosleś;
Jako Bóg, ku bogom w dali się rozszerzył
objąwszy ten wszystek świat Brahmanas-pati“²⁾.

A więc „pan modlitwy“ powstaje w „niskiej cieśni,“ t. j. w ciasnej piersi człowieka, mimo to jednak jest „pocieszycielem bogów,“ to zn. jest bogom potrzebny; dalej on jest sam „Bogiem“ i „obejmuje świat cały.“ Z tego wynika, że „modlitwa“ jako podniesienie umysłu ponad świadomość indywidualnego istnienia, jest owym pierwiastkiem wszech rzeczy, wyższym nad świat i bogów. To też na pytanie poety wedyjskiego:

„Co to za las, co to za drzewo było,
Z którego niebo, ziemię wyciosano,“ i t. d.

odpowiada mędrzec bramański:

„Brāhman tym lasem, brāhman było drzewem
Z którego niebo, ziemię wyciosano;
Rozmyślając w duchu to wam zwiastuję,
O brāhman się oparł dzierżyciel świata,“³⁾.

W innym miejscu mówi mędrzec, że „brahman użycza siły wszystkim bogom bez niego i źdźbła Agni nie spali a Wāju (wiatr) nie unie-

1) Nasze „modlić się,“ znaczy właściwie „zmiękczać kogoś; orare = słowa czynić, niem. beten = żądać, grec. zaś εὐχεσθαι = życzyć sobie.

2) Rigw. II, 24, 11.

3) Taittir. Brāhm. II, 8, 9, 6.

sie,“ ¹⁾ ono jest duszą wszelkich zjawisk na świecie. „Brahman wszędzie przebywa, wszędzie się rodzi,“ znaleźć go zaś można „w mieście o siedmiu bramach,“ t. j. w ciele ludzkim, gdzie „w środku siedzi karzeł, którego ubóstwiają bogowie“ ²⁾. Tutaj to „w kielichu lotusowym serca“ jest brahman to samo co *âtman* (powstałe z brahman przez wzmocnienie subiektywnej jego potencji). Tak np. uczył *Śândilja* ³⁾: „Zaprawdę, ten wszechświat jest brahman, potrzeba go czcić w cichości jako początek, trwanie i koniec wszech rzeczy“ ⁴⁾... On jest moją duszą (*âtman*) we wnętrzu serca, mniejszy niż ziarnko ryżu, jęczmienia, gorczycy, prosa, mniejszy niż jądro w ziarnku prosa; on jest moją duszą we wnętrzu serca, większy niż przestrzeń powietrzna, większy niż niebo, większy niż te światy. On, co wszystko działa, wszystkiego pożąda, wszystko wacha, smakuje, wszystko obejmuje, milczy i nie troszczy się, on jest moją duszą we wnętrzu serca, on jest brahman, do niego ja wejść ztąd odchodząc.“ Końcowe tej nauki słowa świadczą, że rozróżniano już jaźń empiryczną, cielesną, od jaźni metafizycznej, duchowej (*param âtman*). Różnicy tej poświęcone są w upanisadach także liczne dysputy. Tak np. w jednym miejscu dochodzi mędrzec do czystej jaźni duchowej, zrywając z cielesnej liczne jej osłony ⁵⁾. Według niego najpierw w jaźni pożywienia tkwi jaźń oddychania, w tej jaźni rozumu, w tej znowu jaźń poznania a w tej dopiero ostatniej najwyższa jaźń rozkoszy. W jaźni najwyższej schodzi się wszystko, mówi inny ⁶⁾, tak samo jak w oceanie wody, w uchu tony, a w oku kształty; z niej powstał świat cały, to też kto ją poznał, poznał wszystko. Ona jest jedyną, najwyższą i najdoskonalszą jednością, dla niej niema ni starości ni śmierci. „Jak słońce, jako oko wszechświata, zdala i nieruszana od wszelkiej choroby, podpadającej pod oko ludzkie, pozostaje jedność jako *âtman* żyjące we wszystkich istotach, zdala i nieruszona od cierpień świata.“ Oto początek właściwego pesymizmu u Indów. Jeżeli bowiem *j e d n o ś ć* najwyższa jest najdoskonalszą, to obok niej *r o z m a i t o ś ć* świata empirycznego jest tylko źródłem wszelkiego cierpienia. Powstaje więc dualizm: z jednej strony *brâhman* jako ostateczna przyczyna wszechrzeczy, identyczna z jaźnią najwyższą (*âtman*), z drugiej zaś świat bytu i znikania, cierpienia i śmierci.

Z tym dualizmem zlewa się drugi, powstały z wiary w wędrówkę dusz po śmierci. Wiara ta, mniej lub więcej rozwinięta, spotyka się prawie wszędzie, zwłaszcza u narodów i społeczeństw stoją-

¹⁾ *Kêna-Upaniś*, III, 19, 23.

²⁾ *Kâthaka-Upan*, V, 1, 3.

³⁾ *Czhândogja-Upan*, III, 14.

⁴⁾ *Tad - dzalân* = *tad dza + tad la + tad an*; inaczej Oldenberg, *Buddha* str. 31.

⁵⁾ *Taittir. Upan*, II, 1.

⁶⁾ *Czhândog-Upan*, VI, 1, 4.

cych na niższym stopniu kultury. Cóż innego bowiem są np. wierzenia naszego ludu w upiory, t. j. w dusze zmarłych, które pod rozmaitemi postaciami pokazują się na ziemi tak długo, dopóki nie odpokutowawszy za jakiś grzech wielki nie osiągną zbawienia. Początki przynajmniej podobnej wiary mogły istnieć i wśród ludu indyjskiego już w czasach najdawniejszych, jakkolwiek śladów ich w hymnach Rigwedy nie mamy. Być może jednak, że wiara podobna rozwinęła się dopiero wtedy, kiedy lud indyjski począł się mieszać z podbitymi przez siebie nie-aryjskimi krajowcami, dość że bramani wcielili ją do swego kultu, ucząc, że tylko ofiara i wiedza święta może wybawić duszę od wiecznej po śmierci wędrówki. Inaczej prześladuje człowieka potęga śmierci i poza grobem, niszcząc i tam każde jego istnienie, tak że ciągle umierać i wciąż w jakiejś nowej postaci rodzić się musi. I tutaj więc mamy dualizm: potępienie w niewoli ciągłego bytu i ciągłej śmierci, i zbawienie przez ofiarę i wiedzę świętą. Wiara ta, połączywszy się z metafizyką mędrców indyjskich, przybrała postać mniej więcej następującą: pośmiertna wędrówka duszy jest połączona ze światem bytu i znikania, cierpienia i śmierci; wybawieniem zaś od niej jest tylko zjednoczenie duszy ludzkiej z prawdziwą jej istotą a najwyższą jednością, t. j. brahman. Idzie więc tylko o to, w jaki sposób pozbyć się bytu i cierpienia a osiągnąć zjednoczenie z najwyższym brahman. Do tego prowadzi, zdaniem filozofów indyjskich, tylko nie-pożądanie (a-kāma), czyli pozbycie się wszelkich pragnień, i poznanie (prati-buddhi) w sobie najwyższego brahman. „Na pożądaniu bowiem opiera się natura człowieka. Jakie jego pragnienia, takie dążenia, jakie dążenia takie czyny, jakie zaś czyny taki byt jego.“ Czyny jednakże, chociażby najlepsze, nie prowadzą do zbawienia, t. j. do połączenia się z brahman, bo one należą do świata empirycznego. Najlepiej więc nic nie czynić i niczego nie pragnąć, tylko zagłębiać się nad poznaniem ostatecznej przyczyny wszech rzeczy (brahman), która jest zarazem najwewnętrzniejszą istotą człowieka (ātman). Kto poznał ātman, u tego pożądanie (kāma) samo przez się znika; dlatego poznanie jest jednym środkiem do wybawienia duszy ze świata bytu i cierpienia. Ono jest prawdziwą i jedyną wiedzą (vidjā), wszelka zaś wiedza empiryczna jest właściwie nie-wiedzą (a-vidjā), oparta na świecie empirycznym, który w obec jaźni najwyższej jest tylko złudzeniem.

Cała ta metafizyka rozwinęła się właściwie wśród świeckich uczonych, którzy z nauką bramanów i w ogóle z całą ich przewagą nigdy się zgodzić nie mogli. Kiedy jednakże kapłani ujrzeni, że ostateczny rezultat tej metafizyki celom ich nie zaszkodzi, aprobowali ją i wcielili upanisady do ksiąg kanonicznych. Wygodnie im to nawet było, że świeccy uczeni, nie troszcząc się wcale o ten świat bytu i cierpienia, porzucali wszystko i szli do lasu, by się tam bez przeszkody zagłębiać nad poznaniem najwyższego brahman w swą duszę. Kiedy jednak „przebudzeni“ (prati-buddha), t. j. tacy, którzy osiągnę-

li to najwyższe „poznanie,“ zaczęli wracać z lasu i szerzyć naukę swą między ludem, bramani stanęli przeciwko nim jako jeden mąż i ogłosisi ich kacerzami. Z filozofii bowiem pesymistycznej rozwinęła się religia, za której twórcę uchodzi Buddha t. j. „o-budzony,“ pierwszy, który pod świętym drzewem aśwatha osiągnął „poznanie,“ a więc pozbycie się cierpień (nir-vāna).

Buddyzm opiera się również na tém, że tylko pożądanie i niewiedza trzymają duszę człowieka w tym świecie bytu i cierpień. Kiedy jednakże buddyzm stał się religią szczeroną między ludem, wyrazy „wiedza“ i „nie-wiedza“ przybrały inne, przystępniejsze ludowi znaczenie. Kiedy bowiem w metafizyce odnosiły się one do „poznania“ w swęj własnej duszy najwyższej jaźni, to później rozumiano przez nie wiedzę lub nie-wiedzę „czterech prawd świętych,“ objawionych Buddzie pod świętym drzewem. Te cztery prawdy mówią: o cierpieniu, o powstaniu cierpienia, o pozbyciu się jego, i o drodze do pozbycia się jego wiodącej. Według tradycji miał sam Buddha rozwinąć te cztery św. prawdy w przemówieniu swém do mnichów w Benares mniej więcej w ten sposób: 1) Cierpieniem jest wszystko, co wiąże nas do ziemi, a więc urodzenie, starość, choroba, śmierć, połączenie z niemitem, rozłączenie z mitem, nieosiągnięcie rzeczy pożądanęj; 2) Powstaniem cierpienia jest pragnienie bytu, prowadzące z jednego życia do drugiego, pragnienie chuci, pragnienie potęgi; 3) Pozbyciem się cierpienia jest pozbycie się tego pragnienia przez całkowite zniszczenie pożądanego; 4) Droga do pozbycia się cierpień są: dobra wiara, dobre postanowienie, dobre słowo, dobry czyn, dobre życie, dobre dążenie, dobre myślenie, dobre zagłębianie się.

Oto wyraz pesymizmu buddhystów, który skombinowany z chrześcijaństwem, ma być według Hartmanna religią przyszłości. Ponieważ tę stronę indyjskiego pesymizmu przedstawił prof. Straszewski obszerniej w swęj pracy, odsyłamy do nięj czytelników, kończąc swe uwagi przyznaniem tylko słuszności autorowi, który dowodzi, że ani Buddhaizm ani Hartmanizm nie ma dziś u nas racji bytu. Słusznie powiedział niedawno jeden z krytyków niemieckich dzisiejszych pesymistów, że im jednego tylko potrzeba, a to: wybawienia od zбочeń ich świadomości i od nieświadomości ich zбочeń. Dowodzi tego najlepiej praktyczne dzisiejszęj filozofii niemieckięj zastosowanie, którego ostatniem wyrazem jest Hartmanowe: „ausrotten!“

Wiedeń, w lipcu 1885.

Dr. Jan Hanusz.

H. Matzat. Methodik des geographischen Unterrichts. (Metoda nauki jeografii). Z 36 tabl. litograf. Berlin 1885, str. 382.

Nie ma zapewne pomiędzy przedmiotami nauki szkolnęj drugiego, któregoby wykład w szkole był do tego stopnia zaniedbany pod

względem metodologicznym, co właśnie nauka jeografii. O ile przedmioty filologiczno-historyczne i matematyczne cieszą się od dość dawna metodologią ustaloną do pewnego stopnia ¹⁾; o tyle pozostawał wykład nauki języka ojczystego oraz nauk przyrodzonych i jeografii aż do lat ostatnich na łasce mniejszej lub większej zręczności pedagogicznej i dydaktycznej nauczyciela, wykładającego te przedmioty. Z postępem czasu zyskały nauki przyrodzone ²⁾, oraz wykład języka ojczystego ³⁾, odpowiedniejszą swęj wartości pedagogicznej metodologią, tylko wykład jeografii nie mógł się dźwignąć na stanowisko przedmiotu, uregulowanego w planie nauki szkolnej przez pewną jednolitą, naukową metodę dydaktyczną. Nauka jeografii w szkole pozostała wśród antagonizmu metody analitycznej i syntetycznej, wśród sporów o przewagę treści opisowej i statystycznej, pamięciowej i porównawczej, ciężarem dla nauczyciela, gubiącego się w drobnych szczegółach, a straszylłem dla ucznia, który, o ile tylko mógł, od niego uciekał lub też w ostateczności, dla samej rutyny egzaminów, obarczał na razie pamięć swoją szczegółami oderwanymi choćby tylko do jutra,—bez żadnej korzyści dla gimnastyki pedagogicznej umysłu, która przecie powinna być głównym celem wszelkiej nauki szkolnej, celem, będącym dopiero na najwyższym stopniu nauki, najskuteczniejszym środkiem bogacenia naszej wiedzy. Nie było dotychczas zgody między pedagogami ani co do treści ani co do zakresu materalnego tej nauki, nie zdefiniowano jasno tego środka pedagogicznego, nie wskazano stopnia i stosunku, w którym przy wykładzie należy obok podstawy faktów topograficznych uwzględnić także i fakta przyrodnicze, etnograficzne, polityczne i historyczne, słowem: dydaktyka szkolna gubi się jeszcze dzisiaj przy nauce jeografii wśród nieprzeniknionych ciemności, w chaosie jak najróżnorodniejszych szczegółów. Pedagogowie nie porozumieli się nawet co do punktu wyjścia, którego przy nauce tego przedmiotu szkoła trzymać się powinna: czy należy dać pierwszeństwo metodzie analitycznej, która, rozpoczynając od kółka najmniejszego, np. kraju rodzinnego lub innej jakiejś szczególnej miej-

1) Zob. z dawniejszych, M. W. Drobisch „Philologie und Mathematik als Gegenstaende des Gymnasialunterrichts. Lipsk 1832, Wittstein, „Die Methode des mathematischen Unterrichts.“ *Pedagog. Revue* 1847. Nr. 9. Peter, „Der Geschichtsunterricht auf Gymnasien.

2) Wretschko, „Über die Behandlung d. Naturgeschichte in den Gymnasien. W czasopiśmie „Zeitschrift f. d. oesterreich. Gymnasien,“ 1861. Baior: „Wie die Naturgeschichte in der ersten Helfte unseres Jahrhunderts behandelt wurde.“ W *Czasop. „Zeitschrift f. d. Realschulwesen,“* 1885 r., zosz. 3.

3) Zob. F. Hornemann, „Zur Reform des neusprachlichen Unterrichts. Hannover, 1885. H. Breymann, „Wünsche und Hoffnungen betreffend d. Studium der neueren Sprachen,“ München, 1885. Porównaj także „Opinie Akad. Um. w Krakowie, w sprawie reformy szkół w Galicyi.

scowości, np. góry Ararat (Dr. T. Ziller, *Grundlegung zur Lehre vom erziehenden Unterricht*. Lipsk 1865, str. 431), wznosi się zwolna do znajomości kół coraz szerszych, obejmujących wreszcie koło całej kuli ziemskiej; czy téż metodzie syntetycznej, która wychodząc ze stanowiska ogólnych pojęć jeografii powszechniej, zstępuje z obszaru całego planety do badania własności topograficznych krajów poszczególnych.

Przy tém wszystkiém panował od dosyć dawna na tém polu literatury ruch dosyć ożywiony; nie było prawie roku, w którymby nie pojawiały się studia, poświęcone metodologii jeografii ¹⁾. Zajmowali się tą sprawą profesorowie na powstających dopiero teraz katedrach uniwersyteckich dla tego przedmiotu, zajmowały się nią także bardzo pilnie doroczne zjazdy towarzystw jeograficznych, oraz stowarzyszenia naukowe, zajmujące się wyłącznie tą gałęzią wiedzy ²⁾. Ruch ten ożywił się coraz energiczniej, pod wpływem metody porównawczej K. Rittera, podtrzymywany przez postępowy rozwój odkryć nowych podróży, przez udoskonalenia kartografii oraz badań topograficznych ³⁾. Przy całym tym nader poważnym ruchu naukowym wpływającym bardzo korzystnie na postęp naukowych systematycznych badań jeograficznych, nie splotnęło ztąd wiele korzyści dla szkoły pod względem metodologicznym, tak, że nawet instrukcye, wpływające z najnowszej organizacji zakładów naukowych w Niemczech, w Austro-Węgrzech, we Francyi, Włoszech i t. d. nie zaspakajają jeszcze wszystkich potrzeb szkoły. Jeszcze w r. bieżącym 1885, poświęcił uczony niemiecki Lehmann troskliwie studyum temu przedmiotowi w celu ustalenia metody wykładu téj nauki w szkole ⁴⁾.

W obec takiego położenia rzeczy na polu metodologii szkolnej przy wykładzie jeografii, zasługuje na tém pilniejszą uwagę naszą dzieło p. Matzat'a, wyłącznie temu przedmiotowi poświęcone, powołane przez nas w nagłótku tego artykułu, a to tém bardziej, że odznacza się sa-

¹⁾ I. G. Lüdde, „Die Geschichte der Methodologie der Erkunde in ihrer ersten Grundlage, vermittelt einer historisch — kritischen Zusammenstellung der Litteratur der Methodologie der Erdkunde, 1849.

²⁾ Cf. Zeitschrift d. Gesellschaft f. Erdkunde zu Berlin. Verhandlungen der Gesellschaft fuer Erdkunde zu Berlin. Mittheilungen der K. K. geographischen Gesellschaft in Wien. Proceedings of the Royal Geographical Society. Bulletin de la Société royale de géographie d'Anvers i w. i.

³⁾ Cf. Wagner: „Der gegenwärtige Standpunkt der Methodik der Erdkunde, u. Behma, Geographisches Jahrbuch, r. 1878, VII, 1880, VIII. Zob. „Bibl. Warsz.“ z r. 1882, t. I, artykuł prof. dr. Czernogo, p. tyt. „Dzisiejszy stan geografii, jéj badań i wiadomości.“ Str. 183—206.

⁴⁾ Lehmann, „Vorlesungen ueber Hilfsmittel u. Methodo des geographischen Unterrichts.“ Halle a. S. 1885, zesz. I. Dronko, „Thesen zur Foorderung der geographischen Wissenschaft und des geographischen Unterrichtes.“ W Czasop. „Paedagogium,“ VII, 6.

modzielnością sądu oraz naukowym, filozoficznym poglądem na zadanie pedagogiczne téj gałęzi nauki szkolnej, obok dokładnej znajomości przedmiotu i materiału jeograficznego; niemniej przy widocznych rezultatach doświadczenia i praktyki nauczycielskiej, obejmującej wszystkie kursa od najniższych do najwyższych. Jest to dzieło jednolite od początku do końca z jasnym, wyraźnie zakreślonym planem przedsięwzięte i wykonane.

P. Matzat, znany już na polu pedagogii przez swoje dzieło, p. t. „Nauka geografii w obrazach,“ („Zeichnende Erdkunde“), w książce, z której zamierzamy dać czytelnikom treściwe sprawozdanie, zamierzył przedstawić w formie monografii pedagogicznej, opierającej się na dzisiejszym stanowisku nauki pedagogii, wyrozumowane wszechstronnie zasady metodologiczne wykładu geografii w szkole, przedsięwziął wyłożyć z całą ścisłością sposób i środki metody nauki geografii, „metody któraby nie dopuszczała żadnej samowoli uczącego, a wskazywała wyraźnie tylko to, co koniecznie i niezbędnie należy do nauki tego przedmiotu w szkole.“

Dzieło p. Matzat rozpada się na 2 części, mianowicie: analityczną i syntetyczną.

W części pierwszej, przedstawił autor dokładny obraz rozporządzeń i instrukcyi rządowych co do sposobu wykładu geografii w szkołach, które w ostatnich czasach ogłosiły władze edukcyjne w Niemczech, a mianowicie w Prusiech, zebrał opinie i postanowienia, które w téj materji zapadły na zebraniach dyrektorów szkół pruskich, oraz na zjazdach jeograficznych. W ten sposób możemy poznać gruntośnie cele i zadanie, jakie w danéj chwili postawiono nauce geografii w edukcyi publicznej, poczynając od szkoły ludowej, elementarnej, a kończąc na szkołach gimnazyalnych, wyższych. Obok tego znajdujemy w dziele p. Matzat, jakby dla naocznego przykładu, wzór planu szkolnego według klas czyli kursów pojedynczych, obowiązującego w Belgii, niemniej i postanowienia kongresu międzynarodowego jeografów z r. 1875-go.

Zdobyte w ten sposób, na drodze niemal empirycznej rezultaty praktyczne, rozbiera w dalszym ciągu i bada jak najszczegółowiej uczony autor równie ze stanowiska nauki geografii, jak niemniej i ze stanowiska pedagogii. Poznajemy tedy dokładnie nietylko treść i osnowę, ale i granicę wykładu szkolnego geografii, wstępujemy z autorem na stanowisko, z którego możemy ocenić wartość pedagogiczną i psychologiczną, każdej z dotychczasowych teorii. Praktyka szkolna, wskazana przez dzieło p. Matzata, nie jest jeszcze dosyć swobodna i pewna w obec zasad naukowych badań jeograficznych, lecz znachodzące się tutaj pewne trudności, potrafi ostatecznie usunąć usilność i wytrwałość systematycznej pracy szkolnej. Autor, rozbierając wszechstronnie zadanie swoje, zapuszcza się przy téj sposobności w dosyć szczegółowy rozbiór metody Herbartosko - Zilleroskiej, wykazując wszechstronnie i jasno nietylko zasadę, ale i kie-

runek celów dydaktycznych oraz pedagogicznych, które za pomocą tej metody wykładu jeografii, szkoła osiągnąć może i osiągnąć powinna. W ten sposób znajdujemy w dziele p. Matzat'a najdokładniejszą ilustracją teorii Herbarta, którą Ziller starał się ująć w pewne prawidła metody dydaktycznej i pedagogicznej¹⁾.

Najmniej pożytku a wiele znużenia sprawią czytelnikowi dzieła p. Matzat, rozliczne nader szematy i pedziały jeografii na pojedyncze jak najdrobniejsze gałęzie tej dyscypliny szkolnej, a to tém bardziej, że z niektórymi szematami nie podobna się zgodzić, jak np. z działem mającym tytuł: „jeografia statystyczna,“ jako „zbiór wszystkich zjawisk jeograficznych, które się odnoszą do człowieka.“ Wśród tak drobiazgowej klasyfikacji, wśród tak szczegółowych działów i poddziałów, które czasem sięgają aż do 5-go stopnia, gubimy znowu ten jasny pogląd na sam przedmiot, który się już począł ustalać z chwilą, gdy zgodzono się na podział jeografii pod względem metodologicznym na 2 działy, mianowicie: na jeografią powszechną i jeografią szczególną, która obejmowała w sobie wykład jeografii krajów pojedynczych.

Nie małą wartość metodologiczną przyznać natomiast trzeba zastosowaniu praktycznemu zasad i teorii pedagogiczno-psychologicznych przy samym wykładzie jeografii, jak nie mniej i przy ułożeniu całego planu tej nauki. Rozdział wreszcie pod tytułem: „Środki pomocnicze przy nauce jeografii“ (Darstellungsmittel der Geographie) przedstawia na 10 stronicach (61—71) szkic bardzo pożądaný robót kartograficznych, z poglądem na cały rozwój tej gałęzi pracy, przy szczególniejszém uwzględnieniu wymiarów wysokości jeograficznych.

W drugiej części dzieła, w części syntetycznej, stanowiącej główną treść i osnowę nauki jeografii, stara się autor wykazać wartość metodologiczną zasad, wyłożonych w części pierwszej, analitycznej, a to przez praktyczne ich zastosowanie na przestrzeniach powierzchni kuli ziemskiej, które nasza wiedza ma stopniowo zdobywać, poczynając od ciaśniejszego koła kraju ojczystego a postępując systematycznie do kół coraz szerszych w celu objęcia okiem naszego umysłu całej powierzchni kuli ziemskiej. Wskazany co tylko syntetyczny sposób wykładu jeografii w szkole, reguluje równocześnie zasady, na których opierać się powinien plan czyli programat nauki wszystkich kursów, unaocznia równocześnie metodę nauczania w praktyce, a to mając w obydwóch razach wzgląd na:

- 1-sze propedeutyczną naukę jeografii kraju ojczystego.
- 2-gie na naukę elementarną jeografii krajów poszczególnych,
- 3-cie na jeografią powszechną.

¹⁾ Dla łatwiejszego zorientowania się co do tej kwestyi pedagogicznej, wskazujemy dzieło w r. bieżącym wydane p. Fröhlicha pod tyt. „Die wissenschaftliche Paedagogik Herbart - Ziller — Stoy's in ihren Grundlehren gemeinfasslich dargestellt.“ 2 wyd. Wiedeń 1885 r.

Plan tedy, podług którego należy uczyć jeografii w szkołach, powinien postępować drogą następującą:

Naukę całą rozpoczyna kurs przedwstępny, mianowicie tak nazwana nauka „jeografii kraju ojczystego“ („*allgemeine Heimathkunde*“), której metodyką zajmuje się bardzo pilnie literatura niemiecka już od lat kilkunastu, jak tego dowodzi studyum bardzo specyalne Fingera pod tyt. „*Heimathkunde*.“ Po tym najpierwszym kursie następują 3 dalsze, wyższe kursa, mianowicie:

a) Jeografia kraju ojczystego w szerszych granicach („*die geographische Heimathkunde*“);

b) nauka elementarna jeografii krajów poszczególnych („*die elementare Laenderkunde*“);

c) nauka jeografii powszechniej („*die allgemeine Erdkunde*“). Te trzy kursa powinny być wykładane we wszystkich szkołach (elementarnych, średnich i wyższych) we wskazanym porządku, i różnić się tylko mogą stosownie do stopnia szkoły, ciałniejszą lub obszerniejszą, uboższą lub obfitszą osnową i treścią.

Wyłożywszy w sposób powyższy dyspozycyą, że tak powiem, całego materiału pedagogicznego w granicach nauki jeografii, podał nam autor wzór takiej lekcyi, postawił czytelnikowi niemal przed oczy metodę praktycznego wykładu tego przedmiotu, w zastosowaniu się do programatu szkoły, w której sam pełnił obowiązki nauczyciela jeografii.

Obraz tej wzorowej lekcyi jeografii kraju ojczystego jest znakomity; ale autor dał tych wzorów trochę za wiele (80 lekcyi); można by bez szkody dla samej rzeczy poprzestać na kilku, a sam przedmiot zyskałby na przejrzystości. Nie podzielimy tedy zapału referenta niemieckiego p. K. ¹⁾, który dopomina się wydrukowania całej tej części dzieła p. Matzat w osobnej odblite, żeby każdy nauczyciel z łatwością mógł sobie kupić tak pożądaną instrukcyą; ale pragnęlibyśmy ograniczyć w takiej odblite liczbę tych wzorów do kilku najwydatniejszych, ogólnemi zasadami objaśnionych. Praca taka w polskim języku dokonana, mogłaby być ozdobą którego z naszych czasopism pedagogicznych, równie „*Szkoły*“ jak i „*Muzeum*“, niemniej i „*Przeglądu pedagogicznego*“, wychodzącego pod światłkiem okiem pedagogów polskich.

P. Matzat przedstawił, jakeśmy już wyżej zaznaczyli, aż 80 wzorów takich lekcyi w sposobie zupełnie sokratycznym, gdzie po każdym dobrze obmyślaném i jasno sformułowaném pytaniu nauczyciela, następuje potrzebna odpowiedź ucznia. Spotykamy tu z zadowoleniem zdania krótkie, definicye treściwie i jaknajprostsze, zjawiska jaknajpotoczniejsze z życia powszedniego, w związku z powołaniem

¹⁾ *Litterarisches Centralblatt*, 1885, nr. 36, 29-go sierpnia, str. 1221 — 1223. *Deutsche Litztg.* 1885, nr. 33, 15-go sierpnia, str. 1171—1172.

zjawisk i zasad ogólnych klimatologii, np. objaśnienie pocenia się szyby wskutek naszego tchnienia, silniejsze lub słabsze rozgrzewanie się ręki, zbliżonej do ogrzanego pieca w rozmaitym jej układzie i położeniu i w. t. p. Zwierzchnicy szkoły wpłynęliby bardzo korzystnie na doskonalenie się nauczycieli, wykładających jeografią, gdyby przestrzegali tego, żeby każdy nauczyciel początkujący badał dokładnie te wzory równie pod względem formalnym co do jasności wystowienia, jak i pod względem wyboru materiału, ograniczenia treści i t. p. Studyum takie potrzebne jest dla nauczycieli naszych i z tego względu, że według dotychczasowej praktyki szkolnej, poruca się wykład jeografii w klasach niższych zwykle nauczycielom początkującym, którzy na uniwersytecie o tej nauce nic nie słyszeli, nie zwracając na to uwagi, że właśnie metoda wykładu jeografii w kursie niższym jest najtrudniejszą, a od fundamentu tutaj położonego zależy wszystko dalszy postęp ucznia.

Daleko skąpiej obszedł się autor z metodą wykładu jeografii krajów poszczególnych (kurs 2-gi), oraz jeografii powszechniej (kurs 3-ci).

Przy nauce kraju ojczystego, kładzie autor główny nacisk na potrzebę dokładnej mapy, na ćwiczenia uczniów w szkicowaniu samodzielnym map czyli planów krajów pojedynczych, ponieważ przez taką pracę wdraża się zapomocą prostej dedukcyi dokładny obraz wszystkich szczegółów, a mianowicie stosunku wzajemnego wszystkich zewnętrznych kształtów powierzchni w ich układzie poziomym i pionowym nawet. Nie będzie zapewne pedagoga, któryby się na powyższe zasady nie miał zgodzić: zrysowanie bowiem samodzielne jednej mapy zastąpi rozpatrywanie się choćby w 10-ciu jak najlepszych obcej roboty, ponieważ rysunek samodzielny umożliwia dopiero pochwycenie dokładne, i utrwalenie w umyśle ucznia wszystkich szczegółów topicznych powierzchni danego kraju, co jest głównym zadaniem i głównym celem nauki jeografii w szkole; gdyż szkoła nie goni—jak sądzą niektórzy—za gromadzeniem jak najwięcej i to jak najróżnorodniejszych wiadomości, przygodnych dla opisu samouctwa; ale, ścigając za ideałem wszelkiej pedagogii, pragnie obudzić w umyśle młodzieży coraz szerszy, coraz powszechniejszy i interes dla przedmiotów krajoznawstwa, jako jednego ze środków kształcenia władz umysłowych. Przez taki sposób wykładu pobudza się umysły młodzieńcze do coraz gruntowniejszego—mniejsza o to, czy szerszego—zagłębiania się w badanie faktów jeograficznych, przez co wpłynąć można skutecznie na postęp samej nauki. Spora liczba tablic jeograficznych unaocznia czytelnikowi sposób, w jaki powinny być robione mapy jeograficzne w szkole, które nie powinny troszczyć się o zlokalizowanie tych zjawisk życia społecznego, których w żaden sposób zlokalizować nie można. Są to mapy, różniące się zupełnie od takiego malowidła, jakie u nas w roku bieżącym pod tytułem „Mapy poglądowej“ wystawiono, które może budzić ciekawość, ale nauki jeografii

kraju ojczystego ułatwić nie jest w stanie, owszem daje fałszywy obraz fizynomii zewnętrznej kraju przez zarzucenie jej szczegółami życia ekonomicznego, które—dzięki Bogu—rozrzucone są po całej powierzchni, a nie zamykają się w opłotkach tego lub owego dominium.

P. Matzat zarzuca używanie papieru kratkowanego przy szkicowaniu map przez siebie zalecanych, a w prowadza w miejsce kratek—koncentryczne koła kilometrowe, umożliwiające uczniowi oznaczenie dokładniejsze pojedynczych odległości, z czém jednak bez zastrzeżeń zgodzić się trudno, zwłaszcza, gdy zwrócimy równocześnie uwagę na sposób, w jaki p. Matzat każe uczniom oznaczać na tych mapach góry (łańcuchy gór, góry odosobnione, szczyty gór), ponieważ rodzi się tu obawa zbyteńnego przeładowania mapy rysunkiem, który całość obrazu zaciemnić może. W każdym razie wymaga projekt ten wypróbowania go w praktyce pedagogicznej, zanim pozyska znaczenie zasady metodologicznej w instrukcyi szkolnej.

P. Matzat zbudował dzieło swoje na doświadczeniu wieloletniej praktyki pedagogicznej, składa w niém dowody obszernego nader odczytania i dokładnej znajomości literatury tego przedmiotu, a oprócz tego złożył tu dowody znakomitego talentu i zręczności pedagogicznej. Uwaga jego o znaczeniu i potrzebie rysowania map przez uczniów, jako środka gimnastyki umysłowej, nie spotka się zapewne z żadnym poważniejszym zarzutem, ponieważ, jak słusznie twierdzi, „pewna zręczność w rysowaniu map jest warunkiem nabycia wprawy w oryentowaniu się na każdej mapie; zdolność zaś wyżej nieco sięgająca, mianowicie zręczność kreślenia z głowy dokładnego krajobrazu nie jest w życiu nikomu tak potrzebną jak nauczycielowi geografii.“

Już nie pedagog doświadczony; lecz doktryner odzywa się w autorze, gdy mimo tego, że sam jest zwolennikiem koncentracji nauki w programacie szkolnym, żąda, aby nauka geografii stosowała się do tego stopnia do nauki historii i języka ojczystego, żeby geografją Azji przed-eufratowej wykładano w związku z historią starożytną, geografją zaś Azji poza-gangesowej łączono z wykładem historii mongołów w wieku XIII-ym i XIV-ym, geografją zaś matematyczną w związku z lekturą którego z autorów literatury ojczystej.—
Mutata mutandis!

Dzieło p. Matzat nie jest tedy wolne od twierdzeń i opinii, które wymagają poważnego szczegółowego rozbioru; w każdym jednak razie zasługuje przy obecném położeniu sprawy szkolnej u nas, w obec niedostatku nauczycieli, którzyby byli mieli sposobność ćwiczenia się metodologicznego i badania systematycznego metody wykładu geografii w szkołach—zasługuje, mówię, na baczną uwagę stanu nauczycielskiego.

J. K. P.

WIADOMOSCI BIEŻĄCE,

NAUKOWE, LITERACKIE, ARTYSTYCZNE I SPOŁECZNE.

WARSZAWA.

Wrzesień 1885.—Fundacya imienia Aleksandra księcia Lubomirskiego w Krakowie. Aleksander Ignacy książę Lubomirski, syn Franciszka Ksawerego i Teofili hr. Rzewuskiej, urodził się dnia 11 sierpnia 1802 r.; wdowiec bezdzietny, mieszkający w Paryżu, od lat 30 zajmuje się studjami literackimi i prowadzi życie ciche, odosobione, tak, że nie wielu wiedziało o pobycie jego na obcej ziemi, a tém mniej przeczuwać mogło jak wielki zamiar nosi w swém sercu szlachetném. Dopiero przy sposobności podróży cesarza Franciszka-Józefa po Galicyi gruchnęła wieść, że mieszkający w Paryżu ks. Lubomirski znaczne fundusze przeznaczają na jakąś instytucyą użyteczności publicznej. Okoliczności przeszkodziły jeszcze kilka lat wykonaniu postanowienia tak szlachetnego. Na wiosnę dopiero roku 1885-go wybrał się ks. Lubomirski do Wiednia, żeby hr. Taaffemu zamiar swój odstąpić i uprosić sobie pełnomocnika dla dopełnienia prawidłowego układu z rządem, wskazując w tym celu Artura hr. Potockiego albo Ludwika hr. Wodzickiego. W kilka tygodni potem nadeszła wiadomość z Paryża do banku krajów koronnych (Laenderbank) w Wiedniu, na którego czele stoi Ludwik hr. Wodzicki, dwa miliony franków w złocie, oraz list fundatora z oznajmieniem, że pieniądze te są przeznaczone na fundacyą dobroczynną dla miasta Krakowa, której szczegóły w swoim czasie po dokonanych układach z rządem ogłoszone będą. Hr. Taaffe polecił wtedy przysposobienie aktu fundacyjnego, który został podpisany w dniu 31 sierpnia 1885 r. w Paryżu w gmachu ambasady c. k. austro-węgierskiej w obecności namiestnika galicyjskiego Zaleskiego. Wspaniałomyślny fundator, Aleksander ks. Lubomirski oświadcza, że złożony już w banku dla krajów koronnych (Laenderbank) kapitał dwóch milionów franków, oddaje rządowi austriackiemu do dyspozycji z przeznaczeniem, aby w osobno na ten cel wzniesionym gmachu fundacyjnym, otwarty został zakład dla opuszczonych lub źle prowadzą-

cych się chłopców wyznania katolickiego, pochodzących z Galicyi i W. Ks. Krakowskiego. Zakład nowy będzie nosił nazwę: „Schronisko fundacyi Aleksandra księcia Lubomirskiego.“ Celem jego będzie religijne i moralne wychowanie chłopców, oraz przygotowanie ich do zakładów praktycznych. Namiestnik, podpisawszy akt fundacyi, objął niejako w depozyt kapitał fundacyjny, złożony już w banku. Dalszą działalność, skierowaną ku szybkiemu wykończeniu i wprowadzeniu w życie pomnikowego i szlchetnego dzieła, zamierzono rozwinąć energicznie tak, że na przyszłą wiosnę spodziewa się Kraków ujrzeć uroczystość założenia kamienia węgielnego pod gmach postanowionej instytucyi. Koszta budowy zakładu obliczają mniej więcej na 300,000 złr.

— Niezmordowanie czynny i wielce zasłużony względem pomników literatury i sztuki polskiej ks. Polkowski, ogłasza następującą wiadomość o dziele z wizerunkami królów polskich, nieznaném dotychczas bibliografom polskim. Między darami, które p. Bukowski przywiózł ze Szwecyi i ofiarował do Muzeum narodowego w Krakowie, należy do największych osobliwości dzieło, wydane w Sztokholmie w roku 1736 pod tytułem: „Polska Kongars Saga och Skald,“ a zawierające 50 wizerunków królów polskich, rytých na miedzi. Dzieło samo jest in 4-to o 201 stronicach, dedykowane królowej szwedzkiej Ulyrze-Eleonorze. Do każdego wizerunku króla podany jest tekst. Żywot króla czerpany z kronik polskich, a skreślony prozą po szwedzku, a potem poemat, czy śpiew historyczny w tymże języku spisany. Sam tekst lubo nieznaný dotychczas, nie przynosi nic nowego do nauki dziejów: za to wizerunki królów polskich zasługują na bliższą uwagę.

Uczony szwedzki bibliograf Hansen, w r. 1869 wydał w Sztokholmie dzieło obszerne, o osobliwszych i rzadszych drukach szwedzkich i innego rodzaju osobliwościach, pod tytułem: „Ur en antecknars samlingar.“ Dzieło to musiało mieć w Szwecyi wielką wziętość, skoro powtórną niedługo doczekało się edycyi w Upsali w r. 1880—1882. Otóż w tém dziele jako pierwsza nadzwyczajna rzadkość bibliograficzna, znajdujaca się w królewskiej bibliotece w Sztokholmie opisaną przez Hannesa jest właśnie książka: „Polska Kongars Saga och Skald.“ Dobrze świadomy rzeczy uczony bibliograf w tém, co się tyczy wizerunków królów, twierdzi, że 45 pierwszych od Lecha zacząwszy aż do Zygmunta III, są wykonane z blach, które Tomasz Treter w roku 1591 przygotował w Rzymie do dzieła „Regum Poloniae Icones.“ Dzieło, o którym tu mowa, nie ujrzało, jak wiadomo, nigdy światła dziennego. Wizerunki jednakże królów, rytowane przez Tretera, nie zaginęły, lecz przechowały się szczęśliwie i to właśnie we wzmiankowanym, dziele „Polska Kongars Saga.“ Wiadomo powszechnie uczonym, że pełna i najzupełniejsza kolekcya tych wizerunków, uchodząca za najlepszą, bo od Bolesława Wstydlivego czerpiąca swe wzory z autentycznych źródeł, jako to: z pieczęci, nagrob-

ków i współczesnych portretów, jest znana publikacja Arnolda Myliussa, wydana w Kolonii r. 1591 pod tytułem: „Principum et Regum Polonorum imagines ad vivum expressae.“

Porównyując Wizerunki Myliussa z wizerunkami w dziele szwedzkim „Polska Kongars Saga,“ znajdujemy uderzające podobieństwo od pierwszego aż do ostatniego, z pewnemi jednakże małemi odmianami, które tu wymienimy. I tak: jeśli wizerunek którego z królów u Myliussa zwrócony jest twarzą w stronę prawą, to w opisywanym przez nas dziele szwedzkim twarz monarchy zwrócona jest w lewą stronę i przeciwnie. Dalej, przy dwóch wizerunkach Krakusa i Wandy, w dali, na drugim planie rysowane są winiety mogiły Krakusa z widokiem zamku i mogiły Wandy z widokiem klasztoru w Mogile czego u Myliussa niema. Przy wizerunkach Kazimierza I i Władysława Hermana ornamenta na sukniach ich inne są u Myliussa, a inne w szwedzkiej książce. Nakoniec następujące wizerunki królów, to jest kostiumy ich u Myliussa są całkiem bez ozdób, a w szwedzkiej publikacji królowie niżej wymienieni, wzorzyste, bogate mają szaty: Mieszek II, Leszek Biały, Bolesław Wstydlivy, Leszek Czarny, Przemysław II, Łokietek, Kazimierz W., Ludwik węgierski, Jadwiga, Władysław Warneńczyk, Kazimierz Jagiellończyk, Aleksander i Zygmunt I.

I Tomasz Treter i Mylius, byli sobie współcześni, tój jednakże jednostajności wizerunków, jeżeli każdy z nich osobno zbierał wzory i materiały, zebrać nie mogli, jeden więc z drugiego niewątpliwie korzystał, albo Treter z Myliussa, albo przeciwnie. Otóż data podana przez Hansena, rok 1591, w którym Treter te wizerunki rytował, jest prawdziwą, a tę samą datę zamieszcza i Sobieszczański w żywocie Tretera, trzebażby zatem mniemać, że Mylius przerobił wizerunki Tretera, skoro publikacja Myliussa ukazała się dopiero w r. 1594. Kiedy więc Mylius wizerunki przez siebie sztychowane wydał na świat, rytowane przez Tretera blachy nie miały racyi bytu i prawdopodobnie nie były odbijane ani za jego życia, ani po śmierci, boć przecie choć jeden egzemplarz znalazłby się gdzieś w zbiorach. Jakim teraz sposobem blachy Treterowskie dostały się do Szwecyi, wytłómaczyć nietrudno na wspomnienie, ilekroć razy mieliśmy u siebie tych zamorskich panów. Z blachami temi spotkawszy się Jan Henryk Werner, drukarz Sztotckholmski, za królewskim zezwoleniem i kosztem króla, polecił sztycharzowi szwedzkiemu Bergnisk wykonać następujące po królu Zygmuncie III portrety, a mianowicie: Władysława IV, Jana Kazimierza, Sobieskiego, Augusta II i Leszczyńskiego, postarawszy się o krótkie życiorysy królów i śpiewy o nich historyczne wierszem ułożone. W roku 1736 ogłosił drukiem dzieło, które dotąd nieznanie było w literaturze naszej, a którego poznanie zawdzięczamy dopiero teraz p. Bukowskiemu. Muzeum narodowe w Krakowie chlubić się może, że taką osobliwość posiada w swych zbiorach.

— Niemcy poznańscy założyli niedawno temu Towarzystwo

historyczne w celu badania przeszłości ziem wielkopolskich zaboru pruskiego, które uważają za zdobycz moralną, osiągniętą na niższym od siebie narodzie. Niezadowoleni taką doktryną abstrakcyjną postanowili wydawać organ, któryby skutecznie popierał i rozwijał tak potworną, bo nie-historyczną teorią. Znając szeregi, wśród których pracę podejmują, nie wątpią, że będą mieli dostateczną liczbę prenumeratorów, że im nie braknie funduszu na trwałe, swobodne podtrzymywanie swojego organu, który wychodzi w Poznaniu pod tyt. „Zeitschrift der historischen Gesellschaft für die Provinz Posen. Redigirt von dr. B. Endrulat, Kgl. Staatsarchivar. Erster Jahrgang. Erstes Heft. Posen. In Commission bei Joseph Jolowicz. 1885.“

Niemcy jakkolwiek dufają dziś w broń żelaza, nie lekceważą jednak, jak to się u nas dzieje, i broni ducha, nie lekceważą i miecza nauki. „Zeitschrift“ znajdzie zapewne więcej prenumeratorów aniżeli „Roczniki Tow. przyjaciół nauk w Poznaniu!“

Na ostatniem posiedzeniu wydziału historyczno-literackiego Tow. przyjaciół nauk w Poznaniu, zdawał p. Callier sprawę z I-go zeszytu tego wydawnictwa, w którym znajdują się artykuły następujące:

W artykule wstępnym „o zadaniu towarzystwa,“ zbija dr. Endrulat rozpowszechnione między Niemcami poznańskimi zdanie, że pomimo wieloletniego na téj ziemi pobytu, nie czują się być u siebie, że dzieje niemieckie „prowincyi poznańskiej“ są im znane i że dziejów polskich téj dziedziny wcale nie są ciekawi.

Niemiec wykształcony, mówi autor, może wprawdzie znać w ogólnych zarysach nowsze dzieje tego kraju, szczegóły atoli, również ważne jak zajmujące, nie są dotąd ani znane ani zbadane należycie. Liczne drobne wypadki, składające się na dzieło, rozpoczęte z chwilą, gdy poraz pierwszy berło króla pruskiego zawisło nad krajem niegdyś polskim,—na dzieło stopniowego i bezpowrotnego zlania go z resztą państwa,—szczegóły te oczekują dotąd badacza, któryby odtworzył wyczerpujący i wiarogodny ich obraz. Fakt, że Poznańskie było niegdyś krajem polskim, nie może w oczach historyka niemieckiego zmniejszać doniosłości jego; historia bowiem polska przed r. 1772 nastęrcza badaczowi niemieckiemu nadzwyczaj ciekawe epizody, które świadczą, że Polska od najdawniejszych czasów ulegała wpływom niemieckim. Niemcy zakładali w Polsce miasta i osady; odzywające się w Niemczech ruchy religijne i polityczne, oddziaływały nieraz na ustrój państwa polskiego; to téż życie publiczne, zwłaszcza w Poznańskiem, nosi na sobie wyraźne piętno ducha niemieckiego. Z takiego wyszedłszy założenia, rozwija autor swój przedmiot, a w końcu wyraża życzenie, ażeby w stolicy „prowincyi poznańskiej“ stanęło czemprędź muzeum prowincjonalne, w którym zabytki przeszłości, składane i zbierane pod zarządkiem niemieckim, stałyby się za pomocą katalogów niemieckich, przystępne dla uczonych niemieckich.

Drugim z rzędu jest artykuł p. Adolfa Warschauer'a o „Cechach średniowiecznych w Poznaniu.“

Głównem zadaniem téj pracy jest, przekonać czytelnika, że ile za czasów polskich lokacyi na prawie niemieckiem, tyle było osad niemieckich, które wyczekiwały tylko upadku państwa polskiego, ażeby zadokumentować odwieczną niemieckość swoją.

Rzecz jasna, mówi autor, że niemieccy chłopci, rzemieślnicy i kupcy, osiedlając się w obcym kraju, wśród ludności niższej od siebie pod względem umysłowym i ekonomicznym, nie chcieli stać się niewolnikami, którymi zostaliby niezawodnie z czasem, gdyby bez żadnych zastrzeżeń byli złazi się z nieszlachecką warstwą krajowców.

Nie mając jasnego pojęcia o stosunkach publicznych w nowéj ojczyźnie, nie mylili się przecież, skoro przez prawo polskie pojmowali nieograniczoną liczbę pańszczyzn i podatków, tudzież zrzeczenie się wszelkich praw człowieka; jedyne zaś ocalenie swoje widzieli w ścisłym przestrzeganiu swego prawa niemieckiego, które, obowiązując ich tylko do płacenia pewnego czynszu, pozwalało im żyć swobodnie i niezależnie, stosownie do ich praw pierwotnych i zwyczajów. Tak, zdaniem autora, tłómaczyć sobie trzeba ów objaw, że od drugiey połowy XIII wieku, powstawało na całej przestrzeni państwa polskiego muóstwo osad i miast, które, zaludnione po największej części przez Niemców, nie brały żadnego udziału w życiu publiczném i rządziły się same podług swego prawa niemieckiego. Te osady, były to rozliczne wysepki niemieckie na morzu słowiańskiem. Badanie, mówi autor, i zestawienie najdrobniejszych szczegółów rozwoju prawa niemieckiego na ziemi słowiańskiej i walki żywiołu niemieckiego z machiną rządową państwa polskiego, będzie jedném z głównych zadań czasopisma Towarzystwa historycznego dla „prowincyi poznańskiej.“

Trzeci artykuł stanowi pracę p. Maxa Beheim-Szwarzbacha pod tyt. „Aus südpreussischer Zeit.“

Tytuł i nazwisko autora wystarczają, ażeby domyślić się końca rozpoczętej w pierwszym zeszycie elukubracji jego. Apoteoza rządów pruskich, które pragną uszczęśliwić poddanych sobie polaków, i potępienie niewdzięcznych polaków, którzy tego szczęścia nie pragną—owóż do czego zdaje się zmierzać p. Szwarzbach. Autor, wiedząc dokładnie, ile złego sami Niemcy mówili i pisali o Prusach południowych, wmawia w czytelnika że im dłużej wpatrujemy się w to, co zdaniem jego na pozór tylko jest brzydkie, tém więcej niknie brzydota rozpatrywanego przedmiotu, a sądząc między innemi, że łagodność rządów pruskich polacy uważali zawsze za objaw słabości i dlatego powstawali zbrojnie, przyjdzie niezawodnie w dalszym toku swéj pracy do wniosku, że ponieważ najskuteczniejszą zaskoną jest uderzenie, rządzić polakami trzeba maczugą...

Czwarte miejsce w rozbieraném tu czasopiśmie zajmuje niemiecka komedyjka „Ein deutsches Handwerkerspiel,“ która znalazła się przypadkowo w poznańskiem archiwum państwowém i która, zdaniem

wydawcy jęj p. R. Jonasa, świadczyć ma o duchu niemieckim, jaki objawia się w Poznaniu w wiekach XVII i XVIII-ym.

Po tęg komedyjce następuje rozprawa p. H. Hockenbecka o kamieniach wydrążanych (Näpfchensteine) przy kościołach farnych w Kłecku, Łeknie, Rogoźnie i Wągrowcu, która zasługuje na szczególną uwagę naszych archeologów.

Względnęj dla nas wartości są zebrane przez p. Ottona Kroopa klechdy i podania ludowe, których treść podał sprawozdawca i nad któremi wywiązała się dłuższa dyskusya.

Pod ogólnym tytułem „Sprawozdania z literatury,“ zamieszcza zajmujące nas tu czasopismo recenzją rozprawy hr. Stanisława Walewskiego o Trojakach koronnych Zygmunta III-go i wzmiankę o wydawanych w Krakowie „Zapiskach numizmatycznych,“ a pod kroniką wykopalisk zestawia różne, odnośne wiadomości, jako to o wykopanych pod Raszkowem monetach, o kulach kamiennych w ogrodzie zamku niegdyś królewskiego w Poznaniu, o popielnicach w powiecie wągrowskim, o cmentarzysku w powiecie obornickim, o popielnicach w Dębnie powiatu pleszewskiego i o monetach znalezionych w Kosowie z pod Leszna.

Ostatni dział czasopisma zawiera sprawozdania z posiedzeń Towarzystwa.

Dodatkowo zamieszczone są w niém: spis 341 członków Towarzystwa, między którymi figurują także polacy, spis towarzystw i akademii, które zamieniają swe pisma z towarzystwem poznańskim, spis nadesłanych zamian i darów, a w końcu zapiski bibliograficzne księgarni Józefa Jolowicza.

— Znany ze swych prac filologicznych i historycznych słowiańskich prof. Morfill z Oxfordu, wypracował i wydrukował w tomie XIX-tym nowęj „Encyklopedyi Brytańskieję“ artykuł „Poland,“ który ma być obrazem dziejów i piśmiennictwa polskiego.

Autorowi naznaczono z góry rozmiary pracy: miał napisać 4mów czterdzieści. Encyklopedia jest formatu „Biesiady Literackieję,“ lecz ma druk ściślejszy i drobnieszy, stronnice dwułamowe. Morfill, ścisniając ile możności swój przedmiot do nałożonych sobie granic, przekroczył je nieco, ponieważ całość zawarta jest na 21½ stronicach, z których 14½ poświęconych dziejom politycznym, a reszta piśmiennictwu. Pisarz rzecz swą oparł niemal wyłącznie na naszych źródłach, przejrzał dzieła Szujskiego, Bobrzyńskiego, Morawskiego, Szajnochy, Bielowskiego, Smolki, i Kalinki, Korzona i Nehringa; to tęg artykuł jego ma przedewszystkiém cechę pracowitości i różni się pod tym względem nieskończenie od podobnych artykułów nietylko w poprzedniém wydaniu Encyklopedyi Brytańskieję, lecz i od innych prac angielskich i francuzkich.

Po uważniém przeczytaniu tęg w każdym razie mozolnęj dla cudzoziemca pracy nie rażą nas usterki w szczegółach, bo popełnili je przed cudzoziemcem rodacy w najlepszję wierze. Nie będziemy przeto

zapuszczali się w szczegółowy rozbiór krytyczny, który — w piśmie, czytaniem przez Polaków — tém mniej miałby racyi, iż sama praca Morfilla nie jest krytyczną.

Jedna myśl wszakże ściga uwagę czytelnika artykułu: Jeżeli p. Morfill znalazł dość miejsca na 21 stronnicach do rozpisania się o złych stronach charakteru polskiego, ilekroć tylko nadarzyła się do tego sposobność, to czemuż nie widzimy nigdzie śladu choćby intencji oddania nam słuszności, gdzie na to według sądu historii zasługujemy? Obraz p. Morfilla przedstawia nam przeszłość moralną narodu w barwach więcej niż posępnych, jedynie dla tego, iż autor pominął absolutnie rozjaśnić go cieplejszą i promienniejszą barwą. Jeżeli więc było dość miejsca dla tylu posępności... czemuż go zabrakło dla kawałka zroczystych niebios, bez których obraz nie może być podobizną rzeczywistości?

Uderzyło to nie tylko nas, ale i kilku poważnych czytelników angielskich. Jeden z nich, uznając erudycją autora, dodał: „Ale szkoda, że zamilczał o przykładach polskich cnót i dobrych przymiotów, bo proste wyliczenie tych przymiotów, gdzieś uboczem, nie wytrzymuje wcale następnych ilustracji wręcz przeciwnych, lub innych wad charakterystycznych.“ Non comisit, sed omisit — oto co powie każdy, jako tako uzdolniony ziomek o artykule p. Morfilla.

Autor przyjmuje zbyt skwapliwie uwagi niektórych cudzoziemców o składzie naszego społeczeństwa w przeszłości, chociaż powaga ich w bardzo wątpliwym przedstawia się świetle. Tak np. wyliczając stany polskie (str. 285), pisze o kmieciach: „Z czasem kmiecie stali się po prostu niewolnym (bondsmen). Nędzne ich położenie poznać można z ksiąg takich, jak Connor'a: „Listy o Polsce“ (Letters on Poland), ogłoszonych w końcu XVII wieku. Connor, będąc lekarzem Jana Sobieskiego, miał dobre okazyje do wyrobienia sobie opinii. W ten sposób handel krajowy wpadł całkowicie w ręce żydów i cudzoziemców.“ Czy cudzoziemiec na dworze króla Jana mógł wyrobić sobie opinią trafną o kondycji stanu kmieckiego dla tego, że był lekarzem przybocznym monarchy? Wyprawę Bolesława Chrobrego na Ruś przypisuje autor „chęci powiększenia potęgi państwa (to aggrandire himself, str. 266) kosztem Rosyi.“ Pod koniec panowania Władysława Łokietka — twierdzi autor — „pewna liczba heretyków ukazała się w kraju, wyznając między innymi także doktryny komunistyczne. Byli oni surowo ścigani i od tego czasu datuje się ustanowienie Inkwizycyi w kraju, która trwała aż do dni Zygmunta I-go!“ Litwa, za czasów Jagielly, „rozciągała się od Bałtyku do morza Czarnego. Religią jej był Kościół grecki...“ (str. 289). Z dzieła Connor'a przytacza znów autor brzydką historią „hrabiego“ Morsztyna (w połowie XVII-go wieku) „podskarbiego koronnego, który zabrał skarb cały do Francyi i z obawy, by go sejm nie powołał do odpowiedzialności, nabył na własność całe hrabstwo

Château-Villain, wartujące przeszło 100,000 liwrów rocznie.“ Do relacyi Connor'a dodaje p. Morfill ze swęj strony: „Such was the corrupt character of the Polish parliament“ (str. 290).

Blisko trzy łamy poświęcił autor Henrykowi Walezyszowi, a z nich cały jeden opowiada ucieczkę króla i pogoń za nim „Ten-czyn'a“ w. marszałka koronnego — natomiast nie wspomina w peryo-dzie wojen szwedzkich o Stefanie Czarnieckim ani jednym wyra-zem! Przytoczywszy pacts conventa królów, pisze p. M.: „Kró-łowi polskiemu nie pozostało nic więcéj do czynienia, jak przede-wszystkiém (!) jeść i pić na koszt poddanych i tworzyć błyskotliwy dodatek do ich kosztownych i pół barbarzyńskich uroczystości narodo-wych. Jednakże dochody jego były znaczne (ample), a gdy dowo-dził armią w polu, władza jego była nieograniczona (unchecked); do niego także należała nominacya na najwyższe urzędy kościelne i woj-skowe“ (str. 292).

Co wreszcie myśleć o nauce p. Morfilla, jako historyka, gdy na (str. 293) uczy: „Ze śmiercią Batorego, w r. 1586, po wielu kłótniach mię-dzy przewodniemi rodzinami, tron znów wystawiono na sprze-daż — (the throne was again brought into the market).“ Nie sądzę również, by można bezwzględnie usprawiedliwić, co czytamy o Jere-mim Wiśniowieckim (str. 294): „Jednym z pierwszych czynów nowe-go króla (Jana Kazimierza) było staranie wejścia w układy z Bogda-nem; ale układy przyszły do niespodzianego końca skutkiem zdra-dy Wiśniowieckiego, generała polskiego, który napadł na nie-podejrzrywających kozaków, radzących nad warunkami konwencyi.“ W ciasnych granicach Encyklopedyi nie znalazł również autor dość miejsca na powtórzenie pogłoski o... tajemném wejściu Jana Kazimierza w związki małżeńskie we Francyi, po opuszczeniu klaszto-ru, „z miłą jakąś wdową, która była przedtém prostytutką“ (str. 295). Nie zabrakło również miejsca na niezmiernie ważne zdanie (str. 296): „Mówią (o Sobieskim), że wydał rozkaz do bitwy, zirytowany (pro-vo-ved) widokiem Kary Mustafy, wodza tureckiego, za-pijającego spokojnie kawę, w towarzystwie dwóch synów, w swym wspaniałym namiocie. W ciągu całej pracy nie znajdujemy ani jednego zdania, któreby oddziaływało w sposób przeciwny na smutne wrażenia z przeczytania ustępu następującego (str. 297—8):

„Można było widzieć dumną szlachtę, której członkowie byli za-jęci ciągłemi między sobą kłótniami, a daleko poniżej szlachty nędzni niewolni (serfs), pozbawieni wszelkich praw politycznych. Nie było w kraju ducha narodowego, nie było sympatyi między szlachtą i wło-ściaństwem. Żydzi głównie zatrudniali się handlem i przemysłem (commerce); rozdzielali płody, sprzedając równocześnie niewolnym i ich panom, a przeskadzając do wysokiego stopnia obydwo-m klasom krajowców spotkać się wzajemnie z sobą. Za ich (żydów) staraniem, każdodziennie funkeye ekonomiczne życia odbywały się, a mimo tego nie można ich było uważać za część narodu rzeczywistą. W chwili nie-

bezpieczeństwa nie byli Polacy przygotowani (they were not at hand), by zbliżyć do siebie klasy odrębne i ustanowić wspólny węzeł interesu; naród w ten sposób złożony z ludzi nierozumiejących się wzajemnie, pozostawał odurzony (perplexed) i rozdzielony. Włościanie, którzy byli niegdyś dzierżyli ziemię w posiadaniu wspólnym, stosownie do starożytnego obyczaju słowiańskiego, dawno utracili swe prawa. Ci sami Polacy, którzy walczyli o wolność, nie chcieli rozciągnąć jęj do swych nieszczęśliwych niewolnych. Kościuszko pragnął widzieć niewolnictwo (serfdom) zniszczonem; ale włościanie, którzy się bili w jego szeregach, używali wolności tylko w ciągu wojny, a jego dekret wyzwolenia tak był wyrażony niejasno, iż był bezskutecznym. Rzecz dziwna, gdy pomyślimy, iż rzeczywistymi oswobodzicielami włościan byli Rosyanie, którzy w czasie buntu r. 1863, dali im część uprawianęj przez nich ziemi.“

P. Morfill opowiada ostatnie dzieje kraju bez komentarzy. Napoleonowi przypisuje autor „złączenie“ Księstwa Warszawskiego z królestwem saskiem! Nakoniec „rebelie“ Polaków w latach 1830 i 1863, uważa jako „należące właściwie do dziejów Rosyi...“ nie wdając się wcale w jakąbądź analizę wypadków, poprzedzających je, a tém mniej w zaznaczenie ich następstw; wyjątkowo znajdujemy przecieź, że skutkiem owych wypadków „Królestwo Polskie przestało istnieć.“ P. Morfill nie wie tedy, iż cesarz Rosyjski jest koronowanym królem Polski. Ostatnie zdanie części dziejów politycznych opiewa: „W pruskiej Polsce, chociaż słuszność nakazuje nam dodać, że nie słyszemy opowiadań o rzeziach (stories of massacres), germanizacya prowincyi była zupełniejsza. Poznań zniknie rychło jako miasto polskie, a wiele miejscowości historycznych otrzymało nazwy zmienione na takie przewiska, jak Bismarcksdorf i Sedan.“

I nic więcéj! Czemu autor rozpiisał się w trzech łamach o awanturach Walezyusza podczas ucieczki i nieco komicznie przedstawionęj pogoni za nim Jana z Tęczyna, a ani jednem słówkiem nie wspomniał o nierównie więcéj znaczących objawach życia narodowego Polaków—nie rozumiemy wcale. Pojmujemy, że w wydawnictwie tego rodzaju jak „Encyclopaedia Britannica“ nie można było pominąć przeszłości dziejów Polski; lecz przyzna przecieź każdy, iż przedmiot traktowany tak jednostronnie, w którym opuszczono wszystkie ważniejsze czyny historyczne narodu polskiego, z którego starannie wykluczono wiele rzeczy, jakichby nam bodaj odmówiła jawna niechęć, przedstawia się nieskończenie gorzej, gdy pojawia się w miejscu najniewłaściwszém, a opowiedziane jest w taki sposób, iż czytelnik jedno tylko powiedzieć może: Dziwaczny naród, błazeńskie instytucye, barbarzyńskie obyczaje, żakowskie porywy, koniec ztąd naturalny: wyniszczenie i wytępienie! Zaiste powiedzieć można z Tennysonem: „Pół prawdy jest najczarniejszém kłamstwem ze wszystkich kłamstw!“

„Piśmiennictwo polskie,“ stanowiące część drugą artykułu, jest opracowane z bezporównania poważniejszą troskliwością. Tutaj, choć nie ma poglądów krytycznych, mamy przynajmniej skrupulatnie wier-ny obraz ruchu umysłowego w dawniej Polsce i między społecznością naszą współczesną. Autor oddał nam tu słusność zupełną;— a jeżeli znów pominął niejedno imię, zaszczytnie rozgłosne po całym kraju za dni naszych, to nie jego w tém wina, jeżeli albo nie miał sposobności zapoznać się z niém, lub zapatruje się nieco skeptycznie na cześć od-dawaną żyjącym. Dziejopisarzy naszych znajdujemy tu wszystkich, od Długosza do Śmolki — a nie pominął p. Morfill i tych, którzy na szcze-gółowe kwestye nowe rzucili światło; zapisuje więc monografię Woj-ciecha Kętrzyńskiego, rozprawy Liskego, dzieła Wincentego Zakrzew-skiego, łaćnińską rozprawę o *liberum veto* J. K. Plebańskiego, katalog Wisłockiego i t. d. Sympatyczny jest ustęp o Kraszewskim, od niego wyliczył autor wszystkich powieściopisarzy naszych do dni obecnych. Szkoda wielka, że po Bałuckim i Narzymskim nie widzimy Sienkiewi-cza! Z pism peryodycznych wymienił autor, „Bibliotekę Warszawską,“ której w ostatniem zdaniu swój pracy oddał należne uznanie.

E. S. N.

— Przekład Pana Tadeusza na język angielski przez panią Biggs wyjdzie w dwóch tomikach najdalej za trzy tygodnie; druk już ukończo-ny, czekamy tylko na introligatorów i na... wieści z kraju. Po pół ro-ku starań, by publikacją angielską uczynić godną wielkiego oryginału pod każdym względem, pani Biggs i „kronikarz Biblioteki“ doszli do przekonania, że — „zrobiło się, co tylko było można.“ Każdy wiersz przekładu poddany był skrupulatnemu porównaniu z oryginałem; każ-da trudność idyomatyczna pokonana za pomocą idyomatyzmów angielskich; każdy wypadek historyczny, jak każdy obyczaj narodowy, jak strój narodowy i nawet niejedna narodowa potrawa wyjaśnione w do-piskach. Nie poskarży się, sądzim, żaden czytelnik angielski na brak rozumnej pomocy, z którąby mógł wnikać głęboko w ducha Mickiewi-czowskiej epepei. Dla czytelników polskich, nie zapomniano również o potrzebnych wskazówkach. By ich nie przygnębić zbytkiem, opu-szczono paryzki prolog do poematu, zamiast którego p. Morfill napisał bardzo piękną przemowę, poprzedzającą wstęp tłómaczenia, stawiające-go przed oczy czytelnika obraz historyczny wypadków, jakie towarzyszy-ły poematowi i natchnęły nieśmiertelnego wieszczą. Po półrocznem składkowaniu w kraju — gdzie cena obu tomików jest o połowę niższą od angielskiej — zebrano w redakcyi „Kłósów“ około 90 rs., złożonych przez trzydziestu przedpłacicieli... Suma ta reprezen-tuje jedną dwu nastą część kosztów, spadających na miss Biggs, za druk, korektę, papier i oprawę — innemi słowy, z kraju pomoc tak jest maleńka, iż po zapłaceniu kosztów przesyłki książek po za Wartę, zostanie się zaledwie parę groszy na zapłacenie rachunków drukarza! Gdzież tedy są owe „honorarya,“ płacone przez kraj „jakiś tam an-gielce, której przysła fantazyja bawić się przekładem dzieł polskich?“

jak obwoływali niektórzy skeptycy! W Anglii zebraliśmy niewiele między rodakami, bo ich tu mało i biednych; lecz na wyszczególnienie zasługuje poczciwy weteran z Sheffield, dziś majster tokarski, p. Jan F.— który, choć z biedą walczy, oddał jedną gwineę (rs. 10,50) na dwa egzemplarze „Master Thaddeus, or the Last Foray in Lithuania.“ Od innych osób wpłynęło dotąd blisko 30— co również dowodzi, że zajęcie się w Anglii dziełem Adama żywszém jest, aniżeli o niem zawyrokowano w Warszawie!

Miss Biggs niezrażona takim obrotem rzeczy, dokonała przekładu „Grażyny,“ „Dziadów,“ Ballad i Sonetów, do czego dodam jeszcze i tę wiadomość, że obecnie zbiera materyały do dzieła pod tyt. „Dzieje Polaków od r. 1815-go,“ które po niefortunnej pracy Morfilla jest bardzo potrzebne. To także... dziwna „fantazyja!“

E. S. N.

— Z Towarzystwa wzaj. pomocy uczniów uniwersytetu Jagiellońskiego donoszą, że na tegoroczny konkurs nadesłali członkowie siedm prac i wszystkie zostały nagrodzone. I tak: pierwszą nagrodę otrzymała praca Karlińskiego Justyna i Rosenbuscha Leona, doktorandów medycyny pod tytułem: „Zbadać na materyale kliniki lekarskiej w półroczu zimowém 1884/5, zachowanie się drobnowidzowe kału we wszystkich przypadkach chorób żołądka i jelit.“ Drugą nagrodę otrzymała praca Grossa Salomona, doktoranda medycyny, p. t. „Stwierdzić za pomocą odpowiednich przyrządów zachowanie się tętna i ruchów serca, we wszystkich wadach sercowych w półroczu zimowém 1884/5 w klinice lekarskiej leczonych, z szczególném uwzględnieniem wpływu leków na serce działających.“ Trzecią nagrodę otrzymała praca Langego i Steinkellera, słuchaczów III-go roku medycyny, p. t. „Porównawcze doświadczenia w celu dokładnego oznaczenia ilościowego kwasu moczowego w moczu, uwzględniając zarazem trudności zależne od przedmiotu moczu w rozmaitych chorobach, oraz możliwe załatwienia w tym kierunku przy badaniu kliniczném“ i praca Tillesa Samuela, słuchacza III-go r. prawa p. t. „O prawném stanowisku członków reprezentacji ludowej.“ Czwartą nagrodę otrzymały: praca Peipera Leona, słuchacza II-go r. prawa, p. t. „Kto nabywa własność pożytków (fructus) z rzeczy i w jaki sposób,“ dalej praca Gołby Franciszka, słuchacza III-go r. teologii pod tytułem „Qaenam sint conditiones iuramenti liciti,“ a w końcu praca Tondery Franciszka, słuchacza filozofii pod tytułem: „Zestawić historią różnych klasyfikacyi, przynajmniej europejskich rodzajów rodziny Umbelliferae od czasów Linnusza aż do lat ostatnich: i poddać je krytyce, opartej na własnych spostrzeżeniach, przynajmniej w granicach krajowych rodzajów i gatunków.“

— Podarunek Najj. Cesarza Austrii w parlamencie angielskim. Na jednym z dawniejszych posiedzeń w Izbie niższej parlamentu angielskiego w r. b. podsekretarz stanu w ministerstwie spraw zagranicznych zawiadomił deputowanych, że

w galerii narodowej angielskiej znajduje się od dwóch dni obraz przedstawiający Izbę gmin z roku 1793, i że obraz ten jest darem cesarza Franciszka Józefa. Równocześnie wyraził p. Bourke w imieniu całego narodu angielskiego podziękowanie Monarsze austriackiemu za „dar wspaniałomyślny.“ Obraz wspomniany jest malowidłem na wielkiem płótnie, przedstawiającem zgromadzenie Izby gmin w r. 1793, na którym uwydatnionych jest 96 członków téj Izby z wiernością portretową. Nie wszystkie wprawdzie jeszcze portrety zostały sprawdzone co do tożsamości osób; ale nie podlegają najmniejszej wątpliwości podobizny Pitta, Foxa, Sheridana, przewodniczącego Addingtona, Henryka i Roberta Dundas, Erskine'a, lorda Morningtona, młodego Canninga, Dudlea Ryder, sir Peppera Arden i wielu innych. Wkrótce zapewne sprawdzoną zostanie i reszta osób na obrazie pamiątkowym. Artystyczne to dzieło ma dla anglików niespoślednią wartość, i jest przeciwstawieniem znakomitego dzieła humoru Haytera, przedstawiającego „zreformowaną Izbę gmin,“ pomieszczone téż zostało naprzeciw tego właśnie utworu. Obraz, подарowany Anglii, jest utworem jednego z braci Hicklów, Antoniego, który w ciągu swego pobytu w Londynie, w latach 1793 i 1794 obraz ten malował. Wówczas już dzieło to sprawiło niemałe wrażenie w Londynie, Hickel jednak nie przyjął żadnej ceny, ofiarowanej mu za sprzedanie utworu, i zabrał swój obraz z sobą do Hamburga, gdzie w roku 1798 umarł. Po śmierci artysty, spadkobiercy jego przywieźli obraz ten do Wiednia. W roku 1816 został przez cesarza Franciszka nabyty dla galerii belwederskiej. Otóż obraz ten ofiarował monarcha austriacki żonie posła angielskiego, lady Paget, ta zaś uznała za stosowne oddać go londyńskiej galerii narodowej. W Londynie przypomniano sobie dopiero przeszłego roku o istnieniu tego obrazu a to z powodu wystawienia kilku portretów Pitta, pędzla Hickla; poczem jeden z członków zarządu galerii narodowej, Edward Stanhope, zajął się zbadaniem, coby ów obraz przedstawiał. Przy téj sposobności dowiedzieli się Anglicy, że bracia Hickel, synowie i uczniowie notariusza z Czeskiej Lipy, byli w swoim czasie znakomitymi artystami i że specjalnie Antoni Hickel posiadał względy Maryi Antoniny w Paryżu, a po wybuchu rewolucyi francuzkiej przybył do Londynu, gdzie portrety jego znajdowały wielki popyt, a Pitt i Fox byli jego szczególnymi protektorami. Wkrótce też stwierdzono, że obraz przedstawia parlament. Zdaje się, że w czasie, gdy w Londynie przypomniano sobie istnienie omawianego obrazu, czyniono kroki, ażeby go kupić; ale Monarcha austriacki, postanowił wspaniałomyślnie podarować go narodowi angielskiemu, a to zwłaszcza po przekonaniu się, jak wielką wartość przywiązywano w Londynie dotego historycznego dzieła sztuki Brat Antoniego, Józef Hickel, malował bardzo udatne portrety cesarza Józefa i wielu znanych osobistości z końca zeszłego wieku.

N e k r o l o g i a.

— † Dnia 20 września 1885-go r., umarł w Warszawie **Zygmunt-Leszczyc-Sumiński**. Ś. p. Zygmunt urodził się 1845 roku, w ziemi plockiej, gdzie rodzice jego, ś. p. Damazy, b. oficer wojsk polskich i Florentyna z Jeżewskich, posiadali dobra Kłokock. Ś. p. Zygmunt nie uczęszczał do szkół publicznych; ale kształcił się pod okiem nauczyciela domowego, dawnego towarzysza broni ojca. Przed organizacją edukcyi publicznej w r. 1861, zamieszkał ś. p. Zygmunt z rodzicami w Warszawie, gdzie pod okiem profesorów szkół publicznych i kursów przygotowawczych do szkoły głównej, sposobił się do egzaminu do téj spodziewanej wówczas — najwyższej instytucyi naukowej w kraju. Przysposobiony odpowiednio wstąpił w r. 1862 na wydział prawa Szkoły głównej, pełen zapału do wiedzy i z najpiękniejszymi skłonnościami serca, przejęty zasadami wiary, poczucia honoru i obowiązków obywatelskich. Otworzył w Warszawie dom komisowy dla zapewnienia sobie chleba powszedniego, ponieważ majątek jego osobisty nigdyś znaczny, stopniał wśród szarugi lat ostatnich. Jednocześnie zaczął pracować w „Niwie,” do której zreorganizowania nie mało się przyczynił; później w „Wieku”. W ostatnich latach zmienił pióro na lemiesz i osiadł na wsi w Steklinku w pow. lipnowskim, gdzie wkrótce zjednał sobie serca współobywateli i sąsiadów. Zrezygnowany chrześcianina znosił po chrześciańsku dolegliwości choroby i śmierć przyjął z rąk Boga zupełnie na nią przygotowany. Prócz licznych prac oryginalnych, rozproszonych po dziennikach, Sumiński przygotował i wydrukował w Bibl. Umiejętn. prawnych „S t a t y s t y k ę m o r a l n o ś c i” Drobischa. Ś. p. Zygmunt bronił wytrwale przekonań, które za pożyteczne dla ogółu uważał: miał czuły zmysł dla wymagań postępu; ale postępu opartego na gruncie narodowym z poszanowaniem rodziny, religii i przeszłości, bo sądził, że nie fakcyjne doktryny warunkują dobrobyt narodu, ale praca organiczna, nie zamachy targające łańcuch z przeszłością, tylko praca wiodąca społeczeństwo w nowych warunkach po drabinie cywilizacyi swojskiej ze szczebla na szczebel do coraz wyższego postępu! Wśród téj szermierki padło niekiedy z jego pióra i gorętsze słowo; ale dyktowała je zawsze chęć służenia dobru ogólnemu, a nigdy pobudki ambicyi ani téż arogancyi osobistej. Zgon takiego obywatela w najlepszej sile wieku uważamy za wielką stratę dla społeczeństwa, a rzucając tę garść ojczystej ziemi na mogiłę zmarłego, niewątpimy, że ziemia ta lekką mu będzie, gdyż on ją bardzo—bardzo ukochał. Cześć pamięci obywatela zacnego!

Redakcja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca **J. K. Plebański.**